

Linda Howard

Wzgórze
spełnionych
nadziei

Naznaczeni

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Do sypialni Wolfa Mackenziego wdzierало się chłodne, posępne światło księżyca. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Jeszcze jedna bezsenna noc, a potem kolejny parszywy dzień. Wolf zaklął pod nosem. Przez całą noc przekręcał się z boku na bok i za wszelką cenę usiłował zasnąć. Wszystko bezskutecznie. Już od wielu dni głowę miał całkowicie zaprzątniętą tylko jedną myślą: potrzebował kobiety. Pragnienie to nie dawało mu spokoju ani na chwilę.

W końcu wstał i nagi podszedł do okna. Był tak rozpalony, że gdy poczuł pod stopami lodowatą posadzkę, odetchnął z ulgą. Przytknął gorące czoło do przyjemnie chłodnej szyby, w nadziei, że choć na chwilę oddali natrętne myśli. Jakby na przekór temu nastrojowi, promienie księżyca miękko i wesoło igrały w jego gęstych, ciemnych włosach, opadających mu na ramiona. Na przeciwległej ścianie widoczny był jego cień, który zdawał się jeszcze bardziej podkreślać niezwykły profil Wolfa: mocno zaznaczone kości policzkowe i duży orli nos. To dziedzictwo otrzymał po swojej matce, która pochodziła z plemienia Komanczów. Ale w jego żyłach płynęła także krew celtycka, po ojcu, którego przodkowie wcale nie tak dawno przybyli do Ameryki ze Szkocji. Przedziwna kombinacja, dzięki której najczęściej udawało mu się poskromić swoją żywiołową naturę. Ale nie dzisiejszej nocy - nie wtedy, kiedy tak bardzo potrzebował kobiety. Zwykle w takich przypadkach odwiedzał Judy Owks, kilka lat starszą od siebie rozwódkę, która mieszkała w pewnym małym miasteczku, może jakieś pięćdziesiąt mil stąd. Ten niepisany układ trwał już parę lat, żadne z nich jednak nie było zainteresowane starym związkiem. Zwyczajnie się lubili, no i mieli swoje potrzeby. Zawsze, gdy do niej przychodził, starał się być niewidoczny. Poza tym nie odwiedzał jej nazbyt często. Dobrze wiedział, jaka byłaby reakcja sąsiadów Judy, gdyby dotarła do nich

wieść, że sypia z Indianinem, i do tego Indianinem oskarżonym o gwałt. Nie chciał, by stała się obiektem niewybrednych żartów lub głupich plotek i domysłów.

Jutro sobota, pomyślał Wolf, będzie musiał zająć się kilkoma sprawami, które wciąż odwlekał. To pozwoli mu choć na trochę odepchnąć od siebie niedające się okiełznać myśli. Postanowił, że pojedzie po materiały na budowę ogrodzenia. Musi się czymś zająć, bo inaczej znowu ogarnie go kompletna nicość i pustka, a ich obawiał się najbardziej. A może to dobry dzień, żeby odwiedzić Judy, pomyślał, leniwie gładząc się po muskularnym torsie.

Stał tak, przyglądając się, jak wiatr pędzi po niebie chmury, tworząc z nich coraz to bardziej niesamowite krajobrazy. Wszystko to zmieniało się jak w kalejdoskopie. Noc była bardzo mroźna, a jutro miał padać śnieg. Wolf otrząsnął się. Tylko on wiedział, jak bardzo nie chciał wracać do swojego pustego łóżka. Boże, jak bardzo pragnął kobiety...

Mary Elizabeth Potter zaplanowała kilka sprawunków na sobotni poranek, ale najbardziej zależało jej na tym, by odszukać Joego Mackenziego, który przed dwoma miesiącami rzucił szkołę. Kiedy miesiąc temu rozpoczęła pracę w miejscowej szkole, już go nie było. Zorientowała się jednak, że coś jest nie w porządku, bo chłopak wciąż figurował w dzienniku na liście uczniów. Nikt nawet nie wspomniał jej o tym chłopcu, ale wiedziona ciekawością zajrzała do jego teczki i przewertowała zawarte w niej informacje. W tak małym miasteczku jak Ruth nie było mowy o tym, żeby się ukryć, no i rzadko kto decydował się na porzucenie nauki. Poza tym uczniów było tu niewielu, niespełna sześćdziesięciu, i znała już praktycznie wszystkich. Zdziwiło ją jednak to, co przeczytała na temat Joego. Należał do najpilniejszych i najzdolniejszych uczniów w swojej klasie. Miał niemal same szóstki i wydało jej się co najmniej podejrzane, że tak wybitny uczeń miałby nagle,

bez żadnych wyjaśnień, przerwać naukę. Musiała go znaleźć i z nim porozmawiać. Nie dawało jej to spokoju. Dobrze wiedziała, że konsekwencje takiej błędnej decyzji będzie ponosił do końca życia, chciała więc poznać przyczynę jego nagłego zniknięcia.

W żaden sposób nie mogła zasnąć. Taka zimna i śnieżna noc zdarzała się raczej rzadko. Jej kot miauknął żałośnie, wskoczył na łóżko, przysiadł koło jej stóp i zwinął się w kłębek.

- Już dobrze - powiedziała ze zrozumieniem - domyślam się, że strasznie ciągnie od podłogi.

Odkąd przeprowadziła się do Ruth, miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie było jej tak naprawdę ciepło, a jej stopy były zawsze skostniałe z zimna. Obiecała sobie, że przed następną zimą trochę lepiej się zaopatrzy, a przede wszystkim kupi sobie parę ciepłych, nieprzemakalnych butów. Najlepiej, żeby były wykładane futrem, rozmarzyła się. To jasne, że przydałyby się jej już teraz, ale wydatki związane z przeprowadzką pochłonęły całe jej oszczędności, a nie chciała kupować nic na kredyt.

Kocur miauknął przeciągle i dopiero teraz zauważyła, że od jakiegoś czasu przygląda się jej, zabawnie przekręcając łebek. Podrapała go więc za uchem i pogładziła po miękkiej sierści. Dostał jej się wraz z domem, który wynajęła dla niej szkoła, i choć zawsze broniła się przed posiadaniem kota, bo zbyt mocno kojarzył się jej ze staropanieństwem, to teraz zdawało się, że przeznaczenie ją wreszcie dopadło i nie pozostawiło żadnego wyboru. No cóż, przecież była starą panną i zaprzeczanie temu nie miało najmniejszego sensu. Ale dla kota nie miało to najwyraźniej żadnego znaczenia. Miło z jego strony, pomyślała, że mnie lubi i nie przeszkadza mu wcale, że jego nowa właścicielka wygląda jak szara mysz.

Ubrała się najcieplej jak mogła i ruszyła w stronę drzwi, przygotowana już na podmuch lodowatego powietrza. Trzeba się jakoś przyzwyczaić, bo przecież cieplej nie będzie wcześniej jak na wiosnę, pomyślała. Z łezką w oku

wspominała swoje przytulne gniazdko w Georgii. Lecz dobrze pamiętała, że opuściła je z całą premedytacją i z całym przekonaniem. Chciała zmienić coś w swoim życiu, które przyprawiało ją o mdłości, chciała podjąć jakieś nowe wyzwanie. Odkryła w sobie żyłkę poszukiwacza przygód i choć nie chciała przyznać się do tego nawet przed samą sobą, to jednak całe to zawirowanie dało jej sporą satysfakcję i sprawiło prawdziwą przyjemność.

Boże, co za mróz, jęknęła, gdy znalazła się na zewnątrz. I mimo że od samochodu dzieliło ją zaledwie kilka kroków, poczuła, jak śnieg bezlitośnie wdziera się jej do butów.

Zaraz, zaraz, mamy teraz marzec, a więc w Savannah, w Georgii, rozpoczęła się właśnie cudowna wiosna -rozmarzyła się - wszystko buchnęło tam zielenią, a kwiaty mieniły się tysiącem kolorów w promieniach słońca.

Tutejsi mieszkańcy obiecywali wprawdzie, że i Wyoming, gdy przyjdzie na to pora, zamieni się w jeden wielki ogród, a okoliczne łąki i pagórki w niekończące się kolorowe dywany dzikich kwiatów, ale póki co, po zieleni nie było nawet śladu, a ona czuła się jak przesadzona magnolia, niemogąca w żaden sposób przystosować się do nowych warunków.

Nie bez trudu dowiedziała się, jak dotrzeć do posiadłości rodziny Mackenziech. W całej tej historii chyba najbardziej dziwiło ją to, że losy Joego wydawały się nikogo nie obchodzić. Odnosiła nawet wrażenie, że jego nazwisko wypowiedają z wyraźną niechęcią. Wprawiało ją to w prawdziwe osłupienie, zwłaszcza że w stosunku do niej byli przecież tacy przyjacielscy. Najostrzej chyba ze wszystkich zareagował właściciel sklepu spożywczego - pan Hearst. Gdy zapytała go o chłopca, odparł chłodno: „Ci dwaj Mackenzie nie są warci pani zachodu, panno Potter". Nie rozumiała, jak mógł coś takiego powiedzieć. Dla Mary bowiem każdy człowiek stanowił ogromną wartość, a tym bardziej dziecko. Była nauczycielką z powołania i kochała swój ą pracę.

Uciekając przed zimnem, z uczuciem ulgi wsiadła do swego chevroleta i ruszyła w kierunku wzgórza Mackenziech. Prowadziła do niego kręta, pełna serpentyn droga. Nie była zbyt dobrym kierowcą, toteż mimo iż miała nowiuteńkie zimowe opony, ślizgała się raz po raz na ośnieżonej nawierzchni. Chwilami drżała, nie wiedząc, czy to z zimna, czy może raczej z przerażenia.

Ogarnęły ją wątpliwości. Może lepiej byłoby poczekać na trochę lepszą pogodę¹ W maj u czy w czerwcu, kiedy spłyną śniegi, zadanie będzie o niebo łatwiejsze do wykonania. Spojrzała raz jeszcze w stronę wzgórza. Nie, zdecydowała, Joe nie zjawił się w szkole już od dwóch miesięcy i z każdym kolejnym dniem narastały jego zaległości. Nie było na co czekać. . - A poza tym, to wzniesienie wcale nie jest aż takie Strone, jak się początkowo zdawało - mamrotała pod nosem, chcąc dodać sobie otuchy.

Zawsze, kiedy Mary miała do rozważenia jakiś problem, prowadziła ze sobą głośne rozmowy i bardzo jej to pomagało w podjęciu decyzji.

- W końcu rodzina Mackenziech też musi jakoś dojeżdżać do swojego domu, a skoro im się udaje, to i mnie się uda - szepnęła.

Gdy droga ostrzej zaczęła wznosić się ku górze, mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Teraz popychała ją do przodu wyłącznie determinacja. Gdyby nie to, zawróciłaby z drogi. Im wyżej podjeżdżała, tym bardziej przepastne wydawało jej się urwisko, które zdawało się podstępnie coraz to bliżej podkradać do wąskiej wstęgi serpentyn.

- Nie spadnę, nie spadnę - mamrotała pod nosem.

Będę jechała wolno i bezpiecznie, i nie spadnę..

Specjalnie odwracała wzrok od urwiska. Nie chciała wiedzieć, jaka dzieli ją od niego odległość. Koncentrowała się wyłącznie na swoim pasie ruchu i powoli posuwała do przodu.

Zacząła rozmyślać o Mackenziech. Czy przypadkiem nie będą na nią źli, że najeżdża ich tak bez uprzedzenia. Dlaczego też ten Joe odszedł iż szkoły. Może jakieś kłopoty z dziewczyną...

Była tak pochłonięta swoimi myślami, że nie dostrzegła, że na tablicy rozdzielczej samochodu zapaliła się czerwona lampka. Ocknęła się dopiero wówczas, gdy spod maski buchnęła gęsta para, całkowicie zasłaniając jej widoczność. Odruchowo nacisnęła na hamulec, a gdy poczuła, że samochód nadal sunie po śliskiej nawierzchni, z jej piersi wyrwał się stłumiony krzyk. Puściła pedał hamulca, odbiła kierownicą i cudem, jak jej się zdawało, wyprowadziła auto na prostą. Nie widziała jednak zupełnie nic. Fara, która osiadła na przedniej szybie, pod wpływem mroźnego powietrza natychmiast zamarzała. Na szczęście po krótkiej chwili samochód stanął w miejscu. Silnik syczał jak stado rozjuszonych węży. Drżąc, wyłączyła go i nie bez trudu otworzyła przymarznąłą do reszty karoserii maskę. Nie trzeba było być mechanikiem, żeby zrozumieć, co się stało. Jeden z węży odchodzących od chłodnicy był pęknięty, a gorąca woda wypływała z niego potężnym strumieniem. O dalszej jeździe nie było mowy. Nie miała więc innego wyjścia, jak tylko dostać się na rancho na piechotę, a po drodze modlić się, by jego właściciele byli w domu. Zdawało się, że jest już niedaleko. Nie wyobrażała sobie powrotu do miasteczka na piechotę. Nie w taki mróz i nie w takim śniegu. Jej stopy i tak już zamieniły się w sople lodu.

Samochód zatrzymał się na poboczu, mogła go więc tak zostawić. Zamknęła drzwiczki i ruszyła w górę.

Próbowała nie zważać na to, że bolą ją z zimna stopy. Gdy obejrzała się za siebie, jej chevrolet zniknął już za zakrętem. Znaczyło to, że udało jej się pokonać niezły kawałek trasy. Ogarnęło ją jednak przerażenie. Była kompletnie sama pośrodku czegoś, co dla niej było całkiem nieznanym. Przed nią olbrzymia ośnieżona góra, a wokół absolutna szarość i ani

żywego ducha. Zaczęła dygotać z zimna. Zmęczenie dawało jej się we znaki, ale wiedziała, że nie ma wyjścia, nie może stanąć ani na chwilę.

Całkiem niespodziewanie usłyszała przed sobą niski ryk silnika. Takiej ulgi nie odczuła jeszcze nigdy w życiu. Po jej zmarzniętych policzkach potoczyły się łzy. Szybko wytarła rękawem oczy, nie lubiła płakać w miejscach publicznych. Zeszła na bok i wyczekiwała na pojawienie się pojazdu. Olbrzymia czarna furgonetka z potężnymi oponami wolno zjeżdżała w dół. Czowała na sobie świdrujący wzrok kierowcy. Zażenowana odwróciła głowę. Stara panna i do tego nauczycielka... Nie była przyzwyczajona do tego typu spojrzeń, a poza tym czuła się jak idiotka.

Samochód zatrzymał się tuż obok niej i po krótkiej chwili wyskoczył z niego mężczyzna. Był ogromny. Nienawidziła, kiedy ktoś patrzył na nią z góry, zwłaszcza w tak beznadziejnej sytuacji. Duży czy nie, w końcu wyratował ją z opresji, zganiła samą siebie. Zagryzła więc zęby i szybko zaczęła się zastanawiać, jak mu to wszystko wytłumaczyć.

Wolf patrzył zadziwiony na kobietę, która zerkała na niego niezbyt pewnie. Nie mógł pojąć, skąd się tutaj wzięła i czego szukała na jego wzgórzu. Najbardziej zszokował go jednak jej nieprzemysłany strój, zbyt skąpy, jak na tę porę roku. Nie znał jej, a to w tak małym miasteczku nie zdarzało się często. Dopiero po chwili domyślił się, kim była. Słyszał kiedyś rozmowę w sklepie, że zatrudniono w szkole nową nauczycielkę. Podobno pochodziła z Południa, a to tłumaczyłoby jej nedorzeczny strój. Spod cienkiego brązowego płaszcza wystawała letnia niebieska sukienka. Wszystko podszyte wiatrem. Na głowę zarzucony miała szal, spod którego wymykały się jasnobrązowe kosmyki włosów. Na jej nosie zaś osadzone były ciemne rogowe oprawki okularów, które zasłaniały prawie całą twarz. Nigdy nie widział nikogo o bardziej belferskim wyglądzie.

Stali tak kilka sekund, w czasie których nie odezwała się do niego ani słowem. Nie wiedział, czy była tak bardzo zażenowana sytuacją, czy bała się wdać w rozmowę z Indianinem. Sam zresztą też milczał, ale wiadomo było, że jej tu nie zostawi. Wyglądała na w pół zamarzniętą, więc bez słowa podszedł do niej i wziął ją na ręce. Była drobna i lekka jak piórko, ważyła nie więcej niż dziecko. Na szczęście nie wrywała się i nie sprzeciwiała. Dostrzegł jedynie za okularami duże, lśniące, niebieskie oczy, w których malowała się niepewność. Otworzył drzwi od strony pasażera i usadowił ją na wygodnym miękkim fotelu. Zanim wszedł do środka, otrzepał jeszcze ze śniegu jej buty, po czym wskoczył za kierownicę.

- Jak długo pani tutaj szła - zapytał nieco burkliwie.

Zaskoczył ją tym pytaniem, tym bardziej że nie spodziewała się tak głębokiego i niskiego głosu. Dyskretnym ruchem zdjęła zaparowane okulary i spojrzała raz jeszcze na swego wybawcę. Poczula, jak krew napływa do jej zamarzniętych policzków.

- Właściwie niedługo... -wyjąkała. -Może piętnaście, może dwadzieścia minut. Zepsuł mi się samochód - dodała po krótkiej przerwie. - Nawaliła mi chłodnica.

Spojrzał na nią i dostrzegł na jej policzkach delikatne rumieńce. To dobrze, pomyślał, to znak, że się trochę rozgrzała. Widział, że nerwowo zaciska palce. Może spodziewała się, że rzuci ją na tylne siedzenie i zgwałci. W końcu była przecież ze skazańcem, z dzikim Indianinem. Ale jednocześnie wyglądało na to, że była to najbardziej ekscytująca przygoda w całym jej życiu.

Mary przekonała się, że do rancza nie było już daleko. Dotarli tam bowiem w ciągu zaledwie kilku minut.

Wolf zaparkował tuż przy drzwiach do kuchni, po czym wyskoczył z samochodu i już stał obok niej.

- Proszę sobie tego oszczędzić - powiedział, gdy zaczęła się zsuwać z siedzenia na ziemię. Znow wziął ją

na ręce, podczas gdy ona walczyła z sukienką, która podwinęła jej się do góry i odsłaniała sporą część uda.

Kątem oka zerknął na dobrze widoczną teraz nogę i ze zdziwieniem stwierdził, że jest nadspodziewanie szczupła i zgrabna.

Weszli do środka i natychmiast otuliło ją panujące tu przyjemne ciepło. Odetchnęła z ulgą, gdy Wolf postawił ją na podłodze. Ku jej zdziwieniu podszedł natychmiast do kranu i nappełnił spory garnek gorącą wodą.

- Nazywam się Mary Elizabeth Potter - zaczęła, sądząc, że lepiej będzie, jeżeli od razu się przedstawi i wyjawi powód swojej wizyty. - Jestem nową nauczycielką...

- Wiem -wpadł jej w słowo. -Wiem, kim pani jest.

Wlepiając wzrok w jego szerokie plecy, zapytała zdziwiona:

- Jak to, a niby skąd pan wie?

- Nie kręci się tu zbyt wielu obcych... – wyjaśnił krótko.

A jeśli trafiła nie tu, gdzie chciała? Ogarnęła ją jakaś dziwna niepewność.

- Pan Mackenzie?

Spojrzał na nią przez ramię. Dostrzegła przy tym diabelski błysk jego czarnych oczu.

- Tak, Wolf Mackenzie.

- To jakieś rzadkie, staroangielskie nazwisko albo raczej irlandzkie - próbowała podjąć konwersację.

- Nie -mruknął, stawiając przed nią garnek z wodą - jest indiańskie.

Zamrugnęła nerwowo.

- Indiańskie? - Czuliła się jak idiotka. Jak mogła się nie domyśleć? Te jego czarne jak noc włosy i oczy, a do tego ta ciemna karnacja...

- Ale z tego, co wiem, to wcale nie jest indiańskie nazwisko.

- Nie, szkockie.

- Zatem jest pan półkrwi... - nie dokończyła. Zacisnął zęby.

- Tak. Spojrzał na nią badawczo. Wciąż jeszcze drżała z zimna . Strasznie zziębła podczas tej swojej wyprawy. Wiedział, że czym prędzej powinna się rozgrzać.

- Proszę włożyć stopy do gorącej wody, to pani pomoże. - Zrzucił z siebie ciężką grubą kurtkę i zabrał się za parzenie kawy.

Oboje milczeli jakiś czas. Jak tylko trochę się rozgrzeję, natychmiast przejdę do sprawy, pomyślała. W końcu przyjechałam tu, aby coś załatwić. . Wolf podszedł do niej i widząc, że nawet nie pragnęła, bez słowa zdjął jej z głowy szal i rozpiął guziki płaszcza.

- Co pan robi? Sama przecież mogę...-wymamrotała zaskoczona.

Miała jednak tak zmarznięte i zgrabiałe palce, że w żaden sposób nie mogła sobie poradzić z guzikami. Odsunął więc jej dłonie i do końca rozpiął jej płaszcz.

- Czemu zdejmuję mi pan płaszcz, przecież jest mi zimno.

- Ma pani kompletnie zziębnięte ręce i nogi. Trzeba je rozmasować -odpowiedział, zdejmując jej buty.

Musiała przyznać, że cały ten pomysł wydał jej się mocno dziwaczny. Nie była przyzwyczajona, żeby ją ktoś dotykał, a już na pewno nie t a k bezceremonialnie. Chciała mu coś powiedzieć, ale słowa utkwily jej w gardle, poczuła bowiem jego ręce pod sukienką.

Krzyknęła przerażona i cofnęła się, omal nie przewracając się o krzesło.

- Proszę się nie obawiać - mruknął, rzucając jej lodowate spojrzenie. - Dziś jest sobota, a ja gwałcę tylko we wtorki i czwartki - syknął. - Ma pani szczęście.- Przez moment pomyślał, że może lepiej by było, gdyby zostawił ją na drodze, ale dobrze wiedział, że tak naprawdę nie mógłby tego zrobić.

- A czym niby różni się sobota od wtorku czy czwartku - rzuciła zaczepnie i natychmiast ugryzła się w język. Zdała

sobie sprawę, że mógł odebrać jej słowa jak zaproszenie. Ukryła twarz w dłoniach, czując, jak pąsowieją jej policzki.

Wolf, nie dowierzając własnym uszom, podniósł wzrok. Przerażone, niebieskie, szeroko otwarte oczy patrzyły na niego zza czarnej rękawiczki, która zakrywała jej niemal całą twarz. I do tego te kontrastujące z resztą czerwone policzki! Jeszcze nigdy nie widział kogoś, kto by się tak zawstydział i tak czerwienił. Uznał, że była uosobieniem nauczycielki i starej panny. Gdy zdał sobie z tego sprawę, złagodniał jakoś. Zrobiło mu się jej żal.

- Chciałem tylko zdjąć pani rajstopy, żeby mogła pani włożyć nogi do gorącej wody.

W odpowiedzi usłyszał jedynie zduszony okrzyk, który wydobył się zza czarnej rękawiczki.

Pod ręką czuł jeszcze jej delikatne, krągłe biodra. Boże, tak strasznie pragnął kobiety, że nawet ta niezbyt atrakcyjna nauczycielka, która wciąż jeszcze siedziała przestraszona na krześle i wpatrywała się w niego swoimi okrągłymi niebieskimi oczami, wydała mu się niezwykle pociągająca.

Jednym zdecydowanym ruchem podniósł ją do góry, wsunął rękę pod jej sukienkę i starając się opanować wszelkie emocje, delikatnie ściągnął z niej rajstopy. Jego głowa kilkakrotnie otarła się przy tym o jej ciało, a kiedy się podnosił, jego usta zupełnie niechcący leciutko musnęły jej pierś.

Czytała niejednokrotnie w książkach o tym, co mężczyźni potrafią robić z kobietami, ale nie bardzo wiedziała dlaczego. A teraz ku jej zdziwieniu ten lekki, męski dotyk spowodował u niej tak silny, rozkoszny dreszcz, że z trudem mogła złapać oddech. Poczwała, że kręci się jej w głowie.

Wolf odrzucił raj stopy na podłogę i powoli opuścił ją tak, że jej stopy zanurzyły się w cieplej wodzie. Wstrzymała na chwilę oddech, a potem w jej oczach pojawiły się łzy. Wiedział, że miała tak przemarznęte stopy, że nawet niezbyt gorąca woda musiała wywołać ból.

- Jeszcze moment, to nie potrwa długo - mruknął, ale tym razem jakoś ciepłej, jakby chciał podnieść ją na duchu.

Gdy zniknęło z jej oczu przerażenie, posadził ją na krześle i przystąpił do zdejmowania rękawiczek. Począł delikatnie rozcierać jej dłonie, lecz po chwili jednym ruchem rozpiął koszulę i przyłożył je do swojego gorącego torsu.

- Tak będzie mniej bolało - wyjaśnił - i szybciej się rozgrzeją.

Czegoś podobnego Mary jeszcze nie przeżyła. Czowała pod palcami jego rozgrzaną skórę i była to najbardziej intymna chwila, jaką dotąd było jej dane z kimkolwiek przeżyć. Jego nogi dotykały jej nóg, a jego rozgrzane ciało paliło ją w dłoń. Klęczał przed nią w skąpej podkoszulce na tyle blisko, że widziała prężące się pod jego skórą mięśnie. Cała ta sytuacja wydała jej się zupełnie nieprawdopodobna. To nie mogło się dziać naprawdę, nie z jej udziałem. Przez moment miała wrażenie, że to musi być sen.

Wolf spojrzał jej w oczy. Były ciemnoniebieskie, ale nie chabrowe. Miały szare plamki i całkiem ciemne otoczki. A jej jasnobrązowe włosy zadziwiły go swoją miękkością i jedwabistością. Jego twarz znajdowała się teraz dosłownie zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Zdawało mu się, że tak delikatnej skóry nie dotykał jeszcze nigdy w życiu. Zastanawiał się, czy jej skóra na ramionach, piersiach, brzuchu jest tak samo jedwabista. Na bladej twarzy Mary znowu pojawiły się jaskrawe szkarłatne rumieńce. Najwyraźniej wyczuwała, o czym on myśli.

Jak ona słodko pachnie...

Bliskość tego potężnego, silnego mężczyzny zupełnie ją sparaliżowała. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Zwilżyła usta i na moment, ignorując wyraz jego twarzy, wyszeptła:

- Przyszłam tu, żeby porozmawiać z Joem, jeśli oczywiście to możliwe.

- Nie ma go w domu.

- A kiedy wróci?
- -Może za godzinę, może za dwie...
- A pan jest jego ojcem.
- Tak.

Ta krótka wymiana zdań przywróciła ją trochę do rzeczywistości.

- Czy wie pan, że Joe rzucił szkołę? -ciągnęła ośmielona.
- Wiem, to była jego decyzja.
- Ale on ma przecież dopiero szesnaście lat i świetnie sobie radził...

- Ale jest Indianinem -przerwał jej Wolf.-I jest już mężczyzną, ma prawo o sobie decydować.

- Wcale tego nie neguję, lecz rozsądnie byłoby, gdyby skończył szkołę. To mu się z pewnością przyda.

- Sporo już umie: liczyć, czytać, tresować konie, prowadzić ranczo... Tak wybrał, takie życie bardziej mu odpowiada. Na razie to moje ranczo, ale kiedyś będzie należało do niego. Chce tu pracować.

Trochę go zirytowała, bo nie lubił opowiadać się komukolwiek. A jednak było w tej małej nauczycielce coś, co spowodowało, że wyjaśnił jej krótko intencje Joego. Najwyraźniej nie rozumiała, co znaczy być Indianinem, Wolfem Mackenzie, którego ludzie omijają wielkim łukiem.

- A jednak chciałabym z nim porozmawiać, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

- Nie ma problemu, ale nie wiem, czy on będzie chciał rozmawiać z panią.

- Więc pan nie stara mu się tego jakoś wytłumaczyć? - Nie zależy panu, żeby skończył szkołę?

Wolf nachylił się w jej kierunku. Jego twarz była teraz tak blisko jej, że ich nosy niemal się stykały.

- On jest Indianinem, droga pani. Pani nie wie, co to znaczy, no bo i skąd? Pani jest biała. A wykształcenie, które ma mój syn, zdobył sam, bez pomocy białego

nauczyciela. W szkole był w najlepszym wypadku ignorowany, a często także obrażany. Dlaczego miałby chcieć tam wrócić ?

Z trudem przelknęła te słowa. Obawiała się tego człowieka, nie przywykła do tak bezpośrednich, szczerych reakcji. A poza tym był mężczyzną, a ona w swoim życiu nie miała zbyt wiele do czynienia z płcią przeciwną. Kiedy była nastolatką, chłopcy nie zwracali na nią uwagi. Zawsze siedziała z nosem w książce i próbowała jakoś się za nią ukryć. A potem... potem też się nic nie zmieniło.

- Ale... -wzięła głęboki oddech -on był najlepszym uczniem w klasie. Więc jeśli osiągnął to sam, to proszę pomyśleć, jakie ma możliwości...

Wolf wstał i patrzył teraz na nią z góry. Nie znosiła tego.

- Już powiedziałem, że wszystko zależy od niego.- Wziął od niej kubek, napełnił go ponownie kawą i podał jej. Potem oparł się o ścianę i w milczeniu przyglądał się tej dziwnej kobiecie. Przypominała mu małą, zwinną kotkę. Spojrzał przelotnie na jej piersi. Pewnie też były niewielkie, ale jeśli tak jedwabiste jak jej policzki...

- Jest mi już dużo cieplej -powiedziała Mary i odstawiła pusty kubek. - Ta kawa dokonała cudu.

Czyżby naprawdę przyglądał się jej piersiom?

- Myślę, że znajdę jakieś ubrania Joego, które będą na panią pasowały - odezwał się dość ciepłym tonem.

- Ale przecież ja mam wszystko, co jest mi potrzebne. Ubranie, które mam na sobie...

- Jest całkowicie nedorzeczne -przerwał jej bez wahania. - Jesteśmy w Wyoming, a nie w Nowym Orleanie, czy też gdzieś na południu, skąd pani pochodzi.

- Z Savannah.

Otworzył szufladę i wyjął z niej ręcznik. Nie podał go jednak Mary, lecz przykląkł u jej stóp i wytarł je do sucha. Był przy tym zadziwiająco delikatny.

- Proszę pójść ze mną -wymamrotał.

- Ale dokąd?
- Do sypialni.

Mary stanęła jak wryta i nerwowo zamrugła powiekami. Po chwili dojrzała gorzki uśmiech na jego ustach.

- Niech się pani nie obawia. Jak już mówiłem, dziś jest sobota, więc jakoś powstrzymam swoje żądze. Jak tylko się pani rozsądnie ubierze, będzie pani mogła nietknięta zniknąć z mojego wzgórza.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Nie musi pan być zaraz taki sarkastyczny - powiedziała niezbyt pewnie, starając się nadrobić miną. Usta Mary zacisnęły się, tworząc teraz wąską, nieco wygiętą do dołu linię. Jej głos drżał lekko i w ogóle dawało jej się, że cała drży od środka. Nie miała przecież żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o sprawy damsko -męskie i strasznie się obawiała, że widać to na pierwszy rzut oka. Przyzwyczyła się do swojej samotności i do braku zainteresowania ze strony mężczyzn, nawet jej to odpowiadało. W końcu faktycznie miała przecież duszę szarej myszy i nie było sensu temu Sprzeczać albo się przeciwko temu buntować. Ale przy tym mężczyźnie, przy tym ogromnym, muskularnym i bezceremonialnym Indianinie czuła się dziwnie wyzwolona, jak nigdy. Nie chciała, żeby uważał, że jest mało atrakcyjna i choć wiedziała, że to niemożliwe,

przecież była mało atrakcyjna, na myśl o tym czuła w sercu jakiś dziwny nieznany dotąd ból.

- Nie jestem sarkastyczny. Byłem po prostu z panią szczerzy. Chcę, żeby pani wracała do domu, ale przedtem musi się pani porządnie ubrać.

- Ale nie musi się pan od razu ze mnie wyśmiewać - dodała z pretensją w głosie.

- Wyśmiewać - Wolf naprawdę nie bardzo rozumiał, o co chodzi tej kobiecie.

- Tak, wyśmiewać. Wiem, że nie jestem atrakcyjną kobietą, a już na pewno nie tym typem, który wywołuje w mężczyznach dzikie żądze. - Wydęła usta, jak dziecko, któremu odmówiono czekolady. Sama nie rozumiała, jak przeszły jej te słowa przez gardło i była pewna, że jeszcze nigdy nie odważyła się tak otwarcie rozmawiać z żadnym mężczyzną.

Jeszcze dziesięć minut temu przyznałaby jej rację, ale teraz zaczął patrzeć na nią nieco innym okiem. Zadziwiła go jej niezwykła szczerłość, a także, co dla niego było z kolei czymś zupełnie nowym, fakt, że jakby sobie w ogóle nie zdawała sprawy, czy też kompletnie to pomijała, że był w końcu Indianinem. Dlaczego w ogóle obchodził ją jego sarkazm i jakie mógł mieć dla niej znaczenie.

Roześmiał się. Właściwie dlaczego nie miałby spowodować, że jej życie stałoby się bardziej ekscytującej. Jej bliskość wprawiała go przecież w stan podniecenia, stan, który sprawiał mu ogromną przyjemność.

- Nie miałem takiego zamiaru - dodał po chwili namysłu. - Ani nie chciałem pani wyśmiewać, ani też być sarkastyczny.

Jego czarne oczy lśniły jakimś dziwnym blaskiem. Nie wiedziała, co ma o tym sądzić.

- Bo widzi pani, kiedy stałem tak blisko pani, dotykałem pani ciała, wdychałem pani słodki zapach, to wszystko - zdawał się szukać odpowiedniego słowa, żeby znowu nie było

jakichś nieporozumień - wywołało we mnie sporo emocji i... nakręciło mnie.

- Nakręciło - powtórzyła jak echo to ostatnie słowo.

- Tak, właśnie tak.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem, jakby mówili całkiem różnymi językami.

- Lub też, mówiąc bardziej elegancko - poprawił się po chwili - zadziało na moje, zmysły. - I nagle pokazał swoje białe zęby w szerokim uśmiechu.

Odrzuciła do tyłu niesforny kosmyk włosów, przyjęła bojową pozycję, rozsuwając nieco nogi i ujęła się pod boki.

- I znowu robi pan sobie ze mnie żarty. - W jej głosie brzmiało oskarżenie. Dobrze wiedziała, że nigdy i na nikogo nie działała podniecająco.

Wolf sam się sobie dziwił. W kontaktach z białymi nauczył się żelaznej kontroli i doskonale panował nad swoimi emocjami. Ale w tej małej kobiecie było coś, co pozwoliło mu na tę prostolinijność i otwartość. Dobrze wiedział, czym spowodowana była jego irytacja: był sfrustrowany seksualnie i miał wrażenie, że za chwilę eksploduje. Naprawdę tego nie chciał, ale jego dłonie same powędrowały w jej kierunku i nie wiedzieć jakim cudem znalazły się na wysokości jej talii. Przyciągnął ją do siebie i szepnął:

- A może powinienem to pani udowodnić?

Po czym, nie czekając na odpowiedź, nachylił się i pocałował ją.

Ciałem Mary wstrząsnął rozkoszny, nieznanym dotąd dreszcz. Kiedy ją całował, oczy miała szeroko otwarte. Nie chciała nic przegapić, widziała jego każdą rzęsę. Ale on nie patrzył, rysy jego napiętej twarzy złagodniały i rozplynęły się w błogim uśmiechu. Po chwili poczuła, jak przyciska ją do swego muskularnego ciała, a drugi pocałunek stał się jeszcze bardziej intensywny. Nawet nie zauważyła, kiedy zamknęła oczy, a jej wnętrze wypełniło jakieś nieopisane ciepło. To było coś tak

niezwykłego i niespodziewanego zarazem, że zaczęło jej się kręcić w głowie. Był gorący, silny i jakoś tak dziwnie pachniał... Tak, z całą pewnością pachniał prawdziwym mężczyzną.

Po chwili uniósł głowę. Rozczarowana otworzyła oczy i spojrzała na niego. Miała wrażenie, że Wolf pożera ją wzrokiem. Jego czarne, nieprzeniknione oczy płonęły pożądaniem.

- Pocałuj mnie — szepnął namiętnie.

Na ciele Mary pojawiła się gęsia skórka.

- Ale nie wiem jak... - wyjąkała nieśmiało, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co ją spotkało.

- Nie wiesz jak? Więc ci pokażę - powiedział cicho i ponownie zbliżył swe rozpalone usta do jej drżących warg.

Wpił się w nie z taką siłą, że z piersi Mary wyrwał się głuchy jęk, a jej ciało wypełniła nieznana dotąd rozkosz. Cóż za zniewalające uczucie, pomyślała, już nie zwiewne i niemal niedostrzegalne, lecz wszechwładne i zniewalające. Serce waliło jej tak mocno, że miała wrażenie, że za chwilę wyskoczy jej z piersi. Więc taki stan oznaczał podniecenie, przemknęło jej przez myśl. Jakże trudno było nad nim zapanować i okiełzać to przedziwne uczucie, które obudziły w niej jego szalone pocałunki. Męskie silne dłonie mocno zacisnęły się wokół jej talii, a potem lekko uniosły ją do góry. Z jego krtani wydobył się niski, zachrypnięty głos. Westchnęła głęboko. Czuła każdy jego mięsień, każdy oddech i napawało ją to jakąś przedziwną rozkoszą. Nie wiedziała, że można się tak czuć, że pożądanie może płonąć tak gorącym ogniem. Nigdy by się nie spodziewała, że kiedykolwiek uda jej się zapomnieć o przestroгах ciotki Ardith, która zawsze podkreślała, że należy wystrzegać się mężczyzn, bo lubią wyczyniać z kobietami haniebne rzeczy. Może nie były aż tak haniebne, jak dotąd jej się zdawało? Nie miała o tych sprawach najmniejszego pojęcia, gdyż nigdy nie zadawała się z

mężczyznami. Owszem, miała w pracy kolegów, ale nie przerażali jej wcale i czuła się w ich towarzystwie całkiem swobodnie. W każdym razie nie wyglądali na maniaków seksualnych, czy coś w tym rodzaju. Niektórych z nich mogłaby nawet nazwać przyjaciółmi. Ale żaden nie zastukał do jej drzwi i nie usiłował wyciągnąć jej na randkę. Zresztą nie czuła się ani trochę seksowna. Tym bardziej nie rozumiała tego, co jej się przytrafiło. Wolf zadziwiał ją głodem swoich pocałunków i siłą pożądania. Czuła, że to nie był zwyczajny mężczyzna. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek spotka ją coś podobnego, i że na dodatek będzie pragnęła jeszcze więcej. Zupełnie nieświadomie zaplotła ramiona wokół jego szyi. Jej ciało płonęło, a usta nie mogły się nasycić. Uniosła głowę do góry i rzuciła Wolfowi rozmarzone spojrzenie. Nietrudno było odgadnąć jej myśli, zaróżowione policzki i lśniące, poszerzone żrenice zdradzały ją natychmiast. Wiedział o tym, że mógłby ją mieć tu i teraz. Lecz nie był do końca przekonany, że Mary jest w pełni świadoma tego, co robi. Widział, że rozpala ją pożądanie, niezaspokojone przez długie lata, a kto wie, może i nigdy, ale pragnął, by to nie przypadek zdecydował w tej sprawie, ale jej wybór. Sam nie rozumiał, dlaczego mu tak na tym zależało. Trudno było nie dostrzec jej braku doświadczenia; musiał nauczyć ją wszystkiego, dosłownie wszystkiego...Nagle zeszytywniał, poczuł się tak, jakby dopadł go paraliż. O rany, pomyślał, przecież najprawdopodobniej ona jest dziewicą! Patrzyła na niego tymi swoimi niebieskimi, niewinnymi oczami, które rozpałały w nim pożądanie i czekała; tak, najwyraźniej czekała, aż uczyni następny ruch. Sama nie miała przecież pojęcia, co zwykle robi się w takich sytuacjach.

Ręce Mary wciąż oplatały kark Wolfa, a uda ściśle przylegały do jego prężnego ciała. Była szczęśliwa, żaden mężczyzna jeszcze nie pocałował jej w taki sposób, żaden nie

dotknął jej piersi, ani nie przyciągnął jej do siebie z takim pożądaniem.

- Jeszcze chwila i sytuacja wymknęłaby się nam spod kontroli - odezwał się Wolf. Odchylił przy tym do tyłu głowę i westchnął ciężko.

- Spod kontroli? - wyszeptała naiwnie. Jej dłonie wciąż oplatały jego szyję.

Powoli i jakby niechętnie postawił ją na podłodze. Być może ona nie zdawała sobie sprawy, jak niewiele brakowało; żeby kochali się ze sobą i w ogóle z całej zaistniałej sytuacji. Był w końcu Indianinem, a ona białą nauczycielką i mimo że najwidoczniej nie miała żadnych uprzedzeń, to jednak z całą pewnością poczciwi mieszkańcy Wyoming nie byłiby zadowoleni, gdyby się z nim zadawała. To ona miała pod opieką ich dzieci, a co za tym idzie wpływ na ich moralne postawy i nikt, z pewnością nikt nie życzyłby sobie, żeby pracowała w szkole kobieta, która wdała się w romans z byłym skazańcem, a do tego Indianinem. Być może nawet jego przeszłość by mu wybaczyli, ale domieszki indiańskiej krwi - nigdy. Musiał więc pozwolić jej odejść, musiał zostawić ją w spokoju, niezależnie od tego, jak bardzo pragnął, by znalazła się w jego sypialni i jak bardzo chciał pokazać jej, co tak naprawdę łączy kobietę i mężczyznę.

- Tak, spod kontroli - odparł, delikatnie ujął jej dłonie i zdjął je ze swego karku.

Stali tak jeszcze przez chwilę, patrząc na siebie, gdy za ich plecami dał się słyszeć czyjś głos, który wyrwał Mary ze świata marzeń.

- O, przepraszam, może wrócę za jakiś czas.

Spojrzała w kierunku przybysza i jej policzki zapłonęły ogniem. Był to wysoki, szczupły, ciemnowłosy chłopiec, który stał bezradnie pośrodku kuchni. W dłoni trzymał czapkę, którą zerwał z głowy.

- Przepraszam, tato, nie wiedziałem, że... przepraszam, nie chciałem...

- Zostań - powiedział zniżonym głosem Wolf i postąpił krok do tyłu. - Właściwie ta pani przysłała do ciebie.

Chłopak patrzył zdziwiony i zdawał się nic nie rozumieć.

- Do mnie? - odezwał się w końcu.

- To jest panna Mary Potter, nowa nauczycielka. A to, rzecz jasna, mój syn, Joe.

Zdawało się, że ma wszystko pod kontrolą. Był spokojny i opanowany, nawet przeszło jej przez myśl, że to, co się przed chwilą między nimi wydarzyło, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Była zawiedziona, bo ona wciąż jeszcze nie mogła nad sobą zapanować, wciąż jeszcze czuła się rozedrgana do granic możliwości. Pragnęła, by ją objął swoimi silnymi ramionami i przytulił do muskularnego torsu. Tymczasem stała pośrodku pomieszczenia, z opuszczonymi rękami i z wypiekami na policzkach. I musiała stawić czoło sytuacji. W końcu to dla niego tutaj przyjechała, nie wolno jej było o tym zapomnieć. Jeden rzut oka starczył, żeby stwierdzić, że był bardzo podobny do ojca. Wzrostem także prawie go już dogonił, a jego szerokie ramiona i wąskie biodra do złudzenia przypominały Wolfa. Po prostu zdjęta skóra, pomyślała Mary. Był nieodrodnym synem swego ojca. I te wydatne kości policzkowe i drobne, ale jakże wyraziste rysy twarzy.

Również on zachował absolutnie zimną krew, co wydało jej się dziwne, jak na szesnastolatka. Jedyne te jego jasne niebieskie błyszczące oczy nie pasowały do całej układanki. Ale i w nich malowała się jakaś nieprzeciętna dojrzałość, nietypowa dla nastolatka pokora i akceptacja. Wydał jej się wyjątkowy i już teraz była absolutnie pewna, że nie zrezygnuje tak łatwo z tego chłopca.

Wyciągnęła do niego dłoń, pokonując własną niemoc i drżenie głosu.

- Bardzo mi miło, Joe, chciałabym z tobą porozmawiać.

Na twarzy chłopca malowało się zdziwienie, lecz podszedł do niej i podał jej rękę.

- Zastanawiałam się, dlaczego rzuciłeś szkołę.

- Nie mam tam czego szukać - odparł obojętnie.

To beznamienne wyznanie, rzucone jakby mimochodem, wytrąciło jej z ręki argumenty. Przez chwilę poczuła się bardzo niepewnie. Nie było w jego słowach najmniejszej choćby wątpliwości, po prostu rozważył wszystkie za i przeciw i podjął decyzję, i bynajmniej nie wyglądało na to, że zamierza ją zmienić.

- Pani Potter - usłyszała nagle niski głos Wolfa - może dokończy pani te rozmowę, gdy się pani przebierze w jakieś cieplejsze ubranie. Joe, mógłbyś poszukać jakichś swoich dżinsów, które pasowałyby na panią?

Wydało jej się to dziwne, ale chłopak rzucił jej krótkie spojrzenie, spojrzenie znawcy, i powiedział z uśmiechem:

- Myślę, że tak, te sprzed dwóch, trzech lat.

- Świetnie, a do tego ciepłe skarpety, bluzę lub sweter i grubą kurtkę - poprosił Wolf.

- Zaraz sprawdzę.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, był zadziwiony jej drobną figurą.

- Ach, i jeszcze buty, oczywiście, jakieś solidne- dorzucił Wolf, gdy jego syn był już praktycznie za drzwiami.

- Ależ panie Mackenzie, ja naprawdę nie potrzebuję żadnych ubrań na zmianę. To, co mam na sobie, pozwoli mi bez trudu dotrzeć do domu.

- To wykluczone, ma być dziś minus dziesięć. Nie może pani pójść na taki mróz niemal z gołymi nogami i do tego w tych cieniutkich półbutach.

Już miała się odgryźć, ale przypomniała sobie to nieprzyjemne uczucie, kiedy śnieg wpadał do jej butów przy każdym kroku i to okropne zimno, które paraliżowało jej stopy.

Tutaj, w Wyoming, był inny świat, w niczym nie przypominający Savannah, szczególnie w zimie.

- Zgoda - westchnęła ciężko, zdając sobie sprawę, że było to jedyne rozsądne rozwiązanie. Mało komfortowa była ta myśl, że będą to ubrania Joego. Dotychczas jeszcze nigdy nie pożyczała od nikogo żadnych rzeczy, nawet od koleżanek czy od ciotki.

- Ja zajmę się w tym czasie pani samochodem.

Do kuchni zajrzał Joe.

- Proszę za mną, pokażę pani drogę. A tak w ogóle, co się stało z pani samochodem? Daleko stąd pani utknęła?

- Powinieneś go widzieć, kiedy podjeżdżałeś pod górę, stoi bardzo blisko.

- Podjeżdżałem z innej strony, tam nie jest tak stromo. Naprawdę nieźle, jak na to, że nie jest pani przyzwyczajona do śniegu i mrozu - zwrócił się do Mary.

- Nie miałam pojęcia, że jest gdzieś jakaś inna droga. - Rozejrzała się wkoło, bo przechodzili właśnie przez ciepły i wygodny, choć raczej skromnie urządzony salon. - Miło tu - dodała po chwili.

- Moje stare rzeczy są w pudełkach, na poddaszu. Ale proszę się nie obawiać, odnalezienie ich nie zajmie mi dużo czasu. O, tu - Joe wskazał ręką jedne z drzwi - może się pani przebrać. To moja sypialnia.

- Dziękuję ci bardzo - powiedziała i popchnęła drzwi. Jej oczom ukazały się drewniane ściany i belki na suficie. Rozejrzała się, lecz nie znalazła nic, co wskazywałoby na to, że pokój zamieszkiwany jest przez kilkunastoletniego chłopca. Żadnych plakatów na ścianach czy ubrań rozrzuconych po podłodze. Łóżko było gładko pościelone i przykryte narzutą. Obok łóżka stały regały z książkami, wysokie aż pod sufit. Miała wrażenie, że wszystko, co znajdowało się w tym pokoju, było zrobione własnym sumptem. Podeszła bliżej do półek i zaczęła oglądać książki. Upłynęło trochę czasu, nim

zorientowała się, że każda z nich miała coś wspólnego z lataniem. Począwszy od opisów doświadczeń Leonarda da'Vinci, poprzez książki o różnych typach helikopterów i samolotów, aż po szczegółowe opisy wszystkich możliwych powietrznych bitew. Znalazła też informacje o samolotach eksperymentalnych, o taktyce walk powietrznych, wszystko, dosłownie wszystko, co można sobie było wyobrazić na temat lotnictwa.

- Proszę, oto są dla pani ubrania - usłyszała za sobą głos Joego. Wszedł do pokoju całkowicie bezszelestnie, jak prawdziwy Indianin.

- Widzę, że interesujesz się lotnictwem?

- Tak, to bardzo ciekawe.

- Myślałeś kiedyś o tym, żeby nauczyć się latać?

- Tak - odpowiedział krótko i zaraz dał się słyszeć trzask zamykanych drzwi.

Mary jeszcze raz rozejrzała się po pokoju chłopca. To niezwykle, pomyślała, on ma prawdziwą obsesję na punkcie latania. Obsesja zaś, jeśli rozwinię się w dobrym kierunku, jest nadzwyczajnym motorem popychającym do działania i potęgującym motywację; sprawia, że człowiek zaczyna czegoś pragnąć i o czymś marzyć, nawet wówczas, jeżeli w danej chwili jest to mało realne. Tak, wiedziała już, że ten właśnie argument wykorzysta, aby skłonić Joego do powrotu do szkoły.

Nie była zbyt zachwycona faktem, że dzinsy z kilkunastoletniego chłopca pasowały na nią jak ulał. Koszula była trochę za duża, ale nie miało to teraz większego znaczenia. Podwinęła trochę rękawy i wsunęła nogę do buta. Miała sporo luzu, więc włożyła jeszcze jedne skarpety i zawiązała sznurowadła. Zrobiło jej się cudownie ciepło i natychmiast zdecydowała, że pozbiera wszystkie swoje oszczędności i kupi sobie parę ciepłych zimowych butów, podobnych do tych, które miała właśnie na nogach.

Kiedy weszła do salonu, Joe dokładał właśnie do kominka. Na widok Mary na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

- Nie wygląda pani jak nauczycielki, które dotąd zdarzało mi się widzieć.

- No cóż, nie szata zdoła człowieka, a umiejętności to już na pewno nie mają nic wspólnego z wyglądem. Może przypominam teraz dziesięcioletniego chłopca, ale zapewniam cię, że w tym co robię, jestem naprawdę dobra.

- Miałem nie dziesięć, a dwanaście lat, kiedy nosiłem te spodnie - dodał z uśmiechem Joe.

- Powiedz mi, dlaczego zrezygnowałeś ze szkoły?- Wiedziała, że częste powtarzanie tego samego pytania przynosi w efekcie końcowym oczekiwaną odpowiedź. Lecz Joe i tym razem zachował spokój i powtórzył dokładnie to samo, co powiedział wcześniej.

- Bo nie miałem tam nic do szukania.

- Jak to nic Nie chcesz się już niczego więcej nauczyć?

- Pani Potter, jestem Indianinem, to samo mówi za siebie. To, czego się nauczyłem, zawdzięczam sam sobie. Nikt mi w tym nie pomógł, dla nauczycieli byłem kompletnie niewidzialny. Nie włączali mnie do żadnych gier ani wspólnych zajęć, nie przydzielali mi żadnych zadań do wykonania. Przyznam szczerze, że byłem zdziwiony, że w ogóle sprawdzali moje prace.

- Przecież byłeś najlepszym uczniem w szkole...

- Lubię książki.

- Nie brakuje ci szkoły?

- Potrafię czytać, więc do czego mi szkoła? - Tu jestem przydatny ojcu i to jest dla mnie ważne. Znam się dobrze na koniach, może nawet, oczywiście z wyjątkiem mojego taty, najlepiej w okolicy. I proszę mi wierzyć, nie nauczyłem się tego w szkole. Kiedyś to ranczo będzie moje i tu spędzę całe

moje życie. Po cóż miałbym marnować mój cenny czas w szkole?

Mary wzięła głęboki oddech i wyciągnęła z rękawa swojego asa.

- No, choćby po to, żeby nauczyć się latać...

W jego oczach zapłonął na moment ogień, ale niemal w tej samej chwili zgasł.

- W szkole w Ruth nie nauczę się latania. Może kiedyś stać mnie będzie na lekcje...

- Nie mówiłam o lekcjach, ale o Akademii Wojskowej - wpadła mu w słowo.

Tym razem nie przyszło mu łatwo ugaszenie żaru, jaki dojrzała w jego wzroku. Wyglądał tak, jakby zobaczył bramy raju.

- Nich pani ze mnie nie żartuje, na to nie ma sposobu...

- Skąd to wiesz? Z tego, co widziałam w twoich papierach, masz naprawdę sporą szansę...

- Ale przecież rzuciłem szkołę...

- W każdej chwili możesz do niej wrócić.

- Mam przecież zaległości, musiałbym pewnie nawet powtarzać klasę, a nie wytrzymam tego, by wszyscy ci idioci nazywali mnie głupim Indianinem.

- Po pierwsze, wcale nie masz takich zaległości, a po drugie, chętnie ci pomogę...

- I co wtedy?

- Wtedy... zaznaczam, jeśli nadal będziesz miał tak dobre wyniki, trzeba będzie zdobyć rekomendacje od lokalnych władz...

- Tak, już to widzę, jak lokalne władze rekomendują Indianina - wpadł jej znowu w słowo. - Mogę panią zapewnić, że pod tym względem z całą pewnością jestem na ostatnim miejscu.

- Nie przesadzaj, nie możesz zrzucić wszystkiego na karb tego, że jesteś Indianinem. Wiem, że nie masz łatwej sytuacji i

nic nie możesz poradzić na ludzką głupotę, ale to co możesz, to na pewno zmienić swoje podejście i swoje reakcje. Nie masz przecież pojęcia, co postanowią lokalne władze w twojej sprawie, a już się poddajesz, zanim spróbowałeś. Chcesz więc oddać tę walkę walkowerem?

Joe wyprostował się, a jego oczy zapłonęły.

- Nie chcę.

- W takim razie nie wycofuj się przed zakończeniem pierwszej rundy. Zrozum, całe życie to walka, nie tylko dla Indian. Nie możesz zaprzepaścić swoich pragnień. Czyżbyś chciał umrzeć, nie wiedząc nawet, co to znaczy siedzieć za sterem w kabinie pilota?

- To nie fair, gra pani nieczysto - obruszył się Joe.

- Czasami nie ma innego wyjścia, czasami trzeba mocniejszych słów, żeby do kogoś dotrzeć. Czasami nawet trzeba kimś z całej siły potrząsnąć, żeby zrozumiał. Więc co, masz na tyle samozaparcia, żeby spróbować?

- Ludziom w Ruth z pewnością się to nie spodoba, że poświęca pani swój czas dla Indianina . Jak pani sobie z tym poradzi, przecież jest pani tutaj nowa?

- Pozostaw to mnie, takie sprawy mnie nie przerażają i myślę, że uda mi się jakoś rozegrać tę partię. Naszym wspólnym celem jest, byś dostał się do Akademii Wojskowej i jeśli podejmiesz tę próbę, to jeszcze dziś napiszę w tej sprawie do Kongresu Stanów Zjednoczonych. A twoje pochodzenie tym razem może ci nawet dopomóc w osiągnięciu celu.

- Jeżeli mieliby mi pomóc tylko dlatego, że jestem Indianinem, to nie chcę, bo nie potrzebuję żadnej łaski.

To zadziwiające, jak w ułamku sekundy może zmienić się twarz człowieka, zauważyła Mary. Od jego lekko zwięzonych oczu, ściągniętych ust i podniesionego czoła biła teraz nieopisana wprost duma, niemal nie pasująca do tak młodego człowieka.

- Nie żartuj sobie - postanowiła zbagatelizować jego reakcję - z całą pewnością nikt nie przyjmie cię tylko dlatego, że jesteś półkrewi Indianinem. Ale jeśli ten fakt miałby dodatkowo zainteresować Kongres, to czemu z tego nie skorzystać? Ale nie licz na to zbyt i pamiętaj, przede wszystkim sam musisz zapracować na swój sukces.

Przeczesał palcami swoje kruczoczarne włosy, podszedł do okna i westchnął głęboko. Czas jakiś wpatrywał się w górzysty śnieżny krajobraz i dopiero po kilku minutach znowu się odezwał.

- I myślisz pani, że to jest rzeczywiście możliwe?

- Jak najbardziej możliwe, ale nikt ci nie obiecuje, że łatwe. Ale powiedz, wybaczyłbyś sobie kiedykolwiek, że nawet nie spróbowałeś, że nie podjąłeś tego wyzwania?

Nie bardzo wiedziała, jak dotrze do Kongresu, ale postanowiła sobie, że napisze do wszystkich senatorów i przedstawicieli stanu Wyoming.

- Ale ja mam czas tylko wieczorami, w ciągu dnia jestem tu potrzebny.

- Nie widzę przeszkód.

- Pani naprawdę zależy na tym, żebym wrócił do szkoły...

- wymamrotał zadziwiony. Nie wiedział, co ma o tym sądzić.

- I nie rozumiem dlaczego?

- Jak to dlaczego? To chyba oczywiste.

- O nie, nie ma w tym nic oczywistego, żadnemu innemu nauczycielowi nie zależało na tym, czy pojawia się w szkole, czy nie. Nikogo ta sprawa nie obchodziła, a nawet, jak sądzę, byli zadowoleni, kiedy mnie nie było.

- No cóż, bardzo mi przykro z tego powodu, ale mnie zależy. To mój zawód, ba, moje powołanie, i jeśli nie mogłabym uczyć, to kim bym była? Czy nie tak właśnie odczuwasz swoje pragnienie latania? Czy nie ono właśnie wydaje ci się najważniejsze? Czy nie myślisz czasami, że bez latania nie będziesz potrafił żyć?

- Tak bardzo tego pragnę, że aż boli - wyznał cicho drżącym głosem. - Nie potrafię opisać, co czuję, gdy myślę o lataniu. To tak, jakby moja dusza znalazła się nagle w raju.

Patrzyła na niego i wiedziała, o czym myśli, widziała, jak odpływa gdzieś w dal, jak szybuje pośród chmur. Wyraźnie było też widać, jak opada nagle na ziemię. Wyprężył swoje ciało i prawie zasalutował.

- A więc dobrze - wyrzucił z siebie - kiedy zaczynamy?

- Choćby dzisiaj, jeśli chcesz. I tak straciłeś już sporo czasu.

- Ile potrzebuję czasu, żeby nadrobić materiał? - spytał i spojrzął na nią niepewnie.

- Nadrobić? Przecież ty i tak wszystkich pozostawiłeś daleko w tyle. Wystarczy, że porządnie weźmiesz się znowu do nauki.

- Tak jest, oczywiście, że się wezmę. - W jednej chwili jego zwykle tak poważna i skupiona twarz pojaśniała i zawitał na niej jeszcze niezbyt pewny uśmiech. Teraz zdecydowanie bardziej przypominał swoich rówieśników. Wyglądał na kilkunastoletniego chłopca, a nie na przedwcześnie zgorzkniałego młodego mężczyznę.

Mary była prawdziwie uszczęśliwiona tą przemianą. Więc miała rację. Wprawdzie rzucił szkołę, ale to nie był jego wolny wybór. Wydawało mu się, że nie ma innej drogi, że tylko taka decyzja ma sens. Dobrze wiedziała, patrząc na jego rozświetlone oczy, że dołoży wszelkich starań, żeby przejść przez ten trudny etap swego życia.

- Możesz być u mnie o szóstej? - zapytała już wprost. - A może wolisz, żebym ja przyjeżdżała tutaj? - Pomyślała w tej chwili o dramatycznej jeździe po śniegu w egipskich ciemnościach i potwornym mrozie, i wstrząsnął nią dreszcz.

- Będę przyjeżdżał do pani. Z tego, co zdążyłem się zorientować, nie przepada pani za jazdą w zimie. Tylko nie wiem, gdzie pani mieszka...

- To ten dom przy wjeździe do miasteczka, ten na bocznej drodze... chyba jedyny w tamtym rejonie.

- Owszem. To jedyny dom w obrębie pięciu mil - zdziwił się Joe.

- Szkoła załatwiła mi to lokum, ale i tak jestem im wdzięczna.

- No cóż, niełatwo jest ściągnąć nowego nauczyciela w środku roku szkolnego.

- Nie sądzisz, że twój ojciec powinien już wrócić?

- To zależy, co tam zastał... Ale proszę, o, właśnie wraca.

Czarna ciężarówka z rykiem zajęchała przed dom. Po chwili wyskoczył z niej Wolf. Wraz z nim wdarł się do pomieszczenia mroźny powiew. Otrzeptał śnieg i zamknął za sobą drzwi.

- Może się pani zbierać, wiem już, co dolega pani samochodowi, mam też potrzebną część. Tak więc pojedziemy tam razem, zrobię, co trzeba i odwiozę panią do domu. To nie potrwa zbyt długo. - Zawiesił na chwilę wzrok na jej szczipłych biodrach i długich nogach, które teraz zgrabnie opinały dżinsy Joego.

- Bardzo dziękuję za pomoc, ale do domu mogę już wrócić sama.

- Jeśli pani pozwoli, odwiozę panią do domu. Nie chciałbym się zamartwiać, że znowu utknęła pani w śniegu.

Nie wiedziała, co on naprawdę myśli. Jego twarz, jak zwykle, nie wyrażała nic. Odniosła jednak wrażenie, że spieranie się z nim, kiedy raz już podjął decyzję, nie ma najmniejszego sensu. Pozbierała więc swoje rzeczy, Wolf pomógł jej włożyć kurtkę, która sięgała jej aż do kolan, a rękawy wystawały jeszcze poza dłonie. Domyśliła się, że kurtka należy do niego. Wolf spojrzał badawczo na syna.

- Rozmawialiście?

Joe wyprężył się i patrząc ojcu prosto w oczy, powiedział:

- Pani Potter będzie mnie uczyła i... - zawahał się chwilę - i spróbuję dostać się do Akademii Wojskowej.

- To twoja decyzja, synu, i masz do niej prawo. Chciałbym tylko, byś był świadomy tego, w co się pakujesz.

- Muszę spróbować, tato, muszę - dodał z naciskiem.

Wolf pokiwał głową i na tym zakończyła się ich rozmowa.

Wyszli na zewnątrz. Znowu to przejmujące zimno. Mary zadrżała. Jak można się do czegoś takiego przyzwyczaić? Prędko wspięła się do samochodu, a zaraz za nią Joe. Wolf wsunął się za kierownicę i ruszył z miejsca. Zatrzymał się jeszcze na krótko przy stodole, z której wrócił po chwili z kawałkiem czarnego, gumowego węża w rękę.

Gdy dotarli na miejsce, gdzie zostawiła swój samochód, obaj mężczyźni wysiedli pośpiesznie i bezzwłocznie przystąpili, do naprawy jej chevroleta. Wolf odwrócił się i krzyknął, żeby została w środku i nie wyłączała silnika. Był apodyktyczny, ale jakoś jej to nie przeszkadzało. Jego polecenia i decyzje były słuszne, tylko może sposób, w jaki je wypowiadał, pozostawiał nieco do życzenia. Za to bardzo podobał jej się jego związek z synem. Nie miała co do tego wątpliwości, że respektowali się nawzajem. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, żeby mieszkańcy Ruth byli wobec nich tacy nieprzyjemni tylko dlatego, że nie mieli białej skóry. Widziała też w oczach Joego jakiś lęk, jakąś obawę o ojca. Ale dlaczego? Wobec niej zachował się nadzwyczaj przyzwoicie, wybawił ją w końcu z niezłego kłopotu i zaopiekował się nią, jakby była bezradnym dzieckiem. To prawda, pocałował ją, ale nie broniła się, nie zakazała mu tego. Mary poczuła, jak na wspomnienie tych gorących pocałunków płoną jej policzki. Sama nie wiedziała, jak do tego doszło. Wcześniej jeszcze nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji i właściwie coś takiego zupełnie nie leżało w jej naturze. Ciekawe, co powiedziałyby ciotka Ardith, gdyby dowiedziała się, co Mary pozwoliła wyprawiać ze sobą obcemu mężczyźnie. Wiedziała, że postąpiła bardzo nierozsądnie, to było naprawdę szalone, ale musiała przyznać przed samą sobą, że nadzwyczaj ekscytujące.

Tak bardzo była pochłonięta swoimi myślami, że nie usłyszała nawet, jak zaskoczył silnik jej samochodu. Dopiero gdy Wolf znalazł się w furgonetce, dotarło do niej, że jest już po wszystkim. Ale nawet na nią nie spojrział. Usadowił się na swoim miejscu i rzucił krótko:

- Naprawilem, Joe pojedzie za nami.

Zmieszała się i znowu na jej policzkach pojawiły się mocne rumieńce. Tak bardzo zagłębiła się w rozpamiętywanie jego gorących pocałunków, że zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością.

Przez moment ich kolana stykały się, jako że Mary wciąż jeszcze siedziała pośrodku, więc wyrwało jej się cicho:

- O, przepraszam, przeszkadzam ci w tym miejscu - czym prędzej przesunęła się kawałek w stronę drzwi.

W żadnym wypadku nie przeszkadzało mu to, ale nie chciał prowokować sytuacji, nad którą znowu nie będzie potrafił zapanować. Wystarczy już, że tam, w domu, wymknęła mu się spod kontroli. Wcale nie zachwycał go ten układ między Mary a Joem. Nie mógł przestać o tym myśleć. Pragnął kobiety, potrzebował jej ciepła i miękkości, delikatności jej skóry, lekkości ruchów i ekscytacji w oczach, ale najważniejszy był dla niego Joe.

- Przyznam, że niepokoi mnie decyzja Joego. Boję się, by go nie skrzywdzono tylko dlatego, że pani zawierzyła swojemu nieomylnemu, jak się domyślam, instynktowi. - Umilkł na chwilę i spojrział na nią pytająco.

Ten jego niski, balsamiczny głos zadziałał na nią jak afrodyzjak, ale kiedy zawiesił na niej swój przenikliwy wzrok, zeszywniała.

- Akademia Wojskowa... - kontynuował, cały czas wpatrując się w jej zakłopotaną twarz. - Czy to nie za wysokie progi, jak na indiańskiego dzieciaka? - Szczególnie, że wiele osób tylko czyha na to, by mu się powinęła noga.

Jakże się mylił, jeśli liczył na to, że ją zastraszy. Na początku trochę się zmieszała, ale już po chwili odzyskała równowagę i pewność siebie.

- Nie obiecywałam, że dostanie się do Akademii Wojskowej i on to rozumie - w jej oczach płonął żywy ogień - ale jest zdolnym uczniem, więc uważam, że grzechem byłoby nawet nie spróbować.

- Ale on przecież rzucił szkołę i nie wiadomo kiedy nadrobi wszystkie zaległości...

- Po to właśnie zaoferowałam mu swoją pomoc i nawet jeżeli nie dostanie się na akademię, to przynajmniej będzie miał maturę, no i świadomość, że się nie poddał na wstępie.

- Maturę, po której będzie robił to, co równie dobrze mógłby robić i bez niej.

- Tak też się może ułożyć, ale nie musi. Spróbuję dotrzeć do odpowiednich ludzi i zdobyć jak najwięcej informacji, ale z pewnością należy liczyć się z olbrzymią konkurencją.

- Ludziom w miasteczku na pewno nie będzie się podobało, że poświęca pani swój czas Indianinowi, że go pani uczy... bezinteresownie.

- To samo powiedział Joe, ale ja też mam coś w tej sprawie do powiedzenia. - Patrzyła mu prosto w oczy i nie mógł mieć żadnych wątpliwości, że mówi absolutnie poważnie.

Nie odezwał się więcej ani słowem. Ona zresztą też. Dopiero gdy podjechał pod jej dom, spojrział na nią jakoś inaczej, jakby łagodniej.

- Niech pani spróbuje przynajmniej utrzymać to w tajemnicy. Już nie chodzi o Joego, ale o panią. Pani nawet nie wie, czym coś takiego może się skończyć, nie wie pani, na co stać tych ludzi. Lepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie, że w ogóle pani ze mną rozmawiała.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się gorzko.

- Jestem byłym skazańcem - zawiesił na chwilę głos, a potem dodał: - siedziałem za gwałt.

ROZDZIAŁ TRZECI

Później, gdy po tysiącokroć się nad tym zastanawiała, miała ochotę samą siebie zbesztać za to, że wyszła z furgonetki bez jednego choćby słowa. Była jednak tak zszokowana, że nie mogła nic z siebie wydusić. Boże, o niczym nie wiedząc, pozwoliła mu się całować i... Nie, to niemożliwe, wciąż nie mogła uwierzyć, że postąpiła tak nierozsądnie, pominąwszy już nawet Wolfa i jego przeszłość.

Bąknęła tylko:

- Dziękuję, i do widzenia - i szybko wyśliznęła się z szoferki.

Przechodząc koło Joego, przypomniała, że czeka na niego o szóstej i zniknęła za drzwiami domu.

Dopiero teraz obleciał ją strach. Jak w transie stała pośrodku pokoju i nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. W końcu nie wytrzymała i ryknęła na całe gardło:

- Do diabła, jeżeli ten facet jest gwałcicielem, to ja -to ja - rozejrzała się nerwowo wokół siebie - to ja zeżrę cię dziś na kolację! - Spojrzała na swojego kota, który najspokojniej w świecie zajął się chłeptaniem mleka z miseczki.

Kocur nawet nie drgnął, co stanowiło dla Mary niezbity dowód, że ma całkowitą rację. Nie drgnął, czyli nie bał się jej, czyli wiedział, a raczej czuł to doskonale, że nic mu z jej strony nie grozi. Wolf siedział za gwałt, ale z pewnością nikogo nie skrzywdził. Nie facet, który własnymi dłońmi rozcierał jej zmarznięte stopy i podstawiał miskę z ciepłą wodą, żeby się rozgrzała. Inaczej nie wypuściłby jej od siebie, nie zastopowałby biegu wydarzeń, zanim wymknęłyby mu się naprawdę spod kontroli. Dałaby sobie za to głowę odciąć. Więc to dlatego obaj Mackenzie mieli taki dystans do białych i byli przekonani, że nic dobrego nie może ich od nich spotkać, przemknęło jej przez myśl. A może nie była w jego typie albo wystarczająco atrakcyjna? - Przez moment miała wrażenie, że miesza jej się w głowie. Zaraz, zaraz, spokojnie, może nie mam doświadczenia, ale w końcu nie jestem głupia, tłumaczyła samej sobie. Przecież był podniecony, z całą pewnością, tyle potrafiła odróżnić. Nie próbował jej do niczego namawiać czy przekonywać, ona też tego chciała, uświadomiła sobie nagle, pragnęła przecież, by całował ją i pieścił, by dotykał jej piersi i robił to wszystko, co inni mężczyźni robili z kobietami.

Wydała z siebie gardłowy, stłumiony jęk, lecz była przecież sama i tylko kot, trochę zdziwiony, podniósł łebek znad spodka, by na nią spojrzeć.

Była w szoku, nigdy nie poznała pożądania i nie podejrzewałaby nawet, że jej ciało jest zdolne do takich uniesień. Trochę ją to przerażało, bo zdała sobie sprawę, że nie zna samej siebie, nie zna potrzeb swego ciała i jego reakcji na

ciepło męskich rąk. Stało się dla niej jakby obce, niezrozumiałe, nieobliczalne. Pragnienie, które nie dawało jej spokoju, dziwiło ją i zawstydzalo zarazem. Nie wiedziała, co ma z tym począć.

Zgodnie z umową Joe stawiał się u niej punktualnie o szóstej. Był nadzwyczaj pojętym i pracowitym chłopcem. No i, dzięki Bogu, przyjechał sam, bez ojca. Po długich godzinach rozpamiętywania tego, co przeżyła z Wolfem, wołała nie patrzeć mu w twarz. Nawet nie chciała wiedzieć, co on o niej myślał. Właściwie była przekonana, że to ona go zaatakowała i niemal uwiodła.

Spędziła z Joem długie trzy godziny, które uciekły nie wiedzieć kiedy. Chłopak był tak chłonny i spragniony wiedzy, że prawdziwą przyjemnością było podsuwać mu co ciekawsze tematy i dyskutować z nim. Wiedziała, że nie spocznie, póki ten chłopiec nie zrobi matury i nie dostanie się do wymarzonej szkoły. Miał coś takiego w oczach, co mówiło jej, że nie zna szczęścia, dopóki nie będzie latać. Był jak orzeł, którego serce bije tylko wtedy mocniej, gdy unosi się wysoko w chmurach.

Kiedy zakończyli lekcję, było już koło dziewiątej. Joe poprawił się na krześle i zapytał niepewnie:

- Jak często będziemy się spotykali?

- Jeśli chcesz, każdego wieczoru - odpowiedziała bez namysłu. - Przynajmniej tak długo, aż poczujesz się pewniej.

Widziała, jak rozbłyły jego oczy, lecz za chwilę znowu przygasły. Wydał jej się znowu nad wyraz dojrzały.

- To znaczy, że wkrótce miałbym wrócić do normalnych szkolnych zajęć?

- Tak byłoby zdecydowanie lepiej, szybciej szedłbyś z materiałem i pozostałoby więcej czasu na dodatkowe sprawy.

- Pomyślę nad tym, bo nie chciałbym sprawiać kłopotu tacie. Powiększa ranczo i będzie miał jeszcze więcej pracy, a ja trochę się już na tym znam i mogę mu pomagać. Mamy teraz więcej koni niż kiedykolwiek przedtem.

- Trenujesz konie?

- Tak, pociągowe, przeznaczone do pracy w polu. Tata jest w tym najlepszy, więc przychodzą do niego i wtedy jakoś nikomu nie przeszkadza, że jest Indianinem.

Znowu ta gorycz w jego głosie, gorycz dojrzałego, doświadczonego człowieka.

- A ty?

- Ja? Ja też jestem w połowie Indianinem, a dla niektórych to zdecydowanie więcej niż trzeba. Póki byłem mały, wszystko wydawało się być w porządku, ale teraz, kiedy urosłem, ludzie doszli najwyraźniej do wniosku, że stanowią poważne zagrożenie dla ich białych córek.

Więc taki był zasadniczy powód, dla którego Joe rzucił szkołę.

- Mogę sobie wyobrazić, że dziewczęta często spozierały w twoją stronę - powiedziała ciepło. - Jesteś bardzo przystojny.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- No więc co, spoglądały?

- Owszem... i flirtowały, a jedna to nawet zachowywała się tak, jakby jej na mnie zależało. Ale kiedy zaprosiłem ją na tańce, zatrząsnęto mi drzwi przed nosem. Flirtować i żartować to tak, ale umówić się, to już zupełnie inna sprawa. Zawsze pozostanę dla tych ludzi głupim Indianinem.

- Tak mi przykro... To dlatego właśnie odszedłeś ze szkoły?

- A jaki był sens tam zostawać? Ta historia uświadomiła mi, że nigdy nie będę traktowany jak swój i że żadna z tych dziewczyn nigdy się ze mną nie umówi.

- I co zamierzałeś zrobić? Do końca życia ukrywać się na ranczo? Nigdy się z nikim nie spotykać? - Nigdy się nie ożenić?

- Nie myślałem tak o tym, - ale są przecież inne, większe miasta. Nasze ranczo nieźle prosperuje i zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy. - Nie dodał już, że przeżył swój pierwszy

raz na wycieczce do jednego z okolicznych dużych miast. Z pewnością panna Potter byłaby zszokowana. Wydawała się całkiem niewinna i wyzwalala w nim instynkt opiekuńczy. Poza tym bardzo różniła się od nauczycieli, których znał do tej pory. Gdy na niego patrzyła, widziała tylko jego wnętrze, a nie jego ciemniejszą skórę czy indiańskie rysy twarzy. Ado tego odkryła jego pragnienia i rozumiała go, tę obsesję dotyczącą samolotów i latania. Tak, była zupełnie innym człowiekiem niż wszyscy znani mu biali.

Zaraz po wyjściu Joego Mary położyła się do łóżka. To był ciężki dzień, ciężki i bardzo dziwny. Wydawało się jej, że gdy tylko przyłoży głowę do poduszki, natychmiast zaśnie, ale myliła się. Długo leżała w ciemnościach, przewracając się z boku na bok i w żaden sposób nie potrafiła przestać myśleć o swojej wizycie u Wolfa Mackenziego.

Niedziela, która zwykle była dla niej dniem radosnym, dodającym jej energii, okazała się równie męcząca, jak poprzedni wieczór. Żeby nie myśleć już o tym, co ją wczoraj spotkało, wzięła się za wielkie domowe porządki. Godziny mijały, a ona wyszukiwała sobie coraz to nowe zajęcia, byle tylko nie wpaść znowu w wir rozpamiętywania wydarzeń, które nie do końca rozumiała.

Następnego dnia, gdy tylko znalazła w szkole wolną chwilę, czym prędzej pobiegła do pokoju nauczycielskiego i natychmiast wykreśliła numer do Okręgowego Wydziału Oświaty, żeby wypytać o wszystkie szczegóły związane z rekrutacją na wyższe studia. Wiedziała, że wiąże się z tym mnóstwo papierkowej roboty, niekończące się formularze i ankiety, za którymi wcale, ale to wcale nie przepadała. Zdmuchnęła kurz, który osiadł na aparacie telefonicznym i świadczył niezbitnie o tym, że bardzo rzadko z niego korzystano. W ogóle mało kto miał czas, żeby wpaść tu na dłużej. W szkole było zaledwie trzech nauczycieli, a klas sporo, każdy miał co najmniej cztery na głowie. Zresztą pokój

nauczycielski urządzony był bardzo skromnie: jakiś stół, trzy krzesła i skrzypiąca szafa. Do tego w rogu stała mała lodówka i ekspres do kawy, z którego najczęściej tu korzystano. Właśnie odłożyła słuchawkę i otrzepywała ręce z kurzu, gdy w drzwiach ukazała się głowa Sharon Wycliffe.

- Mary? Źle się czujesz? - zapytała.

- Nie, dlaczego, wszystko w porządku. Musiałam zadzwonić...

- Zdradzisz mi tajemnicę, do kogo?

Sharon była związana z Ruth, tu się urodziła, tu chodziła do szkoły i tu wyszła za mąż za miejscowego chłopaka. W ogóle Ruth było na tyle małą miejscowością, że każdy tu każdego znał i każdy o każdym wszystko wiedział. Zresztą nikt nie widział w tym niczego dziwnego czy niestosownego. Mała miejscowość jest jak większa rodzina, a zatem Mary nie była w najmniejszym stopniu zaskoczona ciekawością Sharon; zdążyła się już do tego przyzwyczaić.

- Do Okręgowego Wydziału Oświaty - oznajmiła więc bez ogródek. - Chciałam dowiedzieć się o sprawy związane z kwalifikacjami nauczyciela, a także o warunki rekrutacji na studia.

Sharon wydała się być zatroskana.

- Martwisz się czymś? - zapytała niepewnie.- Czyżbyś uważała, że nie masz wystarczających kwalifikacji? Nie załamuj mnie, jesteś przecież świetna, lepsza ode mnie - dodała entuzjastycznie. - Nawet nie wiesz, jakie panowało tu zamieszanie, nim do nas trafiłaś. Nie masz pojęcia, jak trudno znaleźć kogoś dobrego, kto zechciałby przenieść się na wieś. Wybuchła już niemal panika, że część dzieciaków będzie musiała dojeżdżać do szkoły położonej prawie sześćdziesiąt mil stąd.

- Nie, nie martw się, nie mam zamiaru was opuścić. Chciałam tylko dowiedzieć się, czy moje kwalifikacje są wystarczające, bym mogła w razie potrzeby któreś z dzieci

uczyć prywatnie. - Nie wspomniała ani słowem o Joem Mackenziem. Jakoś przedziwnie utkwiły jej w pamięci ostrzeżenia zarówno Joego, jak i Wolfa Mackenziego.

Sharon zdawała się odetchnąć z ulgą.

- No, to całe szczęście. Myślę, że lepiej będzie, jak teraz wrócisz do klasy, zanim dzieciaki ją rozniosą - powiedziała jeszcze i zamknęła za sobą drzwi.

Mary miała nadzieję, że nie wzbudziła swoim zachowaniem żadnych podejrzeń i że Sharon nie powtórzy ich rozmowy Dottie Lancaster, nauczycielce, która uczyła w klasach od piątej do ósmej. Wiedziała jednak, że to płonna nadzieja, albowiem wszystko w Ruth stawało się natychmiast tajemnicą poliszynela.

Sharon była ciepła i miała poczucie humoru, Mary również bardzo lubiła dzieci i była w wielu sytuacjach wyrozumiała, ale Dottie... Dottie była oschła, surowa i niezwykle wymagająca wobec swoich uczniów. Widać było, że ma olbrzymie wprost poczucie obowiązku, lecz praca w szkole nie sprawiała jej przyjemności. Chodziły nawet słuchy, że przejdzie na wcześniejszą emeryturę, a to, mimo jej niedociągnięć, na pewno nie ucieszyłoby rady szkoły. Znalezienie jeszcze jednego nauczyciela, który chciałby przeprowadzić się do Ruth, graniczyło z cudem. To miasteczko naprawdę leżało na końcu świata.

Podczas lekcji Mary zastanawiała się, która z dziewcząt zainteresowała się Joem. Były miłe i wesołe, jak większość nastolatków, i na ogół miały jeszcze pstro w głowie. Która z nich mogła na tyle zaimponować młodemu, ale jakże poważnemu chłopcu, że chciał się z nią spotkać po szkole - Może Natalie Ulrich, wysoka i pełna gracji, albo Pamela Hearst - jasnowłosa blondyna, która świetnie pasowałaby do kalifornijskiej plaży, a może Jackie Baugh z jej ciemnymi, głębokimi oczami... Trudno powiedzieć, właściwie mogłaby to być każda spośród ośmiu dziewcząt w klasie. Sama nie

rozumiała, dlaczego poświęca tyle czasu na te rozważania, i dlaczego wydawało jej się to takie ważne. Niby wcale ta dziewczyna nie złamała mu serca, ale niemal zrujnowała jego życie. Reakcję jej i jej rodziców wziął za ostateczny dowód na to, że nie ma dla niego miejsca w świecie białych. Mary bardzo się cieszyła, że udało jej się przekonać Joego choć do tych dodatkowych lekcji.

Po pracy zebrała wszystkie materiały, które mogłyby się jej przydać wieczorem i ruszyła w kierunku domu. Wstąpiła jeszcze tylko do sklepu, w którym postanowiła zakupić wszystko, co jest potrzebne do zrobienia regałów na książki. Tyle ich miała, a wciąż jeszcze leżały poukładane w kartonach i nie mogły doczekać się na rozpakowanie.

Stała przy regale dla majsterkowiczów, kiedy do sklepu wszedł kolejny klient. Poczuli, jak jej policzki oblewają się rumieńcem. To był Wolf. Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, a potem przeniosła wzrok na pana Hearsta i dopiero w tym momencie zrozumiała, co Wolf miał na myśli, mówiąc o białych. W jednej chwili właściciel sklepu zeszytniał i przybrał jakąś arogancką, jakby obronną pozę. Nie mógł sobie pozwolić na wyproszenie Wolfa za drzwi, ale najwyraźniej nie miał ochoty widzieć go u siebie. Mary bała się, że Wolf ją zobaczy, więc szybko schowała się za regał i zasłoniła się jakimś czasopismem, udając, że jest bardzo zaczytana. Czuli się z tym jednak obrzydliwie. Niczym nie różniła się od innych białych, skoro nie miała odwagi cywilnej spojrzeć mu w takiej sytuacji w oczy i odezwać się do niego. Nabrała więc w płuca powietrza i uginając się pod ciężarem półek, które wybrała, ruszyła w stronę lady.

Wolf stał już przy kasie i sięgał właśnie po portfel, gdy pan Hearst ją zauważył.

- Ależ panno Potter, proszę tego nie dźwigać. To dla pani za ciężkie! - Podszedł do niej szybkim krokiem i odebrał od niej półki.

Mackenzie odwrócił się automatycznie, lecz najwyraźniej postanowił udawać, że się nie znają. Mary jednak powzięła już decyzję, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała, starając się za wszelką cenę zachować spokój i lekkość:

- O, dzień dobry, panie Mackenzie. Jak się pan miewa?

Jego ciemne oczy zapłonęły, jakby chciały ją przestrzec.

- Dzień dobry, panno Potter - odparł, uchylając kapelusza.

Hearst posłał Mary ostre spojrzenie.

- Państwo się znacie? - spytał półgębkiem.

- Tak - pospieszyła z odpowiedzią - pan Mackenzie pomógł mi wczoraj, kiedy zepsuł mi się samochód i utknęłam w śniegu.

- Yhm - mruknął Hearst pod nosem i rzucił Wolfowi podejrzliwe spojrzenie, po czym wybił w kasie kwotę należną za półki.

- Pan Mackenzie był przede mną, proszę go najpierw obsłużyć, ja zaczekam - odezwała się Mary, sama nie wierząc, że to faktycznie ona wypowiada te słowa.

Właściciel sklepu zrobił się czerwony jak burak.

- Mam czas - rzucił Wolf przez zaciśnięte zęby - mogę poczekać.

- Nie mam zwyczaju przepychać się przy kasie - odparła, ujmując się pod boki i wydymając usta - to zupełnie nie w moim stylu.

- Damy mają pierwszeństwo - szarmancko wymamrotał Hearst, próbując się przy tym uśmiechnąć.

- Nie przesadzajmy - dodała obruszona. - Proszę obsłużyć tego pana. W końcu żyjemy w czasach równouprawnienia.

- Czy należy pani do wojujących feministek? - zapytał Wolf.

- Ej, nie takim tonem, Indianinie! - Hearst spojrzał na niego ostro.

- Hola! Hola! Zaraz! Zaraz! - Mary pogroziła Hearstowi palcem. - To było zupełnie niepotrzebne. Dlaczego pan zwrócił się do pana Mackenziego w ten sposób? Co tu panują za zwyczaje? Pana matka powinna się za pana wstydzić! Na pewno nie tak pana wychowała. - Drżała wprost z oburzenia.

Właściciel sklepu zmieszał się na dobre. Cały czas wpatrywał się w palec Mary, skierowany wprost na niego.

- Pan pierwszy, panie Mackenzie, teraz to już na pewno.

Wolf jęknął cicho, ale Mary nie dała za wygraną, póki nie wyjął z portfela pieniędzy i nie położył ich na ladzie.

Pan Hearst bez słowa przyjął należność i wydał resztę. Wolf odwrócił się na pięcie i natychmiast opuścił sklep.

- Dziękuję panu - powiedziała Mary, uśmiechając się anielsko do Hearsta. - Wiedziałam, że pan zrozumie, jak bardzo ważne jest dla mnie, aby traktować mnie na równi z innymi. Jestem tu nowa i nie chciałabym wywoływać żadnego zamieszania wokół mojej osoby i wykorzystywać mojej pozycji.

Hearst kiwnął tylko głową, zainkasował należność i zaniósł półki do samochodu.

- A tak na marginesie, Pamela to pańska córka, nieprawdaż?

- Tak - Hearst spojrział na nią zaniepokojony. Pamela była jego najmłodszą córką, jego oczkiem w głowie.

- To wspaniała dziewczyna, bardzo mądra i inteligentna.

Na twarzy Hearsta pojawił się uśmiech, tym razem szczerzy, nieklamany.

- Od razu rzuciło mi się to w oczy i myślałam, że sprawię panu tym przyjemność, wiem, że ojcowie są bardzo dumni ze swoich córek, a pan ma ku temu prawdziwy powód.

Jeszcze gdy odjeżdżała, stał i wciąż się uśmiechał.

Wolf zatrzymał się zaraz za rogiem. Odczekał, aż Mary wyjdzie ze sklepu i ruszy w kierunku domu. Musiał nią potrząsnąć, musiał nią tak potrząsnąć, żeby to sobie

zapamiętała na zawsze. A przecież ją ostrzegął, przecież uprzedzał... Może sądziła, że to jakieś żarty, że to zabawa?

Znowu nie było jej widać zza tych olbrzymich rogowych okularów i znowu zaczesła sobie włosy w kok, pomyślała. Przed oczami stanęła mu całkiem inna Mary... Mary z rozpuszczonymi włosami, ciepłymi niebieskimi oczami, w jasnych dzinsach, które podkreślały jej zgrabne uda i biodra. Dobrze pamiętał pożądanie w jej oczach i miękkość jej ust. Gdyby miał tylko odrobinę zdrowego rozsądku, czym prędzej odjechałby stąd, nie czekałby tu na nią. Ale jak ona poradzi sobie z tym ogromnym pudłem? Przy okazji powie jej, co o tym myśli. I tak już pół miasteczka weźmie ich na języki... Do diabła, dlaczego po prostu nie przyzna się, że chce poczuć ją blisko siebie?

Powoli, zachowując dystans, ruszył w ślad za nią. Musiała się po drodze zorientować, ale nie dała mu żadnego znaku, nic. Zaparkowała pod domem, jak zwykle, i wysiadła z samochodu.

Kiedy wyskoczył ze swojej furgonetki, szeroko się do niego uśmiechnęła.

Czyżby nie pamiętała, co jej powiedział o sobie? W końcu siedział za gwałt! Nie zrobiło to na niej w ogóle żadnego wrażenia?

- Kobieto, co ty wyprawiasz? Nie słuchałaś, co do ciebie wczoraj mówiłem?

Spojrzała na niego szybko i znowu uśmiechnęła się niewinnie.

- Skoro już pan tutaj jest, czy mógłby mi pan pomóc zanieść do domu ten pakunek?

- Po to tu przyjechałem - mruknął pod nosem.- Wiedziałem, że sobie pani z tym nie poradzi.

Mary zdawała się nie zauważać jego szorstkiego, wręcz nieprzyjemnego tonu.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Obtupał buty i wszedł za nią. Pierwszą rzeczą, która go uderzyła to zapach, taki miły,

świeży, lekko słodkawy, zupełnie nie pasujący do tego starego, mało przytulnego domu.

- Jaki miły zapach, taki wiosenny... - powiedział, unosząc do góry głowę.

- Zapach? Ach, to pewnie te saszetki z liliami, które porozkładałam w szufladach i na półkach. Prawda, że ładny? Lilie są zawsze piękne i pięknie pachną - dodała z zachwytem.

Przyszło mu nagle do głowy, że także jej bielizna i pościel pachniały liliami, otulając jej miękkie, drobne ciało. Znowu ogarnęła go fala emocji, nad którą trudno było mu zapanować.

Zaklął pod nosem, stawiając pudło na podłodze. Na czoło wystąpił mu kroplisty pot, mimo że w domu i na zewnątrz panował przecież chłód.

- Przepraszam, pójde tylko włączyć ogrzewanie. A może da się pan zaprosić na kubek herbaty? - zapytała, wychodząc z pokoju.

Kiedy wróciła, rzuciła mu krótkie badawcze spojrzenie i poprawiła się:

- Dam panu raczej kawy, nie wygląda pan na kogoś, kto chętnie sący popołudniową herbatkę.

Zdjął rękawice i rozpiął kurtkę.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, że teraz wszyscy będą plotkować na pani temat? - Spojrzał na nią z wyrzutem. - Zadała się pani z byłym skazańcem, więc...

- Mary, mam na imię Mary - powiedziała i uśmiechnęła się do niego.

- Słucham?

- Mam na imię Mary, a właściwie Mary Elizabeth - powtórzyła z naciskiem. - Jesteś pewien, że nie chcesz kawy? Bo ja muszę koniecznie coś wypić, żeby się rozgrzać.

Zdjął czapkę, przecesał włosy i powiedział:

- W porządku, poproszę kawę.

Czym prędzej odwróciła się, by nie dostrzegł rumieńca, który nagle pojawił się na jej twarzy. Boże, te jego włosy, do tej pory

jakoś ich nie zauważyła, bo zafascynowana podziwiała jego oczy. A teraz, nagle, jakby ją oświeciło. Były długie aż do ramion, takie grube i lśniące. Wyglądał zniewalająco, jak człowiek z buszu. Wyobraziła sobie, że jego muskularne ciało pokryte jest skórą dzikich zwierząt i przeszył ją dreszcz. Zrobiło się jej jakoś strasznie głupio, nigdy wcześniej nie myślała w ten sposób o mężczyznach, nie przyglądała się im i nie fantazjowała. Próbowała ukryć jakoś swoje zmieszanie. . - Co ty właściwie robisz? - usłyszała jego niski, nieco szorstki głos. - Wpuszczasz mnie do domu, zapraszasz na kawę?

- A dlaczego niby nie powinnam'

- Kobieto...

Spojrzała na niego wymownie.

- Mary, postradałaś rozum , czy co? Jestem przecież skazańcem.

- A, o to ci chodził - machnęła lekceważąco ręką. - Gdyby to była prawda, to jasne, ale tak, nie ma się czym przejmować. Poza tym, gdybyś był prawdziwym kryminalistą, nie dawałbyś mi tylu dobrych rad...

- Nie żartuj sobie, nie masz żadnej pewności...

- Mam, bo tak mi podpowiada intuicja - ucięła krótko. A po chwili zastanowienia dodała: - Nie wyobrażam sobie, żeby kryminaliście chciało się rozcierać czyjeś zmarznięte ręce i stopy. Poza tym jesteś taki czuły i delikatny... - mówiąc to, oblała się rumieńcem. Szybko przysłoniła policzki dłońmi.

Jest niezwykła, niesamowita, bezgranicznie naiwna, całkowicie niewinna, pomyślał Wolf. Coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przytrafiło. Ale przecież była biała, nie mogła należeć do niego.

- Tak mnie oceniłaś na podstawie tych kilku chwil spędzonych ze mną i paru pocałunków? - zapytał oschle. - Od dawna jestem sam i...

Nie odrywała od niego oczu, tych swoich cudnych, błękitnych oczu. Nie mógł tak dłużej stać. Podszedł do niej i

objął ją w talii. Jak cudownie było poczuć znowu jej ciepło, jej drobne, delikatne ciało.

- Wierz mi, że nie możesz mieszkać w Ruth, pracować w tutejszej szkole i spotykać się ze mną. To nierealne. Najlepiej byłoby, gdybyś traktowała mnie jak trędowatego, inaczej stracisz pracę.

- A komu miałyby to przeszkadzać? Co to w ogóle kogo obchodzi?

- Może jeszcze o tym nie wiesz, ale gdyby tylko mieszkańcy Ruth coś zwęszyli, twoje życie zamieniłoby się w koszmar, nie daliby ci spokoju. Nawet nasza przyjaźń kłubałaby ich w oczy, a co dopiero prawdziwy związek...

- Ale ja nie mówiłam nic o sypianiu z tobą...

Poczuł, jak zeszywniała i lekko odsunęła się od niego. Jej policzki znowu zaczęły płonąć. Może i tego tak nie powiedziała, ale przecież dobrze wiedział, jak jest. Nie od dzisiaj żył na tym świecie i miał niejedną kobietę. Może nie ubrała tego w słowa, lecz pragnęła go. Zdradzały ją oczy, to pełne wyczekiwania, aksamitne spojrzenie, i ta miękkość ciała i ust, które z takim oddaniem reagowały na jego pieszczoty.

- Nawet sama nie zdajesz sobie z tego sprawy - szepnął. - Mógłbym cię mieć, tu i teraz, i wierz mi, że pragnę cię i zrobiłbym to, gdybyś tylko zdawała sobie sprawę z tego, w co się pakujesz. Jesteś jak dziecko, nie znasz życia, nie wiesz, jak bardzo ludzie potrafią być podli. Lepiej więc, gdybyś traktowała mnie jak trędowatego. Poza tym nie zależy mi na tym, żeby raz jeszcze oskarżono mnie o gwałt. Jak sądzę, jestem pierwszym facetem, który cię pocałował. A seks, ten pierwszy raz, z pewnością nie wydałby ci się piękny i wspaniały... Poszukaj sobie więc kogoś innego.

Mary odwróciła wzrok. Nie chciała, żeby dostrzegł łzy, które wypełniły jej oczy.

- To prawda, że nikt mnie nigdy nie pocałował - powiedziała cicho - i przepraszam, jeśli zachowałam się

niestosownie. Wiem, że jestem mało atrakcyjna, nie chciałam ci się narzucać. To się więcej nie powtórzy. - Odsunęła się od niego i dodała po chwili: - Kawa jest gotowa. Pijesz z cukrem czy bez?

Nawet na nią nie spojrzął, chwycił czapkę, naciągnął pospiesznie kurtkę i wycedził przez zęby:

- Zapomnij o kawie.

- Dobrze, panie Mackenzie. Do widzenia.

Szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia i po chwili dał się słyszeć głuchy trzask zamykanych drzwi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ilekcioć potem wspominała ten okropny dzień, na jej ciele pojawiała się gęsia skórka. Dziękowała Bogu, że z natury jest twarda i że nie poddaje się łatwo złym nastrojom. Dni mijały jej na nauczaniu i na pracy z Joem, który z niespotykanym wprost zapałem chłonał wiedzę. Nie tylko nadrobił braki, ale daleko wyprzedził program szkolny. Szczerze go podziwiała. Napisała listy do kogo się tylko dało, do wszystkich, którzy mogliby mieć jakiś wpływ na losy Joego. Praca z nim była prawdziwą przyjemnością. Jedyne trudniej było jej zapamiętać o wydarzeniach, które wiązały się z jego ojcem. Nie wiedziała, jak to możliwe, ale życie bez Wolfa, choć to śmieszne, wydawało się jej puste i mało wartościowe. Sama tego nie rozumiała, bo przecież jak można tęsknić za kimś, kogo widziało się zaledwie dwa razy w życiu? Najwyraźniej jednak było to możliwe. Przy nim czuła się kobietą. Poruszył w niej tę nutkę, o której istnieniu nawet nie wiedziała. O wiele gorsze było dla niej jednak to, że myślał o niej w kategoriach

wygłodniałej starej panny. Nie miała co do tego wątpliwości. Czowała się więc w jakimś sensie upokorzona i zawstydzona.

W kwietniu rozeszła się plotka po miasteczku Ruth, że Joe spędza u niej dużo czasu. Na początku starała się nie zwracać na to uwagi, choć dzieci, patrząc na nią, szeptały coś z przejęciem po kątach. Także dwie inne nauczycielki spoglądały na nią podejrzliwie, lecz kwitowała to wszystko uśmiechem, udając, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

Była zadowolona z efektów swojej pracy i właśnie otrzymała list od jednego z senatorów, który wydawał się być zainteresowany sprawą Joego. A w tej sytuacji trudno byłoby komuś zakłócić jej dobre samopoczucie.

Nawet gdy wyznaczono w szkole zebranie, nic nie podejrzewała.

Sharon spojrzała na nią jakoś inaczej niż zwykle i zapytała:

- Przyjdiesz?

Mary była tym szczerze zaskoczona.

- Oczywiście, że tak, przecież to nasz obowiązek.

- Tak, wiem o tym, jasne, ale... - Sharon nie wiedziała, jak ma to powiedzieć.

- Ale nie powinnam przychodzić, bo co? Bo uczę Joego Mackenziego i niektórym to się nie podoba? - zapytała bez ogródek.

Sharon stała teraz z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami.

- Bo co? - wyszeptała.

- A co, nie wiedziałaś o tym? I co w tym złego? - dodała, wzruszając ramionami. - Joe uprzedzał mnie, że ludziom w Ruth nie spodoba się, że mu pomagam. Dlatego dotychczas nic nie mówiłam, ale z zachowania wszystkich wokół wnioskuję, że stało się to publiczną tajemnicą.

- Bo... bo niektórzy widzieli wieczorami jego samochód zaparkowany przed twoim domem i przyszły im do głowy głupie myśli. - Sharon poczuła się wyjątkowo niezręcznie.

- Jakie myśli, o czym ty mówisz?
 - No wiesz, on jest dojrzały jak na swój wiek, a poza tym...
- Sharon oblała się rumieńcem.

Minęło jeszcze ładnych kilka chwil, nim Mary połapała się, co jej koleżanka ma na myśli. Jej początkowe zmieszanie przemieniło się we wściekłość.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy posądzali mnie o romans z szesnastoletnim chłopcem?! - Nie panowała już nad swoim głosem.

- Widziany był tam bardzo późno, więc... - jękała się Sharon. Wyglądała teraz bardzo żałośnie.

- Zawsze wychodzi o dziewiątej, jeśli to jest bardzo późno, to nie mam już nic do dodania - powiedziała, zrywając się na równe nogi. Z twarzą białą jak kreda zaczęła pospiesznie wkładać do torby dokumenty. Była naprawdę wściekła i to nie ze względu na siebie, ale przede wszystkim ze względu na Joego. Czuła się teraz jak lwica, której jedno z młodych zostało podstępnie zaatakowane. Nie miała zamiaru udawać, że nic się nie stało. Nie dopuści, żeby także i jego obrzucano błotem.

Na zebraniu pojawili się wszyscy, cała rada szkoły: pan Hearst - właściciel sklepu, Francie Beecham - osiemdziesięcioletnia emerytowana nauczycielka, Walton Isby - prezes banku, Harlon Keschel, który prowadził aptekę i coś w stylu małego snack-baru, Eli Baugh - właściciel rancza, którego córka Jackie była w klasie Mary, i wreszcie Cicely Karr, która kierowała zakładem mechaniki samochodowej. Wszystko porządni ludzie, posiadający małe, ale prężne biznesy i wszyscy, jak jeden mąż, no, może z wyjątkiem Francie Beecham, przybrali na tę okoliczność kamienny wyraz twarzy, rodzaj maski, która miała przysłonić prawdziwe emocje.

Zebranie odbywało się w klasie Dottie Lancaster. Wniesiono tam nawet dodatkowe krzesła i ławki, by wszyscy się pomieścili.

Kiedy do klasy weszła Mary, oczy zebranych skierowały się na nią. To najbardziej ją rozwścieczyło. Jakim prawem posadzono ją o coś tak haniebnego i jakim prawem patrzyli teraz na nią z góry, jakby dopuściła się Bóg wie jakiego przestępstwa. Po chwili dostrzegła też szeryfa, który stał oparty o ścianę. Uważnie wpatrywał się w nią przymrużonymi oczami. Czyżby miał ochotę już teraz wpakować ją do więzienia za molestowanie nieletnich? Boże, co za idiotyzm! Ona, ze swoim wyglądem, miałaby kogoś uwieść? Czegoś głupszego w życiu nie słyszała. Poprawiła włosy i zaplotła ręce na piersiach.

Walton Isby odchrząknął i otworzył zebranie. Wszystko przebiegało jakby nigdy nic, jakby nic się nie wydarzyło. Niespokojnie postukiwała palcami, aż w końcu zdecydowała, że nie będzie dłużej czekać, nie pozwoli się tak traktować. Kiedy zakończył omawiać sprawy związane ze szkołą i postępami uczniów, ponownie odchrząknął i zapadła chwila ciszy. Mary odebrała to jako sygnał; sygnał, że teraz przyszła kolej na wyjaśnienie jej sprawy. Wstała więc i spoglądając wprost na niego, powiedziała:

- Panie Isby, zanim pan przejdzie do kolejnych spraw, chciałabym prosić o głos.

Zdawał się być zbity z tropu, a jego twarz przybrała czerwonawy odcień.

- To wbrew regułom, panno Potter - wymamrotał w końcu.

- Możliwe, ale to bardzo istotna kwestia. - Starła się za wszelką cenę zachować spokój. Mówiła więc wolno i wyraźnie, donośnym głosem, który wypełniał teraz całe pomieszczenie. - Może nie każdy o tym wie, ale mam uprawnienia, aby nauczać prywatnie, także poza szkołą.

Isby i wszyscy inni zgromadzeni w sali nie spuszczała z niej wzroku.

- Przez ostatni miesiąc uczyłam Joego Mackenziego w moim domu, pomagałam w nadrobieniu braków, bo jak wszyscy wiedzą, zdecydował się w pewnym momencie rzucić szkołę.

- Jasne... - usłyszała czyjś sarkastyczny głos.

Oczy Mary zapłonęły oburzeniem.

- Kto to powiedział ? - zapytała ostrym tonem.

- To była wyjątkowo niekulturalna uwaga - dodała, jako że w klasie zapadła grobowa cisza. - Kiedy przyszedłam do tej szkoły, po jakimś czasie zorientowałam się, że jeden z uczniów nie pojawia się na lekcjach. Przejrzałam jego oceny i zadziwiło mnie, że tak dobry uczeń zrezygnował ze szkoły. Być może nikt z państwa nie zainteresował się tą sprawą, ale Joe był najlepszy w swojej klasie. Skontaktowałam się więc z nim, przekonałam go, że to był wielki, błąd, i wytłumaczyłam, że dzięki lekcjom ze mną będzie mógł nadrobić zaległości. W ciągu jednego miesiąca nie tylko je nadrobił, ale przegonił klasę. Wiedziałałam, że Joe marzy o lataniu. Udało mi się nawiązać kontakt z senatorem Allardem, który zainteresował się sprawą Joego. Zgodził się napisać mu list rekomendacyjny do Akademii Wojskowej w Kolorado Springs. Joe Mackenzie jest doskonałym przykładem dla naszej małej społeczności, który dowodzi, że warto pomagać zdolnym młodym ludziom. I mam taką nadzieję, że wszyscy się do tej pomocy przyłączą.

Była usatysfakcjonowana, widząc na twarzach zebranych zdziwienie i swoisty zawód. Odetchnęła z ulgą i usiadła. Z pewnością ciotka Ardith byłaby ze mnie dumna, pomyślała. Rozejrzała się dokoła i kątem oka dostrzegła na korytarzu cień wysokiego, barczystego mężczyzny. Wolf stał ukryty za drzwiami i przysłuchiwał się debatom na sali. Serce zaczęło jej mocniej bić, dawno go przecież nie widziała.

Pan Isby chrząknął i szepty w klasie ustały.

- To dobra wiadomość, panno Potter - zaczął niezbyt chętnie - ale i tak uważamy, że nie jest pani najlepszym przykładem dla naszych dzieci...

- Mów za siebie, Walton - odezwała się niespodziewanie Francie Beecham.

Mary podniosła się z miejsca i zapytała:

- Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli. W jakim sensie nie dają młodzieży dobrego przykładu?

- To niezbyt udany pomysł z tymi codziennymi odwiedzinami w pani domu do późnej nocy - wysapał pan Hearst.

- Joe opuszcza mój dom zawsze o dziewiątej, po trzech godzinach nauki. Myślę, że ma się to nijak do sformułowania, którego pan użył. Jeśli się to państwu nie podoba, z miłą chęcią będę przeprowadzać kolejne lekcje na terenie szkoły.

Przez klasę przebiegł pomruk niezadowolenia. Pan Isby, który z natury rzeczy był człowiekiem poczciwym i dobrodusznym, wyglądał na przerażonego. Otarł chustką krople potu, które pojawiły się na jego czole. Francie Beecham wyglądała na skrajnie wściekłą.

- To wyjątkowo trudna sytuacja - odezwała się Cicely Karr. - Joe ma naprawdę niewielkie szanse, by dostać się do Akademii Wojskowej. Sama musi pani to przyznać. A prawda na dzień dzisiejszy jest taka, że nie podoba się nam, że spędza pani z tym chłopcem sam na sam tyle czasu.

- A to niby dlaczego? - Mary z dumą uniosła brodę.

- Pani jest nowa w Ruth i być może nie rozumie pani tej złożonej sytuacji. Obaj Mackenzie mają w miasteczku złą reputację i poza wszystkim niepokoiły się o pani bezpieczeństwo. Nie wiadomo do czego jeszcze może dojść, jeśli nie ustaną te kontakty.

- To jakaś wierutna bzdura - powiedziała Mary z oburzeniem. Pomyślała o Wolfie, który stał za drzwiami i

przysłuchiwał się, jak biali ludzie czynili wszystko, by zmieszać go z błotem; jego i jego syna.

- To Wolf Mackenzie pomógł mi, kiedy zepsuł mi się samochód i utknęłam w śniegu. Uratował mnie, bo inaczej pewnie zamarzłabym na śmierć. Był miły, opiekuńczy i na dodatek odmówił zapłaty za naprawę. Zaś Joe Mackenzie jest wybitnie uzdolnionym chłopcem i pilnie się uczy, choć cały czas ciężko pracuje na ranchu. Nie jest łobuziakiem, nie pije i nie pali, jest chłopcem godnym najwyższego szacunku. Obu panów Mackenziech uważam za swoich przyjaciół.

Mężczyzna stojący za drzwiami zacisnął dłonie w pięści i zaklął pod nosem. Czy nie wiedziała, że takie wyznanie może kosztować ją posadę. Nie mógł tam wejść, bo w ten sposób tylko by jej zaszkodził. Znowu usłyszał jej głos. Dlaczego nie mogła zamilknąć?

- Byłabym równie bardzo zaniepokojona, gdyby jakieś inne dziecko rzuciło szkołę. Nie można pozwolić, by już za młodu rujnowały sobie przyszłość. Zostałam tu zatrudniona, żeby uczyć i zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby sprostać tym oczekiwaniom. Czy bylibyście państwo zadowoleni, gdybym zrezygnowała, jeśli chodziłoby o wasze dziecko?

- Nie odbiegajmy od tematu - zabrała głos Cicely Karr. - To nie chodzi o jedno z naszych dzieci, ale o Joego Mackenziego. On... on jest...

- Półkrwi Indianinem - dokończyła za nią Mary, unosząc do góry brwi.

- Tak, właśnie, to jedna sprawa. A druga sprawa to jego ojciec...

- A co ma być z jego ojcem?

Wolf zacisnął zęby. Jak miał powstrzymać tę kobietę przed samozagładą?

- Chodzi pani o to, że był skazany?

- To chyba wystarczy, nie sądzi pani?

- Cicely, siadaj już i bądź cicho - nie wytrzymała Francie Beecham. - Dziewczyna ma całkowitą rację i ja się z nią zgadzam, a tobie nie zaszkodziłoby, żebyś wreszcie zaczęła myśleć.

Na moment zapadła w klasie cisza, a potem cała sala wybuchnęła śmiechem. Walton Isby, który próbował się powstrzymać od śmiechu, był niemal purpurowy. Aż w końcu i on nie wytrzymał i wybuchnął nieco histerycznym śmiechem.

Twarz Cicely Karr zrobiła się również czerwona jak burak, ale z wściekłości.

- Niech twoja noga więcej nie postanie na mojej posesji! - ryknęła ze złością i porwała kapelusz należący do Eli Baugha, który siedział blisko niej i wciąż jeszcze zanosił się od śmiechu, i poczęła go nim okładać.

- Uspokójcie się - próbował uciszyć wszystkich Harlon Keschel, choć sam był najwyraźniej rozbawiony tym niecodziennym widokiem.

Wzrok Mary padł nagle na lodowatą twarz Dottie Lancaster i przyszło jej do głowy, że Dottie z pewnością nie miałyby nic przeciwko, gdyby usunięto ją ze szkoły. A może to ona rozpętała tę całą burzę w szklance wody, może to ona szpiegowała i węszyła wokół jej domu? Zdała sobie nagle sprawę, że nikt nie miał potrzeby przejeżdżać obok jej domu, bo dalej nikt już nie mieszkał; w pobliżu nie było żadnego sąsiada.

- No cóż, moi drodzy - odezwała się rozbawiona Francie Beecham - chyba załatwiliśmy wszystkie sprawy na dzisiejszy wieczór. Panna Potter uczy młodego Mackenziego, żeby dostał się do Akademii Wojskowej i to wszystko. Zrobiłabym zresztą to samo, gdybym jeszcze pracowała w szkole.

- Ale to i tak jakoś nie uchodzi - wymamrotał pan Hearst.

- W takim razie niech przeniosą się do szkoły - podsumowała Francie. - Wszyscy się zgadzają? - Rozejrzała się po klasie, uśmiechając się tryumfalnie i mrugnęła porozumiewawczo do Mary.

- Ja się zgadzam - odezwał się Eli Baugh, próbując nadać swojemu kapeluszu pierwotny kształt. - Akademia Wojskowa... to brzmi naprawdę nieźle, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ktoś z tego miasta dostał się na wyższą uczelnię.

Wprawdzie pan Hearst i pani Karr sprzeciwili się, ale cała reszta stanęła po stronie Francie.

Mary zerknęła w stronę korytarza, ale cień znikł stamtąd. A zatem poszedł już, pomyślała. Może i lepiej. Czowała się szczęśliwa. Wygrała tę bitwę - bitwę o Joego - i to było najważniejsze.

Ku jej zdziwieniu po zebraniu podeszło do niej wielu rodziców, by uścisnąć jej dłoń. Była im niezwykle wdzięczna; utwierdzili ją w przekonaniu, że robi naprawdę dobrą robotę.

Jakieś pół godziny później, gdy zakładała płaszcz, podszedł do niej szeryf.

- Pozwoli pani, że odprowadzę panią do samochodu? O, przepraszam, nazywam się Clay Armstrong i jestem tutejszym szeryfem.

- Miło mi, Mary Potter - odpowiedziała i wyciągnęła do niego dłoń. Spodobał się jej od pierwszego wejrzenia. Miała wrażenie, że jest jednym z tych silnych, spokojnych mężczyzn, którzy w razie zagrożenia ryzykują nawet własne życie, żeby ratować cudze.

- Tak, tak, wiem, kim pani jest, wszyscy wiedzą, a dziewczęta w szkole usiłują nawet naśladować pani południowy akcent.

- Naprawdę? - zapytała zdziwiona.

- Nie zauważyła pani?

Wyszli na zewnątrz. Niebo było całkowicie bezchmurne i błyszcząły na nim tysiące gwiazd.

- Czy chciał mi pan coś jeszcze powiedzieć? - zatrzymała się przy swoim samochodzie.

- Nie, nic więcej. Proszę mówić mi Clay - uśmiechnął się przyjaźnie.

- Może pan mi to jakoś wytłumaczy, dlaczego Cicely całą swoją złość wyładowała na Elim, a nie na Francie?

- Bo są kuzynami. Rodzice Cicely zmarli, kiedy była jeszcze mała. Wychowywała się w domu Eliego, są więc ze sobą bardzo związani. Czasem drą koty, normalna rzecz...

Takie normalne rzeczy nie były nigdy jej udziałem. To piękne móc się z kimś pokłócić, wiedząc jednocześnie, że ten ktoś nie przestanie cię z tego powodu kochać. Jakie to piękne, pomyślała.

- Za to nikt by sobie nie pozwolił na takie zachowanie wobec pani Beecham, wszyscy bardzo szanują tę staruszkę - powiedział z przyjaznym uśmiechem na ustach.

- Chciałabym dożyć tu starości, to bardzo mile miejsce...

- A do tego czasu ma pani zamiar wodzić prym na zebraniach szkolnych?

- Jeśli będzie więcej takich niedorzeczności, to tak - odparła z przekonaniem.

- Mam nadzieję. - Ubiegł ją i otworzył drzwiczki jej samochodu - Proszę na siebie uważać, proszę jechać ostrożnie - dodał jeszcze, zaczekał, aż wsiądzie, a potem zatrzasnął za nią drzwi. Skłonił się, lekko uchylając kapelusza, i odszedł.

Był wyjątkowo miłym mężczyzną, zresztą większość ludzi w Ruth dawała się lubić. Jedynie w sprawie Wolfa zabrakło im jakoś obiektywizmu, byli zaślepieni swoją niechęcią i uprzedzeniami do Indian. Ale wierzyła, że tak naprawdę nie byli złymi ludźmi.

Miała nadzieję, że po tym zajściu Joe nie zaprzestanie nauki. Byłaby to niepowetowana strata. Może to było i głupie, ale

nabierała z czasem coraz większego przekonania, że Joe dostanie się do swojej upragnionej szkoły i czuła się dumna, że może mu w t y m dopomóc; być jakby częścią jego sukcesu. W życiu hołdowała zasadzie „chcieć to móc” i tym razem święcie wierzyła, że jeśli oboje wykażą dostatecznie duże zaangażowanie, to ich wysiłki po prostu muszą zakończyć się sukcesem.

Dojechała do domu. Dopiero teraz poczuła głód i zmęczenie. Cały dzień spędziła dziś w pracy i nie był to dla niej dzień najłatwiejszy, a do tego cały czas nękał ją niepokój o Joego. Za nic w świecie nie chciała, żeby teraz przerwał naukę.

- Muszę go uczyć, muszę, nawet gdybym miała chodzić za nim krok w krok - wymamrotała pod nosem.

- Za kim to zamierzasz chodzić krok w krok? - usłyszała za sobą głos.

Podskoczyła, zaskoczona.

- Co ty tutaj robisz? Przestraszyłeś mnie - dodała z lekkim wyrzutem.

- Pozwoliłem sobie zaparkować w stodole, żeby nikt mnie tu nie zauważył.

Jak z zaświatów docierały do niej słowa Wolfa. Wpatrywała się w jego poważną, skoncentrowaną twarz i zaczynała powoli rozumieć, że tęskniła za nim, że czekała, by do niej znowu przyjechał. Serce biło jej coraz szybciej, a puls zdawał się szaleć.

- Wejdzimy do środka? - zapytał Wolf.

Bez słowa skierowała się w stronę drzwi. Wychodząc, nie zamknęła ich, by w ciemnościach nie walczyć z zamkami.

- Nigdy nie zostawiaj otwartych drzwi! - powiedział niby cicho, ale jakoś niezwykle wyraziście.

- Kto miałby powód wchodzić do tego domu? Naprawdę nie ma tu nic, co warto byłoby ukraść.

Przysiągł sobie, że nigdy jej nie dotknie, choć wiedział, że nie będzie mu łatwo dotrzymać słowa; wiedział, że gdyby tylko

zbliżył się do niej, wszystkie postanowienia wzięłyby w łeb. Na wszelki wypadek odsunął się więc na bezpieczną odległość i odparł:

- Nie myślałem o złodzieju...

- Nie - Dopiero teraz zrozumiała, co miał na myśli. Ruszyła w stronę pieca, chcąc ukryć zmieszanie. - Mam przygotować kawę? Wypijesz ją tym razem, czy znowu wyskoczysz stąd jak oparzony?

Podobało mu się, że ma odwagę powiedzieć, co naprawdę myśli. I teraz, i tam na zebraniu w szkole. Wyrzucał sobie, że na początku znajomości od razu zaliczył ją do kategorii szarej myszki. Zdecydował o tym pewnie jej wygląd, szarawe, skromne ubranie, gładko zaczesane włosy i te straszne okulary, przysłaniające jej delikatną twarz. Zanim poznał ją trochę bliżej, może i mógł tak sądzić, ale teraz, teraz już wiedział, że jej osobowość dalece odbiega od tego, co mógłby sugerować jej wygląd, i że z zahukaną czy zastraszoną szarą myszką nie ma ona w ogóle nic wspólnego. Nie obawiała się wygarnąć prawdy, nie robiła uników, a do tego miała zadziwiająca, jak na tak małą i niepozorną osóbkę, siłę perswazji. W niespełna pół godziny przeciągnęła na swoją stronę prawie całe miasteczko.

- Chętnie napiję się kawy, ale przede wszystkim chciałbym, abyś usiadła na chwilę i mnie wysłuchała.

Bez słowa podeszła do stołu i usiadła na krześle.

- Słucham. - Patrzyła na niego, ale uśmiech znikł z jej twarzy. - Widziałam cię w holu - dodała po chwili.

- Cholera - zaklął pod nosem. - Sądzisz, że ktoś jeszcze mnie widział?

- Nie przypuszczam. Jest mi przykro, że musiałeś słuchać tych wszystkich rzeczy...

- Jest mi obojętne, co mieszkańcy Ruth mają na mój temat do powiedzenia.

Tak mówił, ale na jego twarzy widoczne było rozgoryczenie.

- Myślę, że jakoś sobie z tym poradzę. Joe również. Ale ty, ty jesteś od nich uzależniona... Nie bierz nas więcej w obronę, to nie ma sensu, chyba że nie lubisz swojej pracy i chcesz ją rzucić...

- Nie stracę pracy z powodu Joego, nie przesadzaj.

- Z powodu Joego może i nie, ale ze mną to już zupełnie inna historia.

- Och, Wolf, daj spokój, mam przecież kontrakt, a poza tym, bardzo trudno będzie im znaleźć nowego nauczyciela do takiej małej miejscinki na końcu świata. Wiem coś o tym. Wyrzuciliby mnie, gdybym zaniedbywała swoją pracę albo weszła w konflikt z prawem.

Dokładnie nad jej głową znajdowała się kuchenna lampa. Wolf nie mógł oderwać wzroku od włosów Mary, które w świetle zdawały się być złote. Ich blask zupełnie go rozpraszał. Z tymi okrągłymi niebieskimi oczami i mlecznobiałą skórą wyglądała jak prawdziwy anioł. Tak bardzo zapragnął jej dotknąć, poczuć miękkość jej delikatnej skóry i jej ramiona zamykające się na jego karku. Zaciśnął dłonie w pięści.

Mary dostrzegła ten gest.

- Powiedz mi, co się właściwie stało - zapytała.

- Dlaczego wylądowałeś w więzieniu? Wiem, że nic nie zrobiłeś, ale jak to się stało?

Poczuł jej drobną ciepłą dłoń na swojej zaciśniętej pięści.

Jej głos nie był ani napastliwy, ani ponaglący, brzmiał jak ciepłe zaproszenie do rozmowy. Nie pojmował, skąd wzięła się jej niezachwiana wiara w niego i w jego niewinność. Do tej pory był zawsze sam, wyizolowany ze społeczności białych z powodu domieszki krwi indiańskiej, i jednocześnie nie akceptowany przez społeczność indiańską z powodu domieszki krwi białej. Nawet jego rodzice nie wiedzieli, co myśli, ani jego żona, ani nikt inny nie był w stanie przeniknąć go i bliżej poznać. Jedynie Joe, jego syn, znał go na wylot. Bardzo się kochali i byli ze sobą naprawdę blisko. Przez te wszystkie lata

w więzieniu tylko myśl o synu dawała mu siłę i trzymała go przy życiu. Był zadziwiony, że ta mała, niepozorna kobieta bez większego trudu pokonuje jedną przeszkodę po drugiej i skutecznie przedziera się do jego serca. Nie chciał, żeby była dla niego ważna, lecz nagle zdał sobie sprawę, że to już się stało.

Ku swemu zdziwieniu rozprostował palce drugiej dłoni i przykrył jej delikatną rękę.

- To było dziewięć lat temu... - Mówił cicho, a jego głos brzmiał szorstko. - Nie, chyba już dziesięć... Dopiero co przeprowadziłem się tu z Joem. Pracowałem wtedy na Księżycowym Ranczo. W miasteczku obok wydarzyła się tragedia, jakaś dziewczyna została zgwałcona i zabita, a jej ciało porzucono na granicy rancza. Przyczepili się do mnie, bo byłem tu nowy, a do tego jestem przecież Indianinem. Zwinęli mnie, lecz wobec braku dowodów musieli wypuścić. Na moje nieszczęście w trzy tygodnie później historia się powtórzyła, tym razem była to dziewczyna z rancza Kamienistej Drogi. Mimo że zadano jej klute rany nożem, przeżyła i widziała swego oprawcę. - Zawiesił na chwilę głos. Jego oczy straciły swój zwykły blask. - Powiedziała, że wyglądał na Indianina: ciemnoskóry, ciemnowłosy i wysoki. W okolicy nie było zbyt wielu Indian, więc znowu byłem głównym podejrzanym. No nie, postawili mnie obok sześciu innych białych, choć ciemnowłosych mężczyzn i dziewczyna wskazała mnie, więc mnie skazali. Nie miałem alibi, gdyż tej nocy byłem w domu z moim synem. A jak się zapewne domyślasz, zeznania sześćoletniego indiańskiego dzieciaka nie są brane pod uwagę.

- Co za straszna historia - wyszeptała Mary. Miała wrażenie, że odczuwa to, co niegdyś musiał czuć Wolf, męki, jakie musiał przejść, martwiąc się o swojego syna. Zacisnęła palce wokół jego dłoni, jakby chciała mu powiedzieć, że wszystko rozumie.

- I tak miałem szczęście, że nie wrobili mnie w pierwszy gwałt, choć mieli na to ochotę. Co tu dużo mówić, i tak wszyscy byli przekonani, że to moja sprawa.

- A co stało się z Joem?

- Joe wylądował w domu dziecka, a ja odsiadywałem wyrok. Żeby przeżyć, musiałem grać najtwardszego sukinsyna ze wszystkich. Nie przepadają tam za gwałcicielami.

Słyszała o tym, że czasami więźniów traktuje się jak zwierzęta, siedzą w celach, latami nie widząc innych ludzi ani słońca.

- Jak długo tam byłeś? - Tylko tyle zdołała wyszeptać przez ściśnięte gardło.

- Dwa lata - powiedział głośniejszym głosem i uniósł do góry głowę, która do tej pory była nisko pochylona. - Po dwóch latach, kiedy doszło do nowej serii gwałtów, wytropiono wreszcie prawdziwego mordercę, który przyznał się do wszystkiego, i co więcej... wydawał się być nawet dumny ze swoich dokonań. Przyznał się także do obu gwałtów w okolicy Ruth. Opowiedział wszystko z najmniejszymi szczegółami, więc o pomyłce nie mogło być mowy.

- Czy był Indianinem?

Wolf uśmiechnął się gorzko.

- Nie, Włochem o oliwkowej skórze i czarnych włosach.

- I wtedy cię zwolniono?

- Tak, moje imię zostało oczyszczone z zarzutów, ale jak widzisz, do dziś funkcjonuję jako skazaniec. Straciłem wszystko, co było mi drogie: syna, pracę... To nie było łatwe. Wyszedłem z więzienia, odnalazłem Joego i kiedy udało mi się zarobić trochę grosza na rodeo, wróciłem tutaj, sam nie wiem dlaczego. Okazało się, że starzec, dla którego wcześniej pracowałem, zmarł i Księżycowe Ranczo miało iść pod młotek. Kupiłem je i powoli zacząłem odbudowywać. Zająłem się tresowaniem koni i tak zostało do dziś.

- Dlaczego przyjechałeś właśnie tutaj, gdzie spotkało cię tyle złego?

- Chciałem osiąść gdzieś na stałe, byłem zmęczony ciągłym przemieszczaniem się z miejsca na miejsce, pragnąłem, aby mój syn poznał wreszcie, co znaczy mieć dom. Pytasz, dlaczego właśnie tu, a dlaczego nie, wszędzie jest tak samo, a tu mnie już znali...

Chciała objąć go i przytulić jak skrzywdzone dziecko, chciała go pocieszyć, pogładzić po głowie i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

- No, ale są przecież dobrzy ludzie, którzy ci ufają...

- Kobieto - wpadł jej w słowo - kiedy ty zaczniesz wreszcie racjonalnie myśleć? Proszę, ucz Joego, jeśli uważasz, że ma to sens, ale mnie zostaw lepiej w spokoju i to dla swojego własnego dobra. Niby jestem niewinny, ale tutejsi ludzie nie zmienili swojego stosunku do mnie...

- Ty im też w tym nie pomogłeś - przerwała mu. - Wciąż masz do nich żal i wciąż ich obwiniasz.

- A co mam zrobić? - spytał impulsywnie. - O wszystkim zapomnieć, udawać, że nic się nie stało? Te dwa lata były prawdziwym piekłem. Do dziś nie wiem, co działo się w tym czasie z Joem, ale wiem tylko jedno, że po tym, jak go odzyskałem, minęły trzy długie miesiące, nim wydobył z siebie głos.

- Rozumiem - odparła spokojnie - zatem oni się nie zmieniają, ty się nie zmienisz i ja też nie zamierzam zmienić swego zachowania. W takim razie wszystko jasne, nie ma o czym mówić.

- Zrozum, Mary - nerwowo potrząsnął jej ręką, która wciąż spoczywała w jego dłoniach - nie możemy się przyjaźnić i nie możemy się spotykać.

Wpuścił jej dłoń z uścisku, a ona nagle poczuła się tak, jakby spadała gdzieś w dół, pozbawiona oparcia i ciepła, jakby straciła pod nogami ziemię.

- Ale dlaczego? - Spojrzała na niego, lecz po chwili odwróciła wzrok. - Chyba że mnie nie lubisz? - Jej głos zadrżał.

Miał jej nie lubić? Jak mógłby jej nie lubić? Nie spał po nocach, a jego krew wrzała na każde o niej wspomnienie. Już dawno zapomniał o Judy Owks. Ta mała nauczycielka pochłonęła wszystkie jego myśli bez reszty, ale wiedział, że najlepsze, co może zrobić, to trzymać się od niej z daleka. Nie miała pojęcia, jak potrafią zachować się dobrzy ludzie z Ruth, kiedy coś im się nie spodoba. Ten jej cholerny upór doprowadzał go do rozpacz. Bez zastanowienia chwycił ją za nadgarstki i potrząsnął nią mocno.

- Nie mogę się z tobą przyjaźnić, nie mogę być tuż obok ciebie, nie myśląc o tym, jak bardzo cię pragnę, jak bardzo cię pożądam, twoich miękkich ust, gładkiej skóry, jak bardzo pragnę złączyć się z tobą! Zrozum, kobieto!

Stali tak blisko siebie, że czuła jego gorący oddech na swojej twarzy. Po chwili zdawał się znowu panować nad sobą.

- Więc dlatego nie możemy zostać przyjaciółmi - zakończył już spokojnie.

Zadrżała. Te pozornie ostre słowa miały w sobie wielki ogień i wyrażały dokładnie to samo, co ona czuła.

- Wolf, Ale ja cię pragnę - szepnęła i wiedział, że jest mu całkowicie oddana, widział to w jej oczach.

Gdzie był jej instynkt samozachowawczy, czy zdawała sobie sprawę, co z nim wyprawia? Czy chciała doprowadzić go do szaleństwa? Przecież nie miała żadnego doświadczenia w kontaktach z mężczyznami, była dziewicą, do jasnej cholery.

- Nie mów tak... - udało mu się w końcu z trudem wymamrotać.

- Wiem - nie dała mu dokończyć - jestem zbyt niedoświadczona, bym była dla ciebie interesująca. - Czuła, że szczypią ją oczy, czuła, jak wypełniają się łzami.

- Nie, to nie tak - jęknął. Nie mógł jej nie przytulić, choćby na chwilę. Nie mógł nie poczuć smaku jej ust. Pocałował ją. Tylko ten jeden raz...

Po policzkach Mary potoczyły się gorące łzy. To nie mogło być wyłącznie pożądanie, było zbyt bolesne, zbyt szarpiące, zbyt cudowne. To była miłość. Tak, tak właśnie wyglądała miłość...

Jego usta były szalone, wygłodniałe, spragnione jej pocałunków, a ręce niepohamowane. Błądziły po jej ciele, które niecierpliwie oczekiwało na to, co musiało nieuchronnie nastąpić. Tak, chciała do niego należeć, chciała, by kochał ją bez granic...

Nagle poderwał głowę do góry i, targany sprzecznymi emocjami, wykrzyknął:

- Muszę przerwać! Teraz przerwać! - Jego okrzyk przemienił się w jęk. Drżał jak w febrze.

- Nie chcę, żebyś przestawał... Kochaj mnie... -szepnęła - kochaj mnie...

- Ludzie z miasteczka zniszczą cię...

- Chcę podjąć to ryzyko, chcę - szepnęła błagalnie.

- Nie, nie mogę ci tego zrobić. Gdyby była choć najmniejsza szansa, zaryzykowałbym, ale nic nie mogę ci zaofiarować w zamian. - Chciał ją chronić, musiał, skoro ona zatraciła się w tym szaleństwie.

- Jesteś wszystkim, czego pragnę. - Spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Boże, czemu nie ulitujesz się nad nami, czemu musi to być takie trudne?

- Mary, jestem kimś takim, kogo niestety nie możesz mieć. Rozerwaliby cię na strzępy... ci twoi mili ludzie. - Delikatnie zsunął jej ramiona ze swego karku i bez słowa ruszył w stronę drzwi.

Dobiegł go jeszcze jej ledwie słyszalny głos:

- Potrafiłabym zaryzykować...

Zatrzymał się na chwilę. Jego ręka spoczywała na klamce.

- Ale ja nie.

Przypatrywała się, jak wychodzi i wiedziała, że tak nie może się ta historia zakończyć. To byłoby zbyt straszne, by mogło być prawdziwe.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Joe zjawiał się o zwykłej porze. Zdążyła się już trochę do tego czasu pozbierać. Ale i on, normalnie taki chłonny i pracowity, dziś był dziwnie zdekoncentrowany. Było jasne, że coś innego zaprzęta jego myśli. Bez słowa sprzeciwu przyjął wiadomość, że muszą przenieść się do szkoły i nawet nie dał po sobie poznać, że wiedział, dlaczego. A wiedział to z całą pewnością.

Dzień był wyjątkowo ciepły, nawet jak na początek maja, Mary zrzuciła więc jego brak koncentracji na nietypową aurę. Zresztą sama też czuła się rozbita i osłabiona.

Wreszcie widząc, jak się męczy i próbuje przymusić do nauki, zamknęła zdecydowanym ruchem książkę i powiedziała:

- Właściwie dlaczego nie mielibyśmy skończyć trochę wcześniej? Jakoś nie najlepiej nam dziś idzie...

Joe przeczesał tym samym ruchem, co ojciec, swoje gęste kruczoczarne włosy.

- Przepraszam - powiedział po dłuższej chwili milczenia.

Zwykle nie lubił mówić o sobie. I choć przez te wszystkie tygodnie nieraz zdarzało im się rozmawiać ze sobą na tematy osobiste, to jednak dzisiaj wyczuwała jakąś barierę. Mary, gdy widziała, że ktoś ma jakiś problem, nie wahała się zadawać nawet niewygodne pytania. Nie lubiła być zdana wyłącznie na własną intuicję i na swój sposób tłumaczyć czyjeś złe samopoczucie. Woląca usłyszeć to na własne uszy, choćby miała to być błaźliwość, jak na przykład ból głowy czy coś w tym rodzaju.

- Coś cię martwi, Joe?

Uśmiechnął się, zbyt gorzko jak na swój wiek.

- Można tak powiedzieć - odparł wreszcie, bawiąc się długopisem. - Pam Hearst zaprosiła mnie do kina

- wypalił jak z karabinu.

- Pam - W głosie Mary zabrzmiał niepokój. Wiedziała, że jej ojciec nie był zbyt przychylnie nastawiony do obu Mackenziech.

Joe przymrużył oczy, a jego wzrok stał się dziwnie chłodny.

- Pam jest tą dziewczyną, o której pani mówiłem - wymamrotał pod nosem.

Nic dziwnego, że to właśnie ona zaprzętnęła mu głowę, pomyślała Mary, była naprawdę ładna i mądra. Przez chwilę zastanawiała się, czy pan Hearst wiedział o tym, że jego córka kokietowała Joego, i czy to mógł być jeden z powodów, dla których nie żywił zbytnej sympatii dla tego chłopaka.

- No i co, zamierzasz pójść?

- Nie - odparł krótko.

Ta odpowiedź zaskoczyła ją.

- Dlaczego nie?

- Bo w Ruth nie ma kina i w tym cały problem. Musielibyśmy pojechać do innego miasta i o to właśnie chodzi, żeby ci, którzy nas znają, nie zobaczyli nas razem. Chciała się spotkać ze mną po zmroku, wymknąć niezauważona... Poza tym wygląda na to, że ludzie kupili ten pomysł z Akademią Wojskową... - W jego głosie brzmiała ironia i zawód.

- Wolałbyś, żeby o tym nie wiedzieli? - Może popełniła błąd?

- A jakie pani miała inne wyjście?

W tym momencie zdała sobie sprawę, że wiedział o wszystkim, co wydarzyło się tamtego dnia w szkole.

- Będę harował jak wół, ze zdwojoną siłą, żeby tylko się tam dostać. Inaczej wszyscy powiedzą, że ten Indianiec i tak nie miał szans, bo był za kiepski.

- Nie mów tak o sobie. Indianiec to słowo pełne pogardy i nigdy go nie używaj. Pamiętaj, jesteś wystarczająco dobry i nigdy nie powinieneś się martwić o to, co inni o tobie powiedzą. A teraz jesteś po prostu rozgoryczony z powodu Pam...

- To mnie bardzo wkurzyło, a chyba najbardziej to, że musiałem jej odmówić. Mam w końcu swój honor, ale tak naprawdę... tak naprawdę o niczym innym nie mogę myśleć. Bardzo mi się podoba. Mam jednak inne plany.

Tak, niewątpliwie najważniejsze było latanie. Jakże był podobny do swojego ojca.

- A co będzie z Pam? - zapytała.

- Och, nie wiem, pewnie wyjdzie za jakiegoś miejscowego chłopaka, osiedzą gdzieś w pobliżu i będzie żyła, jak wszyscy w tej okolicy.

No tak, to nie pasowało do planów Joego.

- A czy pani wie, kto rozpuścił tę obrzydliwą plotkę na nasz temat? - Spojrzał na nią ciepło, chcąc jakby wziąć ją w obronę.

- Nie, nie mam pojęcia i nawet nie próbowałam się dowiedzieć. To mógł być w końcu każdy, kto przejeżdżał obok mojego domu i widział zaparkowany przed nim twój samochód. Właściwie chodzi mi po głowie, że... że może to Dottie?

- Tak, Dottie Lancaster, ma pani rację, nie pomyślałam.

- Nie wiem, ale nie czuję się dobrze w jej towarzystwie - przyznała.

- Miała niełatwe życie i chwilami było mi jej nawet żal. Ale kiedy jeszcze chodziłem do szkoły, zrobiła chyba wszystko, co w jej mocy, by zamienić moje życie w piekło.

Na twarzy Mary malowało się bezgraniczne zdziwienie.

- W piekło? Co masz na myśli?

- Jej mąż był kierowcą ciężarówki, zginął wiele lat temu, kiedy była jeszcze młoda. Zginął na trasie w Kolorado. Pijany kierowca zepchnął go z klifu. A tym pijanym kierowcą był Indianin. Chyba nigdy się z tym nie pogodziła i wygląda na to, że jej rozpacz przerodziła się w nienawiść do wszystkich czerwonoskórych.

- Ale przecież to nonsens! - wykrzyknęła Mary, zbulwersowana jego wywodem.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nie pierwszy, a pewnie i nie ostatni nonsens, jaki widział w życiu.

- Została sama z dzieckiem i nie było jej łatwo...

- Nie wiedziałam, że Dottie ma dziecko - Mary była zaskoczona.

- Nazywa się Bobby, ma teraz jakieś dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata. Wciąż mieszka z matką i prawie nie wytyka nosa z domu.

- Coś jest z nim nie tak?

- Jest po prostu inny, nie lubi tłumu ani wrzawy i dlatego większość czasu spędza samotnie. Wiem, że dużo czyta, chętnie słucha muzyki... ale ma problemy, żeby się choćby

ubrać, bo najpierw zakłada buty, a potem nie może włożyć spodni.

Mary poznała ludzi podobnych do Bobbego i wiedziała, że praca z nimi wymaga wiele cierpliwości i specjalnego przygotowania. Zrobiło jej się żal chłopaka i Dottie, której faktycznie nie było czego zazdrościć.

Joe wstał i przeciągnął zastawę mięśnie.

- Jeździ pani konno? - zapytał niespodziewanie.

- Nie, w życiu nie siedziałam na koniu - zaśmiała się lekko.

- Dlaczego więc nie miałyby pani przyjechać do nas którejs soboty lub niedzieli? Mógłbym dać pani kilka lekcji, zwłaszcza że niedługo są przecież wakacje.

Gdyby tylko wiedział, jaka kusząca była dla niej ta propozycja... O niczym innym nie marzyła, jak tylko o tym, by znowu móc zobaczyć Wolfa.

- Dziękuję ci, przemyślę twoją propozycję - obiecała, choć w duchu bardzo wątpiła, czy kiedykolwiek się na to odważy.

Joe zdawał się jednak być pewien swego. Wiedział, że prędzej czy później nakłoni Mary do tego, by pojawiła się na wzgórzu Mackenziech. Wiedział, że ojciec jest na skraju wytrzymałości, wprost na granicy obłędu, i Joe wcale by się nie zmartwił, gdyby wybór ojca padł właśnie na pannę Potter. Intuicja podpowiadała mu, że pojawienie się Mary na ich ranczo może doprowadzić do skrajnej eksplozji emocji, i że Mary będzie miała dużo szczęścia, jeśli ojciec nie porwie jej w ramiona, nim zdąży powiedzieć mu dzień dobry. Jeszcze nigdy nie widział ojca w takim stanie, z czego wniosek był prosty: jeszcze żadna kobieta nie działała na niego tak, jak panna Mary Elizabeth Potter. Uśmiechnął się do swoich myśli i zanucił pod nosem: „A kiedy się zejdą raz i drugi, kobieta po przejściach, mężczyzna z przeszłością...”

W piątek drżącą ręką Mary wyjęła ze skrzynki na listy przesyłkę od senatora Allarda. A jeżeli zawierała złą wiadomość, wiadomość, która pokrzyżuje im plany? Jak powie o tym Joemu? Wprawdzie senator Allard nie był może ich jedyną nadzieją, ale wydawał się być najbardziej wpływowym człowiekiem, jakiego miała okazję poznać.

Otworzyła kopertę i zaczęła szybko czytać. List był bardzo krótki, zaledwie kilka zdań, ale za to jakich zdań! Najpierw senator podziękował jej za rzetelną pracę i za wsparcie dla chłopca, a potem napisał czarno na białym, że zdecydował się zarekomendować Joego do Akademii Wojskowej w Kolorado Springs. Teraz więc wszystko zależało tylko i wyłącznie od chłopca, czy zdoła osiąść niezbędną wiedzę i zdać trudne egzaminy. Do pisma był dołączony krótki list gratulacyjny skierowany do samego Joego.

Przycisnęła kartki papieru do piersi, a po jej policzkach potoczyły się łzy szczęścia.

- Boże, dziękuję ci - szepnęła - a więc udało się i na dodatek wcale nie było aż tak trudne. Dziękuję...

Była gotowa co tydzień wysyłać kolejny list do kolejnego senatora, i tak aż do skutku.

Miała ochotę tańczyć i śpiewać. O nie, taka wiadomość nie mogła czekać do jutra. Pędem wybiegła na podwórko, wskoczyła do samochodu i wcale się nie zastanawiając, ruszyła w stronę rancza Mackenziech. Teraz ta kręta i stroma droga wydawała jej się całkiem inna niż jeszcze kilka tygodni temu. Śnieg znikł gdzieś bez śladu, a po obu stronach drogi rosły kolorowe polne kwiatki. Po tak długiej i ciężkiej zimie wiosenne powietrze wydało jej się prawdziwym błogosławieństwem, choć i tak trudno je było porównać z rozgrzanym słońcem powietrzem w Savannah.

Była tak szczęśliwa i podekscytowana, że nawet nie zwróciła uwagi na strome urwisko przy drodze. Pędziła jak na

skrzydłach i wiedziała już na pewno, że czuje się tu jak w domu, że to miejsce jest jej prawdziwie drogą i bliskie sercu.

Z piskiem opon zatrzymała się tuż przed drzwiami domu Wolfa i z okrzykiem radości na ustach wbiegła do środka.

- Wolf! Joe! - Może to niezbyt stosowne, ale była za bardzo podekscytowana, by się tym przejmować.

- Mary! - usłyszała głos za swoimi plecami. To Wolf biegł w jej kierunku.

Zeskoczyła ze schodów. Jej spódnica uniosła się do góry, ale nie zważała na to. Biegła co sił w stronę mężczyzny, za którym bezgranicznie tęskniła.

- Dostał! Dostał! - wołała radośnie, nie mogąc się powstrzymać.

Wolf zatrzymał się w miejscu i przyglądał się teraz tej kobiecie, bez której nie potrafił już wyobrazić sobie życia. Spódnica Mary to unosiła się do góry, odsłaniając jej zgrabne nogi, to znów opadała. Uspokoił się, wiedział już, że nie stało jej się nic złego. Widział szeroki uśmiech na jej ustach i szczęście wypisane na twarzy. Zaraz też wpadła mu prosto w ramiona. Złapał ją chyba w powietrzu i od razu mocno przycisnął do piersi.

- Dostał! Wolf, Joe dostał rekomendację! - krzyknęła raz jeszcze, choć przecież już nie musiała, bo stali połączeni w uścisku.

On jednak nie słyszał do końca tych słów, myślał teraz tylko o jednym. Zwilżył spierzchnięte usta.

- Tak? - szepnął, wpatrując się w jej niebieskie oczy.

- Tak! Przyszedł list od senatora Allarda, nie mogłam czekać... Gdzie jest Joe?

- Jest w mieście... A więc dostał rekomendację...

Widziała, jak jego twarz promienieje dumą, a jego oczy płoną ogniem. Uniósł ją do góry i jakby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie jej słów, bo okręcając ją wkoło, wydał z

siebie potężny, indiański okrzyk. Odchyliła głowę do tyłu, a na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech.

Nagle poczuł się tak, jakby zaczął w nim wzbierać wulkan, wypełniło go gorące pożądanie. Była taka ciepła i delikatna, a jej śmiech był jak powiew wiosny.

Przyklęknął przed nią i ukrył twarz w jej spódnicy. Poczwała jego dłonie na swoich pośladkach. Śmiech zamarł jej na ustach, gdy jego wargi zaczęły pieścić jej piersi. Wczepiła palce w kruczoczarne włosy i wydała z siebie przeciągły, cichy jęk. Mocniej przycisnęła jego głowę do swego ciała, jakby prosząc go, by tym razem się nie wycofał.

Spojrzał na nią, a jego oczy płonęły żądzą. Oddech miał ciężki, urywany.

- Chcesz? - spytał ledwo słyszalnym, ochryplym głosem.

- Tak - wyszeptala - chcę.

Było mu już wszystko jedno, co pomyślą inni. Rozejrzał się, chcąc ocenić, co jest bliżej, dom czy stodoła, po czym unosząc Mary na rękach, ruszył w stronę stodoły.

Wiedziała, co za chwilę nastąpi, kręciło jej się w głowie i nie miała pojęcia, jak powinna się zachować. Wszystko potoczyło się jednak niezwykle szybko, nie miała czasu na myślenie. Po chwili poczuła, jak zapada się w sianie, jak jego ręce niecierpliwie szukają zapięcia jej spódnicy, jak jego usta zachłannie wpijają się w jej wargi.

Miał wrażenie, że jeśli natychmiast nie poczuje pod sobą jej jedwabistej skóry, oszaleje. Jego dłonie stały się niesłychanie ruchliwe, a usta przesuwaly się wzdłuż jej ciała w dół, pieszcząc każdy zakamarek.

To było takie cudowne, że nawet nie przyszło jej do głowy, żeby protestować. Pragnęła go, pragnęła oddać mu się bez reszty, chciała, by widział ją naga, by nie ustawał w pieszczotach, by zrobił z nią to, co mężczyźni robią z kobietami. Kochała go. Jej ciało drżało coraz mocniej, unosząc się niecierpliwie w górę i w dół. Z coraz większą siłą wbijała

paznokcie w jego ramiona, nie mogła już powstrzymać jęków, wydobywających się z jej gardła. I nagle poczuła rozkosz, która nie dawała opisać się żadnymi słowami. Ledwo ustała fala szalonej ekstazy, a już poczuła, jak wsuwa się pomiędzy jej uda, zobaczyła, jak zdziera z siebie koszulę...

- Wolf... - szepnęła.

- Tak, najdroższa? - Ach, prawda, musiał być otrożny, przecież to był jej pierwszy raz. Jeszcze nigdy przedtem nie była z mężczyzną... I nagle usłyszał ten charakterystyczny dźwięk. Zamarł w bezruchu.

- Wolf?

Zaklął pod nosem i usiadł, starając się zapanować nad swoim ciałem i narastającą frustracją.

- Za kilka minut będzie tu Joe. Właśnie słyszałem jego samochód.

- Joe?

- Tak, właśnie on. Pamiętasz, to z jego powodu zjawiłaś się tutaj.

Czuła, jak jej policzki płoną. Podniosła się i dopiero teraz do niej dotarło, co powiedział.

- Joe? O Boże, przecież jesteśmy nadzy...

- Spokojnie, mamy jeszcze kilka minut, pozbieramy się - powiedział, ścierając pot z twarzy.

Podał jej rękę i pomógł wstać. Zrobiło jej się głupio. Ładnie, ciekawe, co powiedziałyby na to ciotka Ardith i Mary poczuła, jak jej oczy wypełniają się łzami. Spuściła głowę, nie chciała, by na nią patrzył. Włożył koszulę i pomógł jej pozbierać ubranie.

- Ej, mała, masz siano we włosach - rzucił zaczepnie i otrzepał jej spódnice.

Uniosła ręce, żeby wygładzić i spiąć włosy.

- Nie - szepnął jej do ucha - zostaw je tak, lubię, kiedy są rozpuszczone. Wyglądają, jakby były z jedwabiu.

- Co on sobie o mnie pomyśli? - - wyszeptała z przerażeniem, słysząc podjeżdżający samochód.

- Ma szczęście, że jest moim synem, inaczej chyba bym go zabił - syknął przez zęby.

Wcale nie była pewna, że żartował.

Wolf wziął głęboki oddech i wyszedł na zewnątrz. Zaraz za nim pojawiła się Mary.

Joe od razu zauważył, że ojciec ma wygniecioną koszulę, a panna Mary potargane włosy. Cholera, zaklął w duchu, widząc ich zmieszanie.

- Zdaje się, że mogło mi to zająć chwilę dłużej. Może się zmyję?

Wolf machnął ręką.

- Nie, Mary przyszła tu do ciebie.

- To samo powiedziałeś za pierwszym razem - Joe uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Fakt. - Wolf spojrzał na Mary, a jego oczy znowu zabłyśły. - Mary, powiedz mu!

W pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

- Mary, no, powiedz mu! - ponaglał.

Nagle wszystko sobie przypominała i z przerażeniem spojrzała na swoje puste dłonie. Zaraz, zaraz, zdaje się, że zgubiła te papiery gdzieś w sianie. O rety, to nie może być prawda, przecież nie będzie teraz szukać ich w stodole. To byłoby zbyt upokarzające.

Rozłożyła więc dłonie, spojrzała na Joego i zaczęła powoli:

- Wyobraź sobie, że z dzisiejszą pocztą dostałam list od senatora Allarda, w którym mnie poinformował, że napisze ci rekomendację do Akademii Wojskowej w Kolorado Springs. I co ty na to? -Zauważyła, jak Joe blednie i przez chwilę zdawało się, że się przewróci.

- Dostałem rekomendację? - zapytał, nie wierząc własnym uszom. - Do akademii?

- Tak, masz list rekomendacyjny. Teraz wszystko zależy od ciebie, musisz tylko dobrze zdać egzaminy.

Jeszcze chwilę stał jak sparaliżowany, aż wreszcie wystrzelił do góry z okrzykiem radości na ustach. Potem rzucił się ojcu na szyję, ściskali się i poklepywali, śmiejąc się i krzycząc na przemian.

Mary z przyjemnością przyglądała się im, z jej ust nie zniknął ciepły uśmiech, a z twarzy wyraz zadowolenia i zrozumienia.

Nagle silne męskie ramię zagarnęło ją i pociągnęło w ich kierunku.

- Chodź tu do nas! - zawołał Wolf.

- Ej, zgnieciecie mnie - zapisała, gdy znalazła się pomiędzy nimi.

Kiedy wreszcie wypuścili ją z objęć, poprawiła włosy i uśmiechnęła się do Wolfa. Pod wpływem tego uśmiechu, takiego uśmiechu, którym kobieta obdarza jedynie swojego ukochanego, zrobiło mu się jakoś ciepło i poczuł, jak topnieje mu serce. Aby pokryć swoje zakłopotanie, odwrócił się i zaczął rozglądać się za porzuconymi listami. Jeden z nich leżał na podjeździe, drugi zaś niedaleko stodoły.

Podszedł do syna i jakoś tak bardzo uroczyście wręczył mu ten zaadresowany do niego.

Zarówno głos Joego, jak i jego dłonie drżały, kiedy czytał ten list. Najwidoczniej ciągle nie mógł uwierzyć w swoje szczęście; to wszystko wydarzyło się zbyt szybko.

Przeniosła wzrok na Wolfa i ze zdziwieniem zauważyła, że jego twarz nagle przybrała kamienny wyraz. Nie mogła pojąć, co się z nim stało. Uniósł nieco głowę, jakby wyczuwał jakies niebezpieczeństwo, przez chwilę nasłuchiwał, a potem zamarł w bezruchu.

Dopiero wtedy usłyszała odgłos silnika zbliżającego się samochodu i już po chwili przed domem Wolfa zaparkował szeryf.

Clay wysiadł z samochodu.

- Witam - powiedział, w geście powitania dotykając ręką kapelusza.

- Szeryf Armstrong... - wyszeptała Mary z niejakim niepokojem, gdyż zwykle przyjazne oczy szeryfa były w tej chwili lodowate i obce.

- Co pani tu robi, panno Potter? - zapytał z wyrzutem.

- Ależ... dlaczego pan mnie o to pytał - odcięła się z oburzeniem, podpierając się rękami pod biodra.

- Dajmy temu spokój - odezwał się Wolf - przejdź do konkretów, Armstrong.

- W porządku, jak sobie życzysz. - Jego głos brzmiał jakoś nieprzyjemnie. - Musisz ze mną pojechać, Mackenzie, na przesłuchanie. Jeśli teraz odmówisz, wrócę tu z nakazem aresztowania.

Joe stał jak sparaliżowany, przypominał sobie, że kiedyś miała już miejsce podobna scena. Stracił wtedy ojca na dwa długie lata. Nie chciał przeżywać takiego koszmaru jeszcze raz. I pomyśleć, że przed chwilą byli najszczęśliwymi ludźmi na świecie.

Wolf zaczął zapinać koszulę.

- Mogę wiedzieć, co stało się tym razem?

- Porozmawiamy na posterunku...

- Porozmawiamy teraz. O co chodzić - powiedział Wolf tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- A więc dobrze - zaczął Clay. - Dziś rano zgwałcono dziewczynę...

- I natychmiast pomyśleliście o Indianinie - przerwał mu Wolf z wściekłością.

- Na razie przesłuchujemy ludzi i jeśli masz alibi, to nie ma sprawy, zaraz wrócisz.

- Mam rozumieć, że przesłuchujecie wszystkich w okolicy czy tylko Indian?

- Czego się ciskasz! Byłeś skazany...

- Zapomniałeś już, że to była pomyłka?

- Dostałem rozkaz i to wszystko! - uniósł się Clay. -
Muszę go wykonać.

- Szkoda, że wcześniej nie powiedziałeś, że to rozkaz.

- Pojedziemy moim samochodem, potem cię przywiozę.

- Nie, dzięki, wolę pojechać swoim. To na wypadek,
gdybyście stwierdzili, że spacerek dobrze mi zrobi.

Clay zaklął pod nosem i ruszył w stronę swojego samochodu.
Po chwili dał się słyszeć pisk opon, a spod kół posypał się grad
kamieni.

Mary drżała na całym ciele, nie mogąc zrobić ani kroku, a
Joe stał z kamienną twarzą i z zaciśniętymi pięściami
przyglądał się znikającemu za wzniesieniem samochodowi
ojca.

- Nie mogą mu tego znowu zrobić - wymamrotał pod
nosem - nie mogą...

- Nie zrobią tego, zobaczysz, nawet gdybym musiała pójść
do samego gubernatora! - odezwała się nagle Mary. -
Poinformuję gazety i telewizję, nie zostawią na nich suchej
nitki.

- Niech pani lepiej jedzie do domu, to nie żarty.

- Nie, zostanę tu aż do powrotu twojego ojca. - Uniosła do
góry brodę i już wiedziała, że szeryfowi niełatwo będzie
wygrać z nią tę bitwę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Było już po dziewiątej, kiedy usłyszeli wreszcie warkot ciężarówki Wolfa. Obydwoje wybiegli przed dom. Z jednej strony poczuli ulgę, ale z drugiej, kto mógł wiedzieć, co oni tam znowu uknuli.

Wysiadł z samochodu, podszedł do nich, spojrzął na nich niewidzącymi oczami, a potem wszedł do środka..

Wszyscy troje usiedli przy stole.

- Dlaczego wciąż jesteś tutaj, dlaczego nie pojechałaś do domu? - zwrócił się do Mary z wyrzutem.

Zignorowała to pytanie, wlała do kubka kawę i postawiła ją przed Wolfem.

- Powiedz, co się stało -

Wziął kubek do ręki i wstał z krzesła. Nie mógł usiedzieć, był zbyt wściekły, czuł, jak mu się w środku wszystko gotuje. Nie wsadzą go drugi raz do paki. Prędzej umrze, niż pójdzie do więzienia.

- Wypuścili cię... - wymamrotał Joe.

- Nie mieli wyjścia, dziewczynę zgwałcono koło południa, a ja akurat w tym czasie byłem u Wally'ego Rasco, dostarczałem mu dwa konie. Potwierdził moje zeznania. Doszli więc do wniosku, że nie mogłem być jednocześnie w dwóch miejscach naraz i do tego oddalonych od siebie o ponad sześćdziesiąt mil.

- Gdzie to się stało?

-W Ruth. Musiał czekać na nią przed domem i kiedy wsiadła do samochodu, zaszedł ją od tyłu i kazał odjechać. Dopiero po jakiejś godzinie rozkazał jej, by się zatrzymała na poboczu...

- Na poboczu? - zdziwiła się Mary. - Przecież każdy mógłby ich zauważyć?

- Nie wiem. Dziewczyna pamięta tylko tyle, że był wysoki, nie widziała jego twarzy. A to wystarczyło, żeby mnie podejrzewać. Jej ojciec był na posterunku policji i wymachiwał strzelbą. Odgrażał się, że odstrzeli mi... no, wiesz...

Znów podeptano jego dumę. Trzeba było nie lada hartu ducha, żeby znieść tyle oskarżeń i wyzwisk, pomyślała Mary.

- I kiedy przyszedł Wally Rasco i oczyścił mnie z zarzutów, udzielono mi jeszcze przyjacielskiego ostrzeżenia i wreszcie mogłem opuścić posterunek.

- Ostrzeżenia? Jakiego ostrzeżenia?

- Żebym trzymał się z dala od białych kobiet. I to jest to, co zamierzam zrobić. Jedź więc już lepiej do domu i nie przychodź tu więcej. Nie możemy się spotykać, rozumiesz?

- Nie myślałeś tak, kiedy przedtem niosłeś mnie do stodoły? - wyrwało się jej, po czym spojrzała na Joego i zaczerwieniła się, ale już po chwili się pozbierała.

- Nie mogę uwierzyć, że zgadzasz się na to, by szeryf dyktował ci warunki i wyznaczał, z kim możesz się spotykać, a z kim nie.

Zmrużył oczy i wpatrywał się w nią.

- Może tego nie rozumiesz, ale faktycznie to biali dyktują warunki i nie ma żadnego znaczenia, że zostałem oczyszczony z podejrzeń. Wszyscy wiedzą, że podejrzenie padło na mnie, a to wystarczy, żeby moje życie i życie Joego zamienić w koszmar. Nie pojmujesz, co to znaczy. Dopóki nie złapią tego sukinsyna, nikt nie sprzeda mi ani benzyny, ani jedzenia, ani nawet zapalek. Nic! A każdą białą kobietę, która zbliży się do mnie, gotowi są wrzucić do smoły i wytarzać w pierzu.

- Ale ja nie będę żyła zgodnie z cudzymi wyobrażeniami. Doceniam to, że próbujesz mnie chronić, ale to warunki nie d o przyjęcia. Nie mogę się na to zgodzić.

- Nie masz wyjścia... - Nie mógł znieść tego jej spojrzenia. Najchętniej porwałby ją w ramiona i ogłosił całemu światu, że należy do niego, ale nie mógł. Wiedział, jaki los by ich czekał. Ona nie zniosłaby psychicznej presji ze strony całego miasteczka. Nękaliby ją, niszczyli jej własność, a może nawet podpaliliby jej dom. Nie miała o tym wszystkim pojęcia. - Jedź do domu. - To zabrzmiało jak prośba. - Może... kiedy to wszystko się wreszcie skończy... - Nie mógł się opanować, wyciągnął rękę i lekko pogładził ją po włosach. Nie, lepiej nie dawać żadnych obietnic, pomyślał. Kto wie, jak potoczą się dalej sprawy.

To jej wystarczyło, o nic więcej nie pytała. Wiedziała, że nie jest mu obojętna. Wiedziała, że jest dla niego ważna.

- Chciałabym, żebyś obciął włosy - powiedziała nagle.

- Słuchami - zdziwił się Wolf.

- Dobrze usłyszałeś, chcę, żebyś obciął włosy. Wcale nie nosisz takiej fryzury dlatego, że jesteś Indianinem, lecz po to, by prowokować białych, żeby przypadkiem nigdy nie zapomnieli, że w twoich żyłach płynie indiańska krew.

Wyglądało na to, że jeśli jej tego nie obieca, nie ruszy się z miejsca.

- W porządku - mruknął pod nosem - obietnę.

- Świetnie. W takim razie - wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek - dobranoc. Dobranoc, Joe.

Następnego poranka wszyscy w miasteczku rozprawiali tylko o zgwałconej dziewczynie. Jej nazwisko znalazło się na ustach wszystkich mieszkańców Ruth. Okazało się, że tą dziewczyną była Kathy Teele, której młodsza siostra, Christa, uczyła się w klasie Mary. Podobno państwo Teele byli strasznie załamani.

Mary spotkała w sklepie Dottie Lancaster w towarzystwie młodego mężczyzny. Domyśliła się szybko, że to jej syn.

- Dzień dobry, Dottie - starała się być dla niej bardzo miła, choć tak naprawdę wcale za nią nie przepadała.

- Witaj, słyszałaś już o pannie Teele? - Dottie wydawała się być mocno podenerwowana.

- Oczywiście, o niczym innym się tu dziś nie mówi.

- Aresztowali tego Indianina, ale niestety musieli go wypuścić. Mam nadzieję, że będziesz teraz bardziej ostrożna w doborze towarzystwa. To takie nieroztropne z twojej strony spotykać się sam na sam z tym młodym Mackenzieem...

- Nie wiem, o czym mówisz. - Mary za wszelką cenę starała się opanować drżenie głosu. - Wolf nie był aresztowany. Tylko go przesłuchali na posterunku. Ma alibi. Był w tym czasie na ranchu pana Wally'ego Rasco i pan Rasco to potwierdził.

- Tak, tak, wierz w to. Raz już siedział za gwałt, sąd go skazał.

- Ale to była przecież okropna pomyłka sądowa i już dawno oczyszczono go z wszelkich zarzutów... Siedział dwa koszmarnie lata za kogoś innego, którego złapali dopiero po dwóch latach i nie był to wcale Indianin, tylko jakiś ciemny Włoch...

- A tam! To słowa tego Indianina, ale wiedz o tym, że wypuścili go warunkowo i taka jest prawda. - Dottie odsunęła się z niesmakiem. - Zadajesz się z nimi, odkąd się tu tylko

pojawiłaś. Pamiętaj, kto śpi z psami, łatwo złapie pchły. To brudna, indiańska hołota... Lepiej uważaj, co robisz...

- Milcz! Ani słowa więcej! - oburzyła się Mary. Aż swędziała ją dłoń, żeby wymierzyć tej kobiecie policzek. - Wolf Mackenzie to porządny człowiek, ciężko pracuje i nie zasługuje na taką opinię. A tobą kieruje zwykła ludzka głupota i chorobliwa nienawiść.

Dottie poczerwieniała ze złości, jednak w oczach Mary było coś takiego, jakaś dziwna determinacja, która spowodowała, że zamilkła.

- Zdaje się, że ściągniesz na siebie kupę problemów, moja droga - syknęła tylko.

- Straszysz mnie?

- Daj już spokój, mamó - odezwał się towarzyszący jej młody mężczyzna i pociągnął ją za ramię.

- Zapamiętaj sobie, co ci powiedziałam - rzuciła przez ramię i oboje wyszli ze sklepu.

Mary wzięła kilka głębokich oddechów i już chciała podejść do najbliższego regału, gdy zauważyła, że oczy wszystkich obecnych w sklepie klientów skierowane są właśnie na nią. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że słyszeli każde słowo. Pomyślała, że jeszcze dziś całe miasteczko będzie znało wszystkie szczegóły zajścia z Dottie.

Ruszyła w stronę kolejnych regałów i tam natknęła się na Cicely Karr. Pamiętając jej zachowanie na zebraniu w szkole, uznała, że powinna podzielić się z nią radosną wiadomością o sukcesie Joego.

- Dzień dobry, dostałam wczoraj wiadomość od senatora Allarda. Będzie rekomendował Joego do Akademii Wojskowej.

Wbrew jej oczekiwaniom, pani Karr wyglądała na podekscytowaną.

- Niemożliwe! Coś podobnego! Nigdy bym w to nie uwierzyła. Panno Potter, proszę jednak uważać na siebie,

nawet pani nie wie, co myśmy tu przeżyli dziesięć lat temu, koszmar...

- To także był koszmar dla Wolfa Mackenziego! Siedział za gwałt, którego nie popełnił, zdaje sobie pani z tego sprawę? Oczyszczono go z zarzutów, a mimo to jest pierwszą osobą, którą się przesłuchuje, kiedy wydarza się w Ruth kolejne przestępstwo. Nikt mu nie odda tamtych dwóch lat, które spędził w więzieniu, a wygląda na to, że nikt by się nie zmartwił, gdyby wylądował w nim ponownie,

- No właśnie, może chciał teraz wziąć odwet?

- Odwet? Za jakiego człowieka pani go uważa?

- Myślę, że on tu wszystkich nienawidzi, każdy pani to powie.

- To nieprawda! Owszem, może jest rozgoryczony, ale nie jest podły. Nigdy nie skrzywdziłby w taki sposób żadnej kobiety.

- No, nie byłabym taka pewna, te jego czarne oczy przepelnione są nienawiścią.

- Przecież nikt z was go nie zna - zaoponowała Mary - chociaż mieszka tu od lat.

- A pani go już zna? A może mówimy tu o innym rodzaju znajomości? Może tak naprawdę chodzi pani o Wolfa Mackenziego, a nie o jego syna? Nie myślę się, prawda? - spytała, patrząc na Mary podejrzliwie.

- Nie, nie myli się pani - Mary nie mogła już dłużej tego znosić - rzeczywiście chodzi mi o Wolfa Mackenziego, ale nie w takim sensie, jak się to pani wydaje.

W sklepie zapanowała kompletna cisza, tylko tu i ówdzie dały się słyszeć podeksycytowane szepty.

Trudno, nie udało jej się zapanować nad emocjami. Wolf pewnie będzie miał jej to za złe. Miała trzymać język za zębami, a tymczasem wypaplała niemal przed całym miastem, że zna go lepiej niż mieszkańcy Ruth.

I co więcej, ani trochę tego nie żałowała, bo był tego wart. Czuli się przy nim pełnowartościową kobietą, jego kobietą. I pragnęła należeć do niego w całym znaczeniu tego słowa, nawet za cenę wyrzucenia jej z pracy i poza nawias tej całej małomiasteczkowej społeczności.

- Widzę, że przydałoby się jeszcze jedno zebranie na ten temat - dodała lodowato pani Karr.

- Nie ma problemu. - Mary odwróciła się na pięcie i podeszła do kasy.

Kasjerka, która najwyraźniej także nie była jej zbyt przychylna, zmiękła pod twardym i odważnym spojrzeniem Mary.

W drodze do domu nie mogła się uspokoić. Kiedy to się wreszcie skończy? Po co ta cała nagonka? Teraz rozumiała, co Wolf miał na myśli, radząc jej, by trzymała się od niego z daleka. Jednak nie umiała się pohamować, nawet dziś po tych przykrych rozmowach w sklepie. W każdej chwili gotowa byłaby stanąć na środku rynku i krzyczeć, że jest kobietą Wolfa Mackenziego, i że go kocha.

Ale co on w niej właściwie widział? Zdjęła ciężkie rogowe okulary i z zaciekawieniem spojrzała w lustro. Miała przez moment wrażenie, że to nie ona, że to jakaś inna kobieta patrzy na nią nieco zażenowana i zadziwiona zarazem. Rozpuszczone lśniące włosy i błyszczące oczy czyniły z niej kogoś zupełnie innego; kogoś o delikatnych rysach twarzy i, nie zawahała się tego pomyśleć, kogoś całkiem ładnego. A wszystko to było jego zasługą; zasługą Wolfa Mackenziego. Z niesmakiem spojrzała na swoją plisowaną spódnicę i nagle zrozumiała, że stała się całkiem inną kobietą. Już nie podobały się jej dotychczas ulubione sukienki ani ciasno upięte włosy, ani ogromne okulary. Z rozrzewnieniem pomyślała o džinsach Joego i jego bluzie. Jakże inaczej w nich wyglądała i jakim wzrokiem patrzył wówczas na nią Wolf... Zrzuciła z siebie spódnicę, która wydała jej się teraz czymś nie do przyjęcia, i

raz jeszcze zerknęła w lustro, tym razem koncentrując się na swojej figurze. Obróciła się raz i drugi i z zadowoleniem stwierdziła, że nie ma się czego wstydzić, że jej biodra są kształtne i wąskie, a nogi smukłe i zgrabne. Nie rozumiała, dlaczego tak długo ukrywała je pod fałdami długiej spódnicy, przekonana o swojej nieatrakcyjności. Szybko włożyła z powrotem spódnicę, narzuciła na ramiona płaszcz i chwyciła portmonetkę. Może w Ruth nie ma zbyt dużego wyboru, jeśli chodzi o ubrania, ale jakieś dzinsy na pewno uda jej się znaleźć.

Kiedy wyszła z domu, padało, ale było jej to zupełnie obojętne. Zatrzymała się pod sklepem z konfekcją. Wybrała sobie dwie pary dzinsów, dwa lekkie bawełniane swetry i koszulę flanelową, w której poczuła się jak dziewczyna z rancza. Była taka szczęśliwa, że jeszcze raz zawróciła od kasy i przymierzyła dzinsową koszulę i rubinowy sweter. Wyglądała w nim tak ładnie, że z radości zaczęła kręcić się w kółko jak dziecko. Wybrała jeszcze kilka lżejszych bluzek, na słoneczną pogodę, i ruszyła do kasy. Nawet nie mrugnęła okiem, kiedy się okazało, ile ma zapłacić. I wcale nie był to jeszcze koniec zakupów. Wrzuciła torby z zakupami do samochodu i pobiegła do sklepu pana Hearsta, gdzie całe Ruth zaopatrywało się w kowbojki. W końcu mam zamiar spędzać na ranczo Mackenziech sporo czasu i będą mi zwyczajnie potrzebne, pomyślała, rozgrzeszając się w duchu.

Pan Hearst nie był dla niej zbyt miły, ale obrzuciła go tylko karcącym spojrzeniem, nie odpowiadając na jego drobne uszczypliwości. Próbowwała parę po parze, aż w końcu zdecydowała się na te, które wydały jej się najwygodniejsze.

Już nie mogła doczekać się, kiedy wróci do domu i włoży na siebie dzinsy i flanelową koszulę. Uśmiechnęła się na myśl, jak zareaguje na tę przemianę jej kocur, może jej wcale nie pozna - Za to Wolfowi na pewno sprawi tym swoim nowym stylem ubierania się prawdziwą niespodziankę. Przypomniała sobie

blask jego oczu, kiedy zobaczył ją w dżinsach Joego i aż zadrżała na całym ciele.

Deszcz przybrał na sile, puściła się więc biegiem do samochodu, klnąc pod nosem, że zaparkowała tak daleko. W Ruth nie było chodników, a na ulicach utworzyły się już spore kałuże. Wokół było zupełnie pusto, w taką pogodę wszyscy woleli siedzieć w domu przed kominkiem.

Była już prawie przy samochodzie, gdy nagle zza najbliższego budynku wyskoczyła jakaś postać i czyjaś duża, mokra dłoń przysłoniła jej usta. Poczowała, jak zaciskają się wokół niej czyjeś mocne ramiona. Nie mogła się bronić ani krzyknąć. Ogarnęło ją potworne przerażenie. Przecież tak nie mogło się to wszystko skończyć! Udało jej się uwolnić jedną rękę i z całej siły zamachnęła się do tyłu, trafiając napastnika w twarz. Pod palcami poczuła miękki materiał, coś na kształt zsuniętej na twarz bawełnianej czapki z wyciętymi otworami na oczy. Był więc zamaskowany. Napastnik natychmiast wykręcił jej ramię i wymierzył silny cios w głowę. Cały świat zawirował przed oczami Mary i straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, znajdowali się już w opuszczonych zabudowaniach na tyłach deptaku. Na twarzy czuła lepkie błoto i tę ohydną, moką rękę. Napastnik bezpardonowo uniósł do góry jej spódnicę i jego oddech stał się szybszy, bardziej chrapliwy. Z całą furią wbiła paznokcie w jego dłoń, licząc na to, że choć na chwilę oderwie ją od ust i będzie mogła krzyknąć. Ale nic z tego. Poczowała tylko kolejny cios w głowę, po czym pchnął ją na ziemię i przygniótł swoim ciałem. Leżała na brzuchu i pod takim ciężarem nie mogła nawet drgnąć. Kilkoma ruchami zdarł z niej ubranie.

Boże, nie, jęknęła w duchu. I nagle poczuła w sobie wielką siłę. To nie mogło się tak skończyć, o nie! Z całej siły wbiła zęby w dłoń napastnika, zamachnęła się ręką i poczuła pod palcami jego oczy. Nie zważając już na nic, wbiła w nie

paznokcie i po chwili usłyszała jego głośny krzyk. Zerwał się na równe nogi, przysłaniając dłońmi poranioną twarz.

Szumiało jej w uszach, ale zdołała dostrzec niebieski rękaw jego bluzy czy kurtki i jasną piegowatą dłoń...

Nagle niebo rozdarła błyskawica i rozległ się ogłuszający huk a zaraz potem lunęła ściana deszczu.

Jakiś czas leżała na ziemi w strugach deszczu z zamkniętymi oczami. Pięć, może dziesięć minut -Nagle usłyszała czyjeś kroki, ale nie miała siły się poruszyć. Ktoś zaklął pod nosem.

- Mary? Żyjesz?

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy i zobaczyła nad sobą twarz Claya Armstronga. Pochylił się i wziął ją delikatnie na rękę. Poczowała krople chłodnego deszczu na twarzy.

- Tak... - szepnęła ledwo słyszalnym głosem i wtuliła twarz w jego ramiona.

- Przysięgam ci, dopadnę tego drania - syknął przez zaciśnięte zęby.

W mieście nie było lekarza, była tylko pielęgniarka. Clay zaniósł Mary do jej domu. Bessie natychmiast zadzwoniła po lekarza z sąsiedniego miasteczka, a następnie zajęła się Mary. Obmyła jej wszystkie zadrapania, a do krwiaków na głowie przyłożyła lód. Clay zniknął gdzieś bez śladu, a dom Bessie powoli wypełniał się kobietami.

Sharon zapewniła ją, że zajmie się wraz z Dottie wszystkimi sprawami w szkole, Francie Beecham opowiadała jej historie ze swojej młodości, kiedy sama jeszcze nauczała dzieci, a Cicely Karr, z którą kilka godzin temu pokłóciła się w sklepie, poila ją ciepłą, słodką herbatą. Wszystkie próbowały odwrócić jej uwagę od tego, co się przed chwilą stało. Była im bardzo wdzięczna za tyle serca...

Gdy przyszedł doktor, Bessie zaprowadziła ją do swojej sypialni. Dokładnie ją przebadał, a szczególnie zainteresowały go uderzenia w głowę. Na szczęście wszystko zdawało się być w porządku.

- Z pewnością będzie pani miała przez kilka dni bóle głowy, ale nie jest to wstrząs mózgu, którego się obawiałem najbardziej. Najlepszym dla pani lekarstwem byłby teraz dłuższy wypoczynek, jak najwięcej snu i dobre odżywianie. Musi pani wrócić do sił.

- Dziękuję panu, panie doktorze, bardzo dziękuję.

Wszyscy byli dla niej tacy dobrzy, jakby stanowili jedną wielką rodzinę. A ona, mimo to.. czuła coraz bardziej narastającą desperację; czuła się skalana. Marzyła o tym, by znaleźć się w swoim domu, by się wykapać. Potrzebowała odrobiny prywatności, ale przede wszystkim potrzebowała Wolfa.

Kiedy wróciła do pokoju, Clay już tam był. Natychmiast podszedł do niej, ujął ją za ręce i zapytał:

- Jak się czujesz? Chciałbym spisać twoje zeznania, ale nie wiem, czy czujesz się na siłach...

Kiwnęła głową.

- Tak, oczywiście - wyszeptwała.

Doprowadził ją do krzesła i okrył kocem.

- Nie obawiaj się, już go złapaliśmy i zamknęliśmy na posterunku.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Złapaliście? Wiecie, kim jest? - Tak, widziałem go...

- Ale przecież miał na twarzy maskę. - Pamiętała to dobrze, czuła dotyk materiału pod palcami.

- Tak, ale wystawały mu długie ciemne włosy...

Mary wpatrywała się w niego z narastającym przerażeniem.

- Słucham? - To niemożliwe, nie pomyślał chyba, że...

Poczuła, że robi się jej niedobrze.

- Nie martw się, zamknęliśmy go, już nic ci nie zrobi.

Zacisnęła dłonie w pięści, tak mocno, że paznokcie niemal wbiły jej się w skórę.

- Natychmiast go wypuść! - syknęła.

Nie rozumiał, o co jej chodzi. Po chwili zaś jego zdziwienie przerodziło się we wściekłość.

- Wypuścić go? Za to, co ci zrobił?

Mary pobladała.

- To nie był on - pokręciła głową. - To nie był on!

- Widziałem go. - Każde słowo Clay wypowiadał wolno i wyraźnie. - Był wysoki i miał długie czarne włosy.

- To nie był on! - wykrzyknęła.

- Jak nie on, to kto?

- Wiem, że to nie był Wolf!

Wszyscy siedzieli bez słowa i przysłuchiwali się tej rozmowie.

- Próbowaliśmy cię ostrzec - odezwała się cicho Cicely Karr.

- Ale ostrzegaliście mnie przed niewłaściwym mężczyzną!

Jej oczy płonęły. Przenosiła wzrok kolejno z jednej twarzy na drugą i w końcu zwróciła się do Claya:

- Widziałam jego dłonie, były jasne i piegowate. A więc nie mógł to być Wolf Mackenzie.

Clay zmarszczył brwi.

- Jesteś tego absolutnie pewna?

- Całkowicie, w stu procentach! Cały czas miałam jego dłoń przed oczami. - Nachyliła się w stronę Claya i chwyciła go za rękaw. - Wypuście go z więzienia! Natychmiast! Natychmiast, słyszysz! - krzyknęła z furją.

Clay zerwał się z miejsca i podbiegł do telefonu. Mary ponownie spojrzała na twarze kobiet, które siedziały w pokoju. Wszystkie zdawały się być blade i przerażone. Dobrze wiedziała, dlaczego. Dopóki to Wolf był głównym podejrzanym, wiedziały, skąd mogą spodziewać się ewentualnego ataku i na kim mają koncentrować swoją nienawiść. A teraz, gdy okazało się, że to ktoś inny, padł na nie blady strach. Patrzyły po sobie, nie wiedząc, co mają o tym sądzić. Przecież mógł to być ktoś, kto mieszkał tuż obok nich,

ktoś, kogo dzień w dzień spotykały w miasteczku i nigdy nie podejrzewałyby o nic złego. W tym mieście wielu mężczyzn miało piegowate dłonie. Na pewno jednak nie był to Wolf. Jego dłonie były ciemne i gładkie. I temu nie mógł nikt zaprzeczyć.

Tak bardzo pragnęła go zobaczyć. Nie wiedziała, czy może liczyć na to, że zechce się tu w ogóle pojawić. Ale już po niespełna godzinie ujrzała go w drzwiach.

Wszedł, jakby nie bacząc na to, o co go znowu posądzono, jakby nie miało to dla niego żadnego znaczenia, wszedł jak do siebie, bez pukania. Nie widział nikogo oprócz Mary. Siedziała owinięta kocem, miała bezbarwną, wymęczoną twarz. Jego kroki dudniły po podłodze. Podeszedł do niej i przyjrzał się jej badawczym wzrokiem. Delikatnie dotknął jej policzka i skierował jej głowę w stronę światła. Widząc zadrapania i siniaki na jej twarzy, zacisnął tylko zęby.

Po jej policzkach potoczyły się łzy

- Obciąłeś włosy? - próbowała się uśmiechnąć.

- Tak, dziś rano - szepnął. - Jak się czujesz?

- Trochę lepiej. On mnie nie... nie udało mu się... no, wiesz...

- Wiem, już ciii... - Przyłożył palec do ust i pogładził ją po głowie. - Przyjdę później, najpierw muszę go dorwać.

Obiecuję ci to...

- Tym zajmie się policja - przerwał mu ostro Clay.

- Chyba że znowu chcesz napisać sobie biedy.

Oczy Wolfa płonęły zimnym ogniem.

- Jak dotąd, policja jakoś nie najlepiej sobie radzi - wycedził przez zęby i wyszedł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Clay stał jeszcze przez chwilę, wpatrując się w drzwi, które zamknęły się za Wolfem. Nigdy by nie przypuszczał, że Wolf zdecyduje się na obcięcie włosów i to akurat dzisiejszego poranka. Poczul się mocno nieswojo.

Znalazł go, tam gdzie się spodziewał, na miejscu przestępstwa. Kiedy podjechał bliżej, zauważył, że Wolf klęczy na ziemi i przygląda się rozmytemu deszczem podłożu. Nawet nie podniósł wzroku, choć kątem oka z pewnością musiał dostrzec nadchodzącego Claya.

- Kiedy ściałeś włosy? - zapytał na wstępie.

- Dziś rano - odparł Wolf, nawet na niego nie spoglądając.

- U fryzjera w Harpstone. Poprosiła mnie o to Mary.

Podniósł się i ruszył wzdłuż wąskiej uliczki, którą musiał przemierzyć napastnik, by dotrzeć do tej ruiny. Z wielką uwagą przyglądał się wszystkiemu, co mogłoby go naprowadzić na jakiś ślad. Dopiero za domem odetchnął z satysfakcją. Na błotnistej powierzchni zobaczył nieco rozmokły odcisk buta. Clay przyłączył się do Wolfa.

- Ten ślad może należeć do każdego, kto tędy przechodził - odezwał się po chwili szeryf.

- Nie, to miękka podeszwa i... - schylił się jeszcze niżej - ten ktoś stawia stopy trochę do środka, a waży jakieś siedemdziesiąt pięć, no, może osiemdziesiąt kilogramów. Zdecydowanie nie jest w najlepszej kondycji, bo kiedy dotarł tutaj, był już zmęczony.

Clay był zaskoczony ilością informacji, którą Wolf zdołał odczytać na podstawie jednego rozmazanego odcisku buta. Było w tym człowieku jeszcze coś, co wprawiło Claya w prawdziwe zdumienie, a mianowicie ku swemu zaskoczeniu nie wątpił ani na chwilę w słuszność jego słów. Kiedyś, dawno temu, w Wietnamie, spotkał kilku takich ludzi. Należeli do specjalnej jednostki zwiadowczej.

- Byłeś w jednostce zwiadowczej...

Wolf oderwał na moment wzrok od ziemi, spojrzął na Claya i lekko się uśmiechnął.

- Zgadza się, byłem w SPZ.

Specjalny Patrol Zwiadowczy... Po plecach Claya przebiegł zimny dreszcz. Wiedział, co to była za jednostka. To nie była normalna, regularna służba, ci ludzie spędzali w dżungli długie tygodnie, a czasem nawet miesiące. Byli zdani wyłącznie na siebie, taka swoista szkoła przetrwania. Potrafili być niewidzialni, bezgłośni, a jednak wszechobecni. Widział kiedyś, w jakim stanie wracali z dżungli: brudni, zarośnięci, śmierdzący, jak dzikie zwierzęta. Nikt nie odważył się wejść im w drogę. I to, co teraz ujrzał w oczach Wolfa, do złudzenia przypominało mu spojrzenie tamtych ludzi.

Wolf ponownie się uśmiechnął i powiedział niespodziewanie:

- Zrobił błąd.

- Jaki? - zapytał Clay z zainteresowaniem.

- Skrzywdził moją kobietę - dodał bez wahania.

- Nie ty jednak będziesz go ścigał. Zostaw to prawu.

- Zatem niech prawo trzyma się blisko mnie - powiedział i ruszył dalej.

Clay, chcąc nie chcąc, podążył za nim i nawet nie zaskoczyły go już zbyt butne słowa Wolfa. Dopiero teraz doszedł do wniosku, że bardzo mylił się co do tego człowieka.

Nie pomogły żadne prośby ani groźby. Mary zdecydowanym głosem oświadczyła, że postanowiła wrócić do domu. Doceniała ich pomoc i życzliwość, ale nie mogła zostać tam ani chwili dłużej.

Nie miała w końcu żadnych poważniejszych obrażeń, a ból głowy, jak powiedział lekarz, będzie utrzymywał się przez kilka dni. Musiała odpocząć.

Jechała sama, niemal automatycznie wykonując każdy ruch. Potem, gdy wspominała ten dzień, w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć tej jazdy. Pamiętała tylko, jak bardzo się

ucieszyła na widok swojego starego domu, ale i to, jak wielki ogarnął ją strach.

Za wszelką cenę chciała się pozbierać, musiała nad sobą zapanować. Kocur kilkakrotnie otarł się o jej nogi, miaucząc przy tym żałośnie.

No jasne, jest głodny, pomyślała. Sięgnęła więc po miskę i nałożyła mu trochę karmy. Po chwili zdała sobie sprawę, że te proste czynności całkowicie pozbawiły ją energii. Usiadła więc przy kuchennym stole i bez ruchu wpatrywała się w kocura, który ze smakiem pałaszował swój przysmak.

Pół godziny później w takiej właśnie pozycji zastał ją Wolf. Zaczęło się już ściemniać.

- Dlaczego na mnie nie poczekałaś? - zapytał od drzwi.

- Chciałam jak najszybciej wrócić do domu - wyjaśniła Mary,

Usiadł obok niej i ujął jej chłodne, zaciśnięte w pięści dłonie. Spojrzała na niego, a w jej wzroku było coś bezmiernie smutnego, coś tak przejmującego, że oddałby wszystko, byle nigdy więcej nie ujrzyć tego grymasu na jej twarzy i tego wyrazu oczu. Do tej pory miał wrażenie, że nic nie złamie tej małej dzielnej kobiety, a teraz wydała mu się tak bardzo bezradna, taka krucha. Jak mógł ten parszywy lajdak tak ją upokorzyć i zbrukać...

- Wiesz, co najbardziej przerażało mnie w tym wszystkim? - odezwała się niespodziewanie.

- Nie, kochanie... - Jego głos był łagodny i cichy.

- Bo chciałam, żeby ten pierwszy raz... no, wiesz, żebyś to był ty...

- Ale nie zrobił ci tego?

- Nie, zdierał ze mnie ubranie, kiedy ktoś... może to był Clay?... ten ktoś krzyknął nagle. A może... może to nie był czyjś krzyk, tylko grzmot? Tak... to chyba był grzmot... A może strzał? Nie, nie... Usłyszałam straszny grzmot, a potem

była błyskawica i zobaczyłam... ale... nie wiem... nie pamiętam, bo kiedy... - urwała nagle.

- Kiedy co?

- Nie, nie, nic nie wiem...

Mówiła bezładnie i niewyraźnie, więc Wolf zdał sobie po chwili sprawę, że wciąż jeszcze jest w szoku.

- Nie pozwolę, żeby jeszcze raz się do ciebie zbliżył. Masz na to moje słowo.

Kiwnęła głową i zamknęła oczy.

- Najlepiej by było, gdybyś teraz wzięła prysznic albo kąpiel, a ja w tym czasie przygotuję coś do zjedzenia. Co byś chciała?

- Herbatę... - odparła powoli.

Chyba lepiej by było, gdyby zaczęła płakać lub krzyczeć, gdyby dostała ataku hysterii, czymś rzuciła lub coś stłukła, żeby rozładować to wzrastające w niej napięcie.

Weszli razem na górę, lecz przez cały ten czas nawet jej nie dotknął. Z trudem wspinała się po schodach, ale nie odważył się jej pomóc. Zdawał sobie sprawę, że każdy dotyk, nawet jego, mógł wydawać się jej teraz czymś obrzydliwym.

- Będę na dole - powiedział, gdy udało mu się wreszcie wyregulować temperaturę wody. - Nie zamykaj się, proszę.

- Dlaczego? - Spojrzała na niego jakoś dziwnie, niemal podejrzliwie.

- Na wypadek, gdybyś zemdląła lub potrzebowała mojej pomocy.

Wiedział, że nie będzie mu łatwo przekonać ją, by coś zjadła. Może choć trochę zupy, pomyślał, gdy jego wzrok padł na puszkę stojącą na półce.

Mary pojawiła się w kuchni, gdy wszystko było już gotowe. W kubku na stole parowała herbata, a na kuchni w garnku bulgotała zupa. Miała na sobie tylko nocną koszulę. Lekko prześwitujący, miękki materiał przylegał do jej ciała. Przebiegł mu po plecach silny dreszcz. Nie, nie, to nie czas na te rzeczy,

powtarzał sobie w myślach, ale pożądał jej, pożądał j ej całym sobą.

Mary usiadła przy stole niczym karne dziecko i mechanicznie, łyżka po łyżce, bez słowa sprzeciwu, zaczęła jeść zupeł. Potem wypila herbatę i odstawiła pusty kubek na stół.

Wolf posprzątał, a kiedy się odwrócił, Mary wciąż siedziała w tej samej pozycji, co na początku. Jej oczy były całkiem nieobecne. Nie mógł znieść tego widoku, rozdzierał mu serce. Podeszedł więc do niej i nie bacząc już na nic, wziął ją na ręce i posadził sobie na kolanach. Przez kilka pierwszych chwil była sztywna, lecz już wkrótce wtuliła się w jego ramiona.

- Tak bardzo się bałam - szepnęła. — Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Wiem, kochanie...

- Nie możesz tego wiedzieć, jesteś przecież mężczyzną - powiedziała cicho. - Ale gdyby ciebie ktoś tylko zadrasnął... to ja... nie wiem... to ja bym chyba...

- Uspokój się, przecież nic mi się nie stało.

Ale doskonale pamiętał czas spędzony w więzieniu. Nawet na chwilę nie mógł przestać być czujny. Spał, trzymając rękę na nożu zrobionym z łyżki. Nie był to najłatwiejszy okres jego życia.

- Cieszę się, że nic ci nie zrobili - wyszeptała i nagle zaczęła płakać.

Wolf przytulił ją mocno do siebie i delikatnie kołysał w ramionach.

- Podaż mi chusteczkę - zapytała, patrząc na niego zapłakanymi oczami.

Wydmuchała nos i siedziała przez chwilę bez ruchu, jakby szukała w sobie siły na kolejny krok. Wiedziała, że mogło się to skończyć dużo, dużo gorzej, ale świadomość ta w niczym jej nie pomagała. Za nic w świecie nie chciała zostać dzisiejszej nocy sama, choć, jak musiała przyznać ze skruczą, nie mogła

znieść towarzystwa tych wszystkich krzątających się koło niej kobiet.

- Zostaniesz ze mną dziś w nocy? - spytała.

- Wiesz, że tak. - Każdy mięsień jego ciała był teraz napięty do granic możliwości. - Prześpię się na...

- Nie, chciałam, żebyś spał dziś razem ze mną - przerwała mu. -I trzymał mnie w ramionach, żebym czuła się bezpieczna.

Bardzo chciał, żeby to wszystko okazało się takie proste, ale dobrze wiedział, że tak nie będzie. Wiedział, że wspomnienia będą wynurzać się z najciemniejszych kątów pamięci i dopadać ją w momentach, w których będzie się najmniej tego spodziewała. Musiał znaleźć tego łotra i złamać mu kark, żeby Mary mogła znowu spokojnie spać.

- Zadzwoń tylko do Joego i powiem mu, gdzie jestem.

Już po chwili wspólnie wspinali się po schodach. Wiedział, że ta noc będzie dla niego wyjątkowo trudna.

Sypialnia Mary urządzona była bardzo staromodnie. Zresztą nie spodziewał się niczego innego. Panował tu ten niepowtarzalny zapach lilii, który już chyba na zawsze będzie mu się kojarzył właśnie z nią.

Łóżko Mary nie było zbyt duże, będzie musiał więc spać blisko niej, czując jej zapach i rozgrzane ciało.

- Z której strony wolisz spać*? - zapytała.

Jakież to miało znaczenie? Niezależnie od strony, męka będzie taka sama.

- Z lewej - powiedział bezwiednie.

Przypatrywał się uważnie każdemu ruchowi, który wykonywała, jak odchyła kołdrę, jak siada na łóżku, jak odrywa stopy od podłogi i układa się w pościeli. Wiedział, że dziś nie powinien myśleć o jej krągłych piersiach i delikatnej skórze, a jednak wyobraźnia nie dawała za wygraną. Zdawało mu się, że czuje ją pod sobą, że jej smukłe nogi oplatają jego

talie, że czuje jej oddech na swojej twarzy i słyszy jej westchnienia.

- Przepraszam, ale muszę wziąć prysznic - wyjąkał wreszcie.

Widział przez moment błysk przerażenia w jej oczach, ale po chwili wróciła do równowagi.

- Ręczniki znajdziesz w szafce obok drzwi do łazienki - powiedziała szeptem, jakby bojąc się własnego głosu.

Wiedział dobrze, że zimny prysznic nic tu nie pomoże. Ostatnimi czasy brał je nader często, bez żadnego skutku. Lecz przecież nie mógł zostawić jej samej, nie dzisiejszej nocy, choćby nie wiadomo ile miało go to kosztować.

Ściągnął szybko ubranie i wszedł pod lodowatą strugę wody. Otrząsnął się.

Mary potrzebuje dziś spokoju i komfortu, potrzebuje poczucia bezpieczeństwa, a nie dzikiego pożądania. Miał nadzieję, że uda mu się nad sobą zapanować. Nie chciałby zobaczyć w jej oczach strachu i bezradności.

Kiedy wrócił do sypialni, Mary leżała cicha, z dłońmi ułożonymi na kołdrze, jak małe dziecko oczekujące na sen. Oczy miała zamknięte.

Wolf zgasił światło, wśliznął się pod kołdrę i delikatnie przytulił do siebie Mary. Usłyszał głośne westchnienie i poczuł, jak w jego objęciach jej ciało odpręża się i relaksuje.

- Jak dobrze - szepnęła po dłuższej chwili i pogładziła go dłonią po policzku.

Wyglądało na to, że udało się jej odzyskać spokój.

- Myślę - dodała - że rano będzie wszystko w porządku. Teraz jestem zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się nad czymkolwiek. Tylko nie wypuszczaj mnie z ramion, proszę.

Wolf odgarnął jej na bok włosy i pocałował ją w szyję. Czują, jak po jej plecach przebiegł przyjemny, słodki dreszcz.

- Nie wypuszczę cię, Mary, i nie martw się już niczym. A teraz śpij, musisz wypocząć.

Kiedy otworzyła oczy, w sypialni było niemal widno. Na dworze szalał huragan i potężne błyskawice, niczym noworoczne fajerwerki, rozświetlały pokój. Raz po raz dawał się słyszeć gwałtowny huk grzmotu. Miała wrażenie, że powietrze na zewnątrz wibruje od tych wyładowań. Deszcz dudnił o stary metalowy dach, wywołując nieprzyjemny dreszcz niepokoju. Normalnie obleciałby ją strach, ale dziś czuła się bezpieczna, wyjątkowo bezpieczna. W pobliżu znajdował się Wolf i wiedziała, że tak długo, jak długo on będzie przy niej, nie będzie musiała się niczego bać.

Miała wrażenie, że czuje zapach świeżo parzonej kawy. Wstała, przecesała włosy, wrzuciła na siebie luźną bawełnianą sukienkę, w której zwykle chodziła po domu, i zeszła na dół. Ale w kuchni go nie było, jedynie w zlewozmywaku leżał pusty kubek po kawie. Wyjrzała przez okno i odetchnęła z ulgą. Jego furgonetka stała nadal przed domem. Gdzie też mógł być? Przygotowała sobie herbatę i usiadła przy stole.

Za oknem wciąż zacinął wściekle deszcz. Nagle otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Wolf. Mokre ubranie oblepiało jego muskularne ciało, a po twarzy spływały strużki wody. Wyglądał tak dziko, że aż zadrżała. Patrzył na nią spod przymrużonych powiek i czuła, jak całe jego ciało pulsuje w napięciu, w pragnieniu, by ją osiąść. Było w tym tyle pożądania, tyle uczucia, że aż zaparło jej dech w piersiach. Ogarnęła ją ciepła fala podniecenia.

Dostrzegł to i już po chwili stał obok niej z rękami wokół jej tali. Przycisnął ją do siebie, a ich usta złączyły się w namiętym pocałunku. Raz i drugi przebiegł dłońmi wzdłuż jej filigranowego ciała i nagle zdał sobie sprawę, że Mary nie ma na sobie bielizny. Gdyby więc zdjąć tę ciekawą sukienkę, zostałyby kompletnie naga. Krew zaczęła krążyć mu w żyłach ze zdwojoną prędkością i wiedział, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej.

- T y m razem nic mnie od tego nie odwiedzie, chyba że powiesz teraz: nie.

- Nie powiem - szepnęła - nie licz na to.

Porwał ją na rękę i ruszył schodami na górę. Przypatrywała się, jak zahipnotyzowana, jak po drodze zrzuca z siebie mokre ubranie. Cały czas nie odrywał od niej oczu, cały czas czarował ją swoim magicznym spojrzeniem...

I już po chwili stał pośrodku jej sypialni całkowicie nagi. Jego piękne muskularne ciało lśniło ciepłą oliwkową barwą. Przez moment poczuła zażenowanie i coś w rodzaju lęku. Dostrzegł to natychmiast i już leżał przy niej, nie dając jej czasu do myślenia.

- Kochana - szepnął - najdroższa, nie bój się, proszę, nie bój. - Wypowiadając te słowa, całował jej oczy, włosy, szyję i gładził jej smukłe, teraz nieco spięte, ciało.

- Będę bardzo ostrożny, obiecuję, nie sprawię ci bólu.

Jego pieszczoty stawały się coraz bardziej intensywne, chwilami się zapominał, a ona raz po raz drżała pod wpływem dotyku jego rąk i ust. Pieścił jej piersi i uda, a ona nie mogła wprost uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Z jednej strony było to tak zatrważająco intymne, a z drugiej tak cudowne, że pragnęła wciąż więcej i więcej. Nie chciała, by w ogóle kiedykolwiek przestał.

Pochylił głowę tuż nad jej twarzą i szepnął:

- Spójrz na mnie, chcę, byś patrzyła mi w oczy.

Otworzyła je, ale i tak zdawała się być nieobecna. Jej powiększone, lśniące źrenice wyrażały bezgraniczne oddanie. Wiedział, że nadszedł moment, na który oboje od tak dawna czekali. Zdecydowanym ruchem wsunął się pomiędzy jej uda i delikatnie, powoli wszedł w nią. Nie chciał sprawić jej bólu, ale i tak z jej piersi wyrwał się głuchy jęk.

Głośne grzmoty wciąż przetaczały się nad ich głowami. Raz po raz przecinała niebo gwałtowna błyskawica i rozlegał się głośny, rozdzierający huk. Mogło się zdawać, że przez otwarte

okno wtoczyła się do wnętrza pokoju burza, i że wiatr chce pozrywać zasłony i postrzącać ze ścian obrazy.

Wolf wykonał jeszcze jeden mocny, szybki ruch i Mary jęknęła przeciągle, a po jej policzkach potoczyły się łzy. Poczowała ostry, piekący ból. Ale nie pozwolił jej długo go rozpamiętywać, wniknął w nią głębiej i wkrótce jej ciało zaczęło falować w narzuconym przez niego rytmie. Zagłębiła palce w jego gęstych wilgotnych włosach i napawała się rozkoszą, jaką ofiarował jej ten najdroższy jej sercu człowiek.

- Kocham cię - szepnęła nieprzytomnie - kocham... Wolf. Mocniej wbiła paznokcie w jego gładką skórę.

- Wolf - powtarzała jego imię - Wolf...

- Tak, najdroższa, tak, po prostu się poddaj, zapomnij o wszystkim... - szepnęła gorąco, odrywając rozpalone wargi od jej ust.

- Taaak! - Z jej piersi wyrwał się przeciągły okrzyk, a jej ciało spięło się w miłosnym uniesieniu. Nie liczyło się teraz nic, nic oprócz ich szalonego, miłosnego tańca.

Gdy przebrzmiały jego takt, Wolf długo jeszcze przyglądał się Mary, czule obsypując jej twarz pocałunkami. Dopiero gdy całkiem ucichła, powoli wycofał się i położył obok niej.

Zimny powiew od okna spowodował, że zaczęła drżeć. Wstał więc i zamknął okno. Poruszał się jak kot, zwinnie i z gracją.

- Jesteś piękny - wyszeptwała - i byłeś dla mnie taki czuły, taki cudowny... - Znowu powróciło to dziwne uczucie zażenowania.

- To ty byłaś cudowna... - pogładził ją po policzku.

- Mam nadzieję, że już mniej się boisz?

- Mniej... - szepnęła, choć wiedziała, że to nie jest

do końca prawda. Była przekonana, że Wolf zrobi wszystko, by dopaść tego drania, który krzywdził niewinne kobiety i wsadzi go za kratki. Ale... Ale ciągle czuła dziwny niepokój.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mary wzięła się za przygotowanie spóźnionego śniadania. Niestety, strach nadal dawał jej o sobie znać i nie była szczególnie rozmowna. Nie mogła wymazać z pamięci tych przerażających chwil, kiedy całkiem niespodziewanie znalazła się w rękach zboczeńca i czuła się tak kompletnie bezradna. Niezależnie od tego co robiła, nieznośne wspomnienia powracały i napawały ją lękiem.

Wolf dobrze wiedział, co przechodziła, lecz tak niewiele mógł dla niej zrobić; strach to wyjątkowo ohydne i paralizujące uczucie. Znał je na wylot zarówno z wojny w Wietnamie, jak i z więzienia. Mógł jedynie wziąć ją w ramiona i zapewnić o tym, że będzie się troszczył o nią i nie pozwoli jej skrzywdzić, mógł mocno ją do siebie przytulić, by poczuła jego ciepło i siłę, mógł się kochać z nią, by choć na krótko zapomniała o swoim lęku. Ale na razie nic więcej nie mógł zrobić.

Po śniadaniu, kiedy deszcz się nieco uspokoił, wziął Mary za rękę i pociągnął ją za sobą.

- Chodź, muszę ci coś pokazać.
- Dokąd?
- Zobaczysz - szepnął i wybiegł z nią na zewnątrz. Po chwili znaleźli się w stodole. Było tam cicho i mrocznie.
- Boże, jak tu ciemno - szepnęła Mary.

- Nie bój się, przecież jestem z tobą.

Podeszli do jednego z boksów. Przez poluzowane deski przezierało do środka trochę światła.

- O co chodził - zapytała z niepokojem.

- Spójrz pod nogi - powiedział z uśmiechem.

- O rety... - westchnęła - przecież to jest...

- Tak, tak, to twój kocur ze swoją małą gromadką. Na wymoszczonym trawą i ręcznikiem posłaniu leżała kotka i karmiła swoje cztery maleńkie kocięta.

- Kocur został ojcem - powiedziała uradowana.

- Nie, kocur został matką - wyjaśnił z uśmiechem.

- No jasne, matką. Więc to wcale nie był kocur, tylko kotka...

- Widzisz - objął ją w talii i przyciągnął do siebie - ona też się kochała i teraz ma młode - szepnął i pocałował ją gorąco. Czuł, jak topnieje w jego ramionach.

Była szczęśliwa, wiedziała, że dopóki jest obok niej, nic złego nie może jej się przydarzyć.

- Mary - spojrzał na nią z niepokojem - niestety, będę musiał cię na trochę zostawić. Muszę pomóc na ranczo, bo choć Joe uwija się za dwóch, sam nie da rady.

Miała nadzieję, że jakoś sobie z tym poradzi, próbowała trzymać nerwy na wodzy.

- Rozumiem...

Ruszyli w stronę wyjścia i kiedy znaleźli się na zewnątrz, Wolf rzucił niespodziewanie:

- Weź kurtkę.

- Słuchami

- Weź ze sobą kurtkę, pojedziesz ze mną.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, lecz zaraz spuściła wzrok.

- Ale przecież kiedyś będę musiała zostać sama.

- Być może, ale nie dzisiaj.

Bez słowa pobiegła do domu, włożyła na siebie kurtkę i wskoczyła do furgonetki Wolfa. Czuła się tak, jakby ktoś cudem uratował ją przed czymś, czego bardzo się bała. Boże, jak bardzo była mu wdzięczna. Może do wieczora jakoś uda jej się z tym wszystkim uporać.

Gdy dotarli na wzgórze Mackenziech, Joe wyłonił się ze stodoły i podszedł do samochodu. Otworzył drzwi furgonetki, podał Mary rękę i pomógł jej wysiąść. A potem przytulił ją do siebie i mocno uściskał.

- Dobrze się pani czuje? - W jego głosie słychać było niepokój.

- Już lepiej, zresztą nic mi się nie stało, ale przyznaję, że ten człowiek niezłe mnie wystraszył.

Joe spojrzał na ojca i dostrzegł w jego czarnych przepastnych oczach bezgraniczną wściekłość. Wiedział, co ona oznacza, wiedział, że ojciec nie spocznie, póki nie odnajdzie tego łobuza, który chciał skrzywdzić jego kobietę.

Z gestu ojca zorientował się, że lepiej będzie, jeśli zaniecha tego tematu. No tak, miała tu przecież odpocząć i choć trochę zdystansować się do tego, co się wydarzyło.

- To co - zapytał Wolf, obejmując ją wpół - masz ochotę troszkę mi pomóc?

Oczy Mary roziskrzyły się radością.

- Naprawdę mogę?

- Jasne...

- Zawsze chciałam przyjrzeć się bliżej pracy na ranczo.

- W takim razie chodźmy.

Wszyscy troje ruszyli w stronę stajni.

- To nie jest takie prawdziwe ranczo - zaczął Wolf - mam wprawdzie małe stadko, ale przede wszystkim zajmuję się treningiem.

- Treningiem? - zdziwiła się Mary.

- Tak, przyuczam konie do pracy. Najczęściej są to konie pociągowe, tylko czasem zdarza się jakiś pełnokrwisty. Ale

wierz mi, nawet najdroższy koń nie jest wiele wart, jeśli nikt nie może się do niego zbliżyć.

W stajni panował przyjemny zapach: mieszanka woni siana, koni i skóry. Mary wciągnęła głęboko powietrze do płuc.

Zaintrygowane zwierzęta zaczęły wysuwać swoje długie satynowe szyje w kierunku nieznanym. Mary, mimo że nie miała w życiu zbyt dużo do czynienia z końmi, jakoś nie bała się ich. Ufnie wyciągała do nich ręce i gładziła po pyskach.

- Ale to chyba nie są wszystkie konie pociągowe? - zapytała. - O, ten tutaj na przykład...

- Ta kasztanka to półarab, a ten gniadosz przeznaczony jest dla żony pewnego bogatego ranczera z Montany. Chce go podarować żonie w lipcu, na jej urodziny. Reszta to właściwie jeszcze żrebaki.

I rzeczywiście Wolf traktował je tak, jakby były rozbrykaną grupą dzieciaków.

Niemal cały dzień zszedł im na czyszczeniu boksów, czesaniu, pojeniu i karmieniu koni. Na końcu Wolf zajął się dwoma młodziami na maneżu za stajnią. Delikatnie i powoli oswajał je z wędzidlami i siodłem. Nigdy nie używał siły i nie tracił cierpliwości. Nawet wtedy, gdy jeden z młodziami kolejny raz uciekał podczas próby nałożenia mu siodła. Wreszcie udało mu się, bo nim nastał zmierzch, właśnie ten niesubordynowany młodzieniec chodził grzecznie wokół maneżu z siodłem na grzbiecie.

Patrzyła na to wszystko jak zaczarowana. I nagle życie na ranczo wydało jej się nieskończenie piękne.

- Jest niezły, co? - powiedział Joe, zbliżając się do niej. - Drugiego takiego nie znajdziesz, choćbyś szukał ze świeczką. Ja w sumie też jestem niezły, ale jemu nie dorastam do pięt. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby nie potrafił obłaskawić konia. Parę lat temu mieliśmy tu takiego ogiera... Wyjątkowo złośliwa bestia, nikt nie mógł sobie z nim poradzić. Nikt, oprócz mojego ojca.

- Jak to zrobił? - zapytała Mary z zaciekawieniem.

- Zostawił go samego na padoku i co jakiś czas zjawiał się z kostką cukru albo jabłkiem czy marchewką. Kładł przysmak w jego zasięgu, a następnie odchodził, a właściwie najpierw oddalał się na kilka kroków, przyglądał mu się chwilę i dopiero potem znikał. Po jakimś czasie koń zaczął wyraźnie na niego czekać, parskał i prychał na jego widok. Wtedy ojciec nie podchodził już do niego, lecz stawał gdzieś w pobliżu, trzymając w ręku jakieś łakocie. Ogier musiał sam podejść do taty. Bronił się jakiś czas i protestował, ale w końcu się złamał i zaczął jeść mu z ręki. Tata musiał uważać, żeby nie stracić palców. Kiedy wrócił już do stajni, doszło do tego, że gdy był głodny, wychylał głowę z boksu i łapał tatę za koszulę. A ile było przy tym śmiechu! Ojciec gładził go po łbie i poklepywał. Pamiętam, że Ogień, bo tak go nazwaliśmy, uwielbiał, jak się go czesało. I wreszcie powoli, powoli przyzwyczaił się także do siodła i wędzidla. Ojciec tak go polubił, że poprosił właściciela Ognia o zgodę na pokrycie naszej klaczy. I wszyscy byli zadowoleni: właściciel miał ułożonego konia, my niezłe wynagrodzenie i do tego śliczne źrebięta.

- To cudowny człowiek - wyszeptała Mary. Nie potrafiła oderwać od niego wzroku, od jego barczystych ramion i czarnej czupryny, połyskującej w promieniach zachodzącego słońca.

- Może wieczorem udałoby się nam przerobić trochę materiału - Joe przerwał jej rozmyślenia - jeśli pani oczywiście będzie miała jeszcze na to siłę.

Nie chciała myśleć o minionych dniach, nie chciała już rozpamiętywać tych strasznych wydarzeń. Ten dzisiejszy dzień był tak cudownie normalny, taki spokojny. Ale z pewnością upłynie jeszcze sporo czasu, nim wszystko wróci w Ruth do normy. Oba napady wywołały w miasteczku sporą panikę. Ludzie niechętnie wychodzili na ulice i podejrzliwie, spod oka spoglądali na siebie.

- Niech Bóg ma w opiece wszystkich włóczęgów z okolicy, przynajmniej do czasu, aż ten gwałcieł zostanie złapany - wycedził przez zęby Joe.

Nagle usłyszeli chrzęst opon na kamienistym podjeździe. Joe odwrócił się, chcąc sprawdzić, kto przyjechał na wzgórze Mackenziech. Był to Clay Armstrong.

Mary poczuła się tak, jakby przyszło jej oglądać raz jeszcze ten sam film, który widziała już w piątkowe popołudnie. Zadrżała. Miała wrażenie, że za moment serce stanie jej w miejscu. Chyba tym razem nie miał zamiaru aresztować Wolfa?

Clay skinął głową w jej stronę, jak zwykle uchylając kapelusza.

- Mary? Wszystko w porządku?

- Tak.

- Nie zastałem cię w domu, więc pozwoliłem sobie przyjechać tutaj. Chciałem prosić, żebyś jeszcze raz przejrzała swoje zeznania

Wolf ściagnął rękawice i podszedł bliżej. — Nie wystarczy ci to, co Mary powiedziała wczoraj i - zapytał zirytowany. - Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy przez co przeszła?

- Chodzi mi o drobiazgi, na ogół poszkodowani przypominają je sobie dopiero, gdy minie szok - wyjaśnił Clay.

Mary czując, że za chwilę może dojść do ostrzejszej wymiany zdań, położyła dłoń na ramieniu Wolfa i powiedziała:

- W porządku, przejrzę te zeznania, nie ma problemu.

Oboje wiedzieli, że bardzo się tego boi, ale jej zacięty wyraz twarzy wskazywał na to, że już się nie wycofa. Wolf spojrzał na syna.

- Joe, zajmij się końmi, a ja teraz pojedę na posterunek z Mary.

- To nie jest konieczne - pospieszył z wyjaśnieniem Clay.

- Dla mnie tak - uciał krótko Wolf.

- Możemy zrobić to tutaj - dodał Clay.

- Tym lepiej - wycedził przez zęby Wolf i ruszył w kierunku domu.

Mary czuła się tak, jakby znalazła się między młotem a kowadłem. Obaj byli przekonani, że chronią ją przed poważnym niebezpieczeństwem: Wolf przed bezwzględnością i brutalnością policji, a Clay przed nieokrziesaniem i porywcznością Indianina. Gdy znaleźli się w kuchni, Mary wzięła się za przygotowanie kawy. Zachowywała się tak naturalnie, jakby znajdowała się u siebie w domu, jakby chciała poinformować Claya, że czuje się tu swobodnie, bo jest kobietą Wolfa.

- W porządku, zacznijmy zatem od początku - odezwał się Clay i usadowił się przy stole. - Opowiadaj po kolei, jak było.

Mary zamarła na moment w bezruchu, ale już po chwili kontynuowała swoje zajęcie, jednocześnie mówiąc spokojnym głosem:

- A więc... kupiłam parę kowbojek u Hearsta i niosłam je do samochodu... O rany, moje kowbojki... Widziałeś je gdzieś? Musiałam je upuścić...

- Tak, ale nie wiem, gdzie są w tej chwili. Obiecuję, że zapytam o to.

- Kiedy byłam już blisko samochodu, nagle ktoś zatkał mi usta dłonią, żebym nie mogła krzyczeć, i zaczął mnie ciągnąć w dół uliczki. Nie mogłam się wyrwać i ogarnęła mnie panika. Wreszcie, gdy udało mi się wydobyć jedną rękę, zamachnęłam się, żeby go uderzyć, a może podrapać, sama nie wiem, ale poczułam pod palcami tylko materiał. Miał na twarzy kominiarkę. Wtedy uderzył mnie z całej siły w głowę i straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, leżałam na brudnej ziemi, w tych ruinach, gdzie mnie znalazłeś, a on pochylał się nade mną. Znowu się zamachnęłam, a on znowu mnie uderzył. Zebrałam więc w sobie wszystkie siły i ugryzłam go w dłoń, którą cały czas zatykał mi usta. Krzyknął z bólu, a

ja dosięgłam ręką jego twarzy i zdaje się, że nieźle go zadrapałam, bo wstał i uciekł. Pamiętam dokładnie, że miał piegowate jasne dłonie i niebieskie rękawy koszuli lub bluzy. Tyle zdołałam zobaczyć. To wszystko. - Umilkła. Podeszła do okna i zapatrzyła się w dal.

Nie widziała, jak w oczach Wolfa zapłonął gniew i jak jego dłonie zacisnęły się w pięści. Clayowi to jednak nie umknęło. Przeraził się, widząc reakcję Indianina.

- Szedłem wzdłuż tym małym wąskim przejściem pomiędzy zabudowaniami i omal się nie potknąłem o pudełko, to z butami - relacjonował teraz Clay. - Gdy dotarłem do starych zabudowań, usłyszałem jakies jęki, wszedłem do środka i wtedy go zobaczyłem. Krzyknąłem i szybko wyciągnąłem rewolwer, a następnie strzeliłem w powietrze, żeby go nastraszyć.

- Powinieneś był zabić tego sukinsyna. - Wolf ciskał z oczu błyskawice.

- Teraz, z perspektywy czasu, też tak myślę, ale wtedy... Gdybym go zranił i od razu schwycił, przynajmniej wiadomo by było, o kogo chodzi i kobiety nie musiałyby nosić wszędzie ze sobą broni. I wszyscy w Ruth nie zerkaliby na siebie spode łba. O wiele prostsza byłaby sytuacja, gdyby to był ktoś obcy, kto ma długie czarne włosy, a tak, zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie.

- No właśnie, wtedy każdy pomyślałby o mnie i sprawa byłaby o wiele prostsza.

Mary westchnęła ciężko. Gdyby nie fakt, że widziała dłonie tego człowieka, znowu wszystko zrzuciliby na Wolfa i wsadziliby go za kratki. Wystarczyło, że Clay wspomniał o drugich czarnych włosach i nikt nie zastanawiał się już nad niczym, sprawa zdawała się być oczywista. Cóż za obrzydliwa, rasowa polityka... Zaraz, zaraz, zastanowiła się Mary, czy to nie znaczy, że ktoś to zrobił z całą premedytacją, nie wiedząc, że Wolf obciął włosy... Coś tu było nie tak, stwierdziła Mary. I

dlaczego zaatakował właśnie ją? Przypadkowy wybór czy też przemyślany plan? Jakie mogło być powiązanie między nią a poprzednią ofiarą?

- Wolf, znałeś Kathy Teele? - zapytała, wciąż nie odwracając się od okna.

- Tylko z widzenia, zwykle nie rozmawiam z białymi kobietami. - Jego głos brzmiał ironicznie. - Nie podoba się to innym.

- A czy wiesz - odezwał się Clay - że nie tak dawno Kathy powiedziała swojej matce, że według niej jesteś najprzystojniejszym facetem w całym Ruth, i że gdyby nie fakt, że Joe jest od niej sporo młodszy, chętnie by się z nim spotykała?

Mary zamarła, a po jej plecach przebiegł lodowaty dreszcz. A więc jednak coś je łączyło: Wolf! Może zatem to nie był przypadek?

- Wygląda to całkiem tak - odwróciła się nagle od okna, zaplatając na piersiach ręce - jakby ktoś specjalnie usiłował zrobić Wolfa.

Wolf zeszytniał, a na twarzy Claya malowało się zdziwienie.

- Cholera - zaklął Clay - nie pomyślałem o tym.

- No właśnie, czarna peruka, czarne długie włosy, a facet ma piegi na rękach i jasną skórę...

Wolf zerwał się na równe nogi i choć wiedziała, że jest wyjątkowo spokojnym i dobrym człowiekiem, miał teraz taki wyraz twarzy, że przeszył ją dreszcz przerażenia. Cofnęła się o krok.

- Nie będzie to takie proste - odezwał się Clay.

Siedzieli w milczeniu i każde z nich, na swój sposób, próbowało ułożyć sobie w głowie wszystkie fakty w jakąś rozsądną całość.

Dla Mary jedno było pewne: ktoś chciał skierować podejrzenia na mężczyznę, którego kochała. Ale dlaczego, tego

zupełnie nie mogła pojąć. Mieszkał tu przecież tyle lat i choć nikt za nim nie przepadał, a on robił wszystko, by nikt go przypadkiem nie polubił, to jednak gwałt pozostaje gwałtem, i żeby aż do tego się posuwać... Mary przyłożyła dłoń do skroni. Poczowała nagle, jak ostry ból rozrywa jej czaszkę.

Clay postawił pusty kubek na stole.

- Dzięki za kawę, jutro napiszę odpowiedni raport w tej sprawie i przyniosę ci do szkoły dokumenty do podpisu. A, właśnie, zamierzasz pójść jutro do pracy czy raczej zostaniesz jeszcze w domu?

- Sądzę, że pójdę do pracy - odparła.

Gdy Clay odjechał, wszedł do domu Joe i wspólnie wzięli się za przygotowanie kolacji. Wydało się jej to nagle takie naturalne: oni we troje, pracujący razem na ranczo, razem przygotowujący posiłki... Miała wrażenie, jakby żyli ze sobą od lat.

Joe raz i drugi mrugnął do niej okiem. Dobrze wyczuwał, że ona i Wolf zbliżyli się do siebie. Czyżby wiedziało już o tym całe Ruth?

Kiedy tak rozmyślała, niespodziewanie podszedł do niej Wolf i objął ją w talii. Wyjął jej z ręki garnek i odstawił go na stół. Poczowała, jak jej ciało wypełnia miękka fala pożądania.

- Skoczę obejrzeć sobie jakiś film - odezwał się Joe.

- O, nie! - Mary otrząsnęła się. - Zapomniałeś o lekcjach?

- Jeden wieczór nie zrobi różnicy... - próbował bagatelizować.

- Owszem, robi, z egzaminami nie ma żartów. Nie możesz sobie odpuścić, pamiętaj, że zdecydował się poprzeć ciebie senator Allard.

- Mary ma rację, synu, nie możesz go zawieść - powiedział Wolf i wypuścił Mary z uścisku.

Było już po dziewiątej, kiedy Mary zamknęła książki.

- Chyba starczy na dziś - wymamrotała, przeciągając zastawę stawy.

Joe także się przeciągnął.

- Ja też już jestem zmęczony - dodał.

- Mógłbyś zawieźć mnie do domu? - zwróciła się do Wolfa. - To był naprawdę trudny dzień.

- Dlaczego nie miałabyś zostać tutaj? - zapytał zdziwiony. Zabrzmiało to raczej jak polecenie niż sugestia.

- Przecież nie mogę...

- Dlaczego?

- Bo... bo wydaje mi się, że byłoby to... - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - niewłaściwe.

- A jak ja zostałem u ciebie zeszłej nocy, to nie było to niewłaściwe?

- To zupełnie co innego...

- Co innego? A to niby dlaczego?

- Bo wczoraj nie czułam się dobrze, a poza tym twoja sypialnia jest mniejsza... - dodała, nie wiedząc już, co ma powiedzieć.

- Dobra, przepraszam, ale ja wychodzę - rzucił krótko Joe i już go nie było.

- Musiałeś mówić o tym przy Joem? - zapytała, gdy zamknęły się za nim drzwi.

- Przecież on i tak wie, pamiętaj, że Joe nie jest już małym dzieckiem.

- Wcale nie chcę wracać, ale nie mogę tu zostać, muszę być jutro rano w pracy.

- Wszyscy by zrozumieli, gdybyś jutro jeszcze została w domu.

- Ale to nie jest konieczne.

- W porządku, skoro tego chcesz, to cię odwiozę.

Na chwilę zniknął w drzwiach, a gdy się pojawił, trzymał w ręku zestaw do golenia i czyste ubranie. Zatrzymał się jeszcze koło pokoju Joego i krzyknął:

- Będę jutro rano!

Joe wyszedł ze swego pokoju. Najwyraźniej właśnie przygotowywał się, by wziąć prysznic. Był bosy i bez podkoszulki.

- Posłuchaj, Baugh ma przywieźć jutro rano dwa konie i powinienem być tutaj.

- W porządku, w takim razie ja zawiozę Mary do pracy - odparł bez wahania.

- Doskonale, a ja odbiorę ją po południu.

- To w ogóle nie wchodzi w rachubę - odezwała się Mary.

- Pojadę własnym samochodem i nikt mnie nie zatrzyma.

- Skoro tego chcesz... w takim razie będziemy cię tylko eskortować.

Wiedziała, że nie wybije mu tego z głowy, że już zdecydował.

Wyszli na zewnątrz. Noc była chłodna, więc Mary przyłgnęła do jego gorącego ciała. Gdy tylko znaleźli się w samochodzie, pocałował ją, a ona dałaby wszystko, by znaleźć się w jego ramionach. Nawet gdyby chciał ją wziąć tu, na siedzeniu furgonetki, nie broniłaby się.

Wolf jednak wyprostował się i ruszył. Przez całą drogę milczeli, myśląc zapewne o tym samym. Mary rozpamiętywała chwile, które przeżyła z nim dzisiejszego poranka, każdy szczegół, każdy jego pocałunek i drżała na samą myśl, że za parę minut będą się znowu kochać. Nareszcie dowiedziała się, co to znaczy być kobietą, i poczuła w sobie przeogromną moc, jakiej do tej pory nie знаła.

Przed drzwiami domu czekała na nich kotka. Mary wpuściła ją do środka i dała jej jeść. W tym czasie Wolf wziął prysznic i ogolił się. Kiedy wszedł do kuchni, Mary oniemiała. Był zupełnie nagi. Jego naprężona, jędrna skóra lśniła, a oczy błyszczały. Mary poczuła, jak jej ciało wypełnia znajome już ciepło.

- Może chcesz wziąć kąpiel - zapytał cicho, jakby nigdy nic.

W łazience spędziła zaledwie kilka minut, po czym lekko spryskała się perfumami, które dostała kiedyś w prezencie od jednego z uczniów, i w roztargnieniu, a może właśnie z premedytacją, nie naciągnęła na siebie nocnej koszuli. Stała teraz przed nim naga, jak on, i widziała, jak na jej widok zapłonęły mu oczy.

- Chciałem cię widzieć taką od momentu, kiedy spotkałem cię tam, na drodze. Miałaś wtedy na sobie jakąś okropną sukienkę, ale wiedziałem, że pod nią jest cudowne ciało. Wiedziałem - szepnął namiętnie. - Zapragnąłem wtedy zerwać z ciebie te brzydkie ciuchy i dotknąć twoich piersi, twoich bioder. Już wtedy tak bardzo cię pożądałem...

Żar w jego oczach i głosie spowodował, że zaczęła drżeć na całym ciele, zaczęło jej się kręcić w głowie.

Dostrzegł to i porwał ją w ramiona. Odruchowo zaplotła nogi wokół jego talii, a on w odpowiedzi jęknął przeciągle. Było całkiem inaczej niż za pierwszym razem. Pieścił ją i całował, aż w końcu wszedł w nią i ich ciała zaczęły poruszać się w zgodnym rytmie. Czowała, że płonie, że pragnienie spełnienia ogarnia ją bez reszty. Mocniej przywarli do siebie ciałami, a ich ruchy stały się szybsze i bardziej gwałtowne, aż do upragnionego końca. Wolf przyglądał się z satysfakcją, jak coraz silniej, narasta w niej pragnienie spełnienia, i nie ustawał, aż do momentu, kiedy jej ciałem wstrząsnął silny, przeciągły dreszcz. Czas jakiś poruszała jeszcze biodrami, chcąc jak najdłużej przeżywać tę niewyobrażalną rozkosz.

- To nie koniec - ostrzegł ją, a jego wzrok nadal płonął.

- Ty nie.. - wyszeptwała półprzytomna.

- Nie, nie chciałem jeszcze kończyć...

Jęknęła. Było jej tak cudownie, tak rozkosznie... Czowała jego rozpalone ciało, gorący oddech i za nic w świecie nie chciała, żeby przerywał tę cudowną rozkosz. Pragnęła długo jeszcze

czuć go w sobie, pragnęła, by kochał się z nią przez całą noc, aż do utraty tchu.

Dopiero potem, gdy leżeli zmęczeni i szczęśliwi, dopadły ją znowu czarne myśli. Dlaczego ktoś chciał go zrobić, zapakować go do więzienia? Czy mogła go jakoś przed tym uchronić? Pragnęła być dla niego tarczą obronną, chronić go przed ludzką nienawiścią i głupotą. Dobry Boże, czemu to wszystko zawsze musi być aż tak skomplikowane?

Nagle ogarnęło ją przerażenie, nagle wszystko stało się jasne. Ta prawda spadła na nią jak grom z jasnego nieba, zdała sobie sprawę, że zasadniczą przyczyną kłopotów Wolfa był nie kto inny, tylko ona; ona, która opowiedziała się po niewłaściwej stronie barykady. Do tej pory wszystko było proste, był zły Indianin i dobrzy biali, którzy zawsze i w każdej sytuacji trzymali ze sobą i jednoczyli się przeciwko Indianinowi. Ona zaś, walcząc o sprawiedliwość, zaburzyła dotychczasowy porządek rzeczy i, co więcej, dzięki jej pomocy mały Mackenzie miał osiągnąć to, co nie udało się jeszcze żadnemu białemu z tego miasteczka. No i od tej pory nawet niektórzy zaczęli dobrze mówić o Mackenziech, a tego mogło być już naprawdę za wiele dla kogoś, kto przepełniony był nienawiścią do Indian. Po prostu zwyczajnie nie potrafił tego znieść.

- O, Boże... - jęknęła cicho. Boże, jeśli cokolwiek stanie się Wolfowi, to będzie jej wina, tylko i wyłącznie jej wina. Po policzkach Mary popłynęły łzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przewracała się z boku na bok, na próżno usiłując zasnąć. Prawda była zbyt okrutna.

Wolf przebudził się, a czując jej niepokój, przyciągnął ją do siebie i bez słów zaczął całować, jego ręce zawładnęły jej ciałem i już po chwili, nawet nie bardzo wiedziała, jak się to stało, znowu był w niej i znowu się kochali. Zasnęła potem jak dziecko, zapominając o dręczącym poczuciu winy.

Obudziła się wcześniej rano, wtulona w niego jak mała kotka. Kiedy przygotowywali śniadanie, podjechał Joe.

Wolf wbił na patelnię kilka dodatkowych jaj, a Mary z uśmiechem na ustach dorzuciła garść pokrojonego w paski bekonu.

- Myślisz, że nic nie zjadł w domu? - zapytała.

- Myślę, że młody chłopak zawsze jest głodny, wiem coś o tym.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Joe.

- Dzień dobry - powiedział, radośnie się przy tym uśmiechając. Ostatnio uśmiech coraz częściej gościł na twarzy Joego.

- Dzień dobry - odparli oboje zgodnym chórem.

- Za parę minut śniadanie będzie gotowe - dodał Wolf. -

Usiądź i zjedz z nami.

Spojrzał na Mary. Wyglądała na bardzo zmęczoną, jej twarz była jeszcze bardziej blada niż zazwyczaj, a pod oczami miała ciemne kręgi. Przez moment zastanawiał się, czy to za sprawą miłosnych wrażeń, czy raczej paskudnych przeżyć ostatnich dni i, nie dających jej spokoju, wspomnień. Był całkowicie

zdeteminowany, by dorwać tego drania i miał zamiar jeszcze dziś rozejrzeć się trochę po okolicy.

Zgodnie z tym, co obiecał, Joe eskortował Mary aż do szkoły. Jechał tuż za nią, ani na moment nie spuszczać jej samochodu z oka. Dojechali o wiele za wcześnie i nikogo jeszcze nie było w szkolnym budynku. Przeszedł się więc po pustych salach, a potem oparł o framugę drzwi pomieszczenia, w którym znajdowała się Mary i czekał, aż pojawią się inni.

- Joe, jestem tu całkowicie bezpieczna, naprawdę... - Obawiała się, że jeśli go tu zastanie ten ktoś, kto chce zrobić Wofa, może to spowodować kolejny akt przemocy. Poczula, że robi jej się słabo. Taka wersja wydarzeń była w końcu całkiem prawdopodobna, a myśl o niej wystarczyła, by przyprawić ją o mdłości. Sharon i Dottie wyglądały na niezłe zaskoczone, gdy zobaczyły Joego.

- Dzień dobry, pani Wycliffe. Dzień dobry, pani Lancaster - ukłonił się grzecznie.

- Joe... - wymamrotała Sharon - jak się masz?

Dottie zaś rzuciła mu krótkie, nienawistne spojrzenie i szybko oddaliła się w kierunku swojej klasy.

- Ostatnio... znowu trochę wzięłem się za naukę.

- Ach, tak... - Podeszła do krzesła, na którym siedziała Mary. - Jeśli nie czujesz się dobrze, razem z Dottie weźmiemy dziś twoje klasy - ponowiła swą propozycję. - Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że cię tu dzisiaj zobaczę.

- Tylko mnie nastraszył, nic mi nie jest. Dobrze mi robi, jak nie będę o tym wciąż myśleć.

- Całe miasteczko wrze, każdy, kto ma piegowate dłonie jest teraz potencjalnym podejrzanym.

Nie chciała o tym mówić, na samo wspomnienie piegowatej dłoni robiło jej się niedobrze.

Na całe szczęście do klasy weszli uczniowie i Sharon szybko wycofała się na korytarz. Radosne głosy jej uczniów

rozproszyły niemiłą atmosferę. Bardzo się ucieszyli, widząc ją całą i zdrową. Ich zainteresowanie wzbudził także Joe, zaczęli wypytywać go o akademię i plany na przyszłość. Najwidoczniej decyzja o podjęciu przez niego studiów była także dla nich niemałą sensacją. Wszyscy mieli po szesnaście lat ,ale Joe wydawał się przerastać ich wszystkich o głowę i być o niebo starszy. Teraz dostrzegła, na tle innych dzieci, że faktycznie był już niemal dorosły. W grupie otaczającej Joego była także Pam Hearst. Nie odzywała się, ale nie mogła oderwać od niego oczu. A jej spojrzenie przepełnione było tęsknotą i bólem, które próbowała jakoś ukryć, lecz bez powodzenia, skoro Mary to zauważyła.

Joe spojrział na zegarek i zwrócił się do Mary:

- Bardzo proszę, niech pani nie jedzie nigdzie sama po szkole, tata przyjedzie po panią po południu.

Chciała zaprotestować, ale zdała sobie sprawę, że to bezcelowe.

- Wy też na siebie uważajcie. Nigdy nie wiadomo, co komu przyjdzie do głowy.

Joe zmarszczył czoło, jakby nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości. Bez słowa jednak skinął głową i opuścił klasę.

W porze lunchu pojawił się w szkole Clay. Wyszła z nim na zewnątrz, nie chcąc wzbudzać niepotrzebnej sensacji.

- Niepokoję się - powiedziała.

- Dziwiłoby mnie, gdybyś się nie bała - odparł.

- Tu nie chodzi o mnie, myślę, że to Wolf i Joe stanowią prawdziwy cel.

- Jak do tego doszłaś?

Poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić. Dlaczego Clay nie odrzucił tego pomysłu, jako rzeczy zupełnie nieprawdopodobnej?

- Myślę, że Kathy i ja zostałyśmy z całą premedytacją wybrane spośród wszystkich kobiet w Ruth. Ona powiedziała,

ze podoba się jej Joe, a ja, co każdy zdążył zauważyć, przyjaźnię się z nimi już od dłuższego czasu.

- Tak myślisz... I co, sądzisz, że ten gwałcieciel zaatakuję ponownie?

- Jestem tego pewna, ale obawiam się, że teraz swoją nienawiść skieruje na właściwe cele i będzie próbował zabić któregoś z nich. A to żaden problem, prawie każdy może zaszyć się w krzakach na ich wzgórzu, prawie każdy ma tu karabin...

- Ale dlaczego miałby to robić?

Przez chwilę milczała, a potem z rozpaczą w głosie powiedziała po cichu:

- Przeze mnie.

- Przez ciebie? Jak to?

- No, tak. Zanim się tu pojawiłam, Wolf był poza nawiasem społeczności Ruth i każdemu było to na rękę. Nie lubią go tutaj. A ja zaprzyjaźniłam się z nimi i do tego zaczęłam przygotowywać syna Wolfa do egzaminów na studia. Nie wszystkim się to spodobało, że ktoś taki jak Joe dostał rekomendację od senatora do elitarnej szkoły. A do tego wiele osób zaczęło być mu naprawdę przychylnych i... i to było tym pęknięciem na murze - wyjaśniła z chmurną twarzą. - Komuś jest to bardzo nie na rękę, żeby indiański dzieciak zyskał popularność i uznanie.

- Mówisz o nienawiści w czystej formie. Faktycznie ludzie z Ruth nie przepadają za Wolfem, ale kieruje nimi raczej strach niż nienawiść, a właściwie strach i poczucie winy. Posłali go w końcu do więzienia za coś, czego przecież nie zrobił i jego obecność stale im o tym przypomina. Nikt tego nie lubi. Zresztą on sam też nie jest skłonny wybaczyć lub choćby próbować zapomnieć o tym wszystkim.

- To nie takie łatwe, Clay...

- Wiem, że to niełatwe - westchnął ciężko - ale mimo wszystko mógłby przynajmniej spróbować. Prawdę mówiąc,

nie widzę nikogo takiego, kto nienawidziłby go do tego stopnia, by gwałcić i mordować wszystkie kobiety, które miały z nim do czynienia lub wyrażały się o nim pozytywnie. Trudno mi jakoś w to uwierzyć, ale nie mogę też zaprzeczyć, bo ma to jakiś swój sens. Myślę, że równie dobrze mógł być to jednak przypadek...

- Przestępca ma zawsze jakieś motywy - przerwała mu. - Trzeba coś z tym zrobić.

- Pogadam z moim szefem, ale nie obiecuj sobie zbyt wiele, bo prawda jest taka, że nie możemy aresztować nikogo na podstawie przypuszczeń. Potrzebne są dowody, konkretne dowody, a my nie tylko nie mamy dowodów, ale nawet i podejrzanego. Sama teoria nie wystarczy.

- Wydaje mi się, że marnujesz wielką szansę...

- Jaką szansę?

- Szansę, żeby szybko wyjaśnić tę sprawę do końca. Mógłbyś przecież zastawić na niego pułapkę...

- Clay spojrzał na nią jakoś dziwnie.

- Nie wiem, co masz konkretnie na myśli, ale powiem ci, że nie podoba mi się to.

- Nie udało mu się ze mną, więc można się spodziewać, że zechce spróbować jeszcze raz. A wtedy ty...

- O nie, nie ma mowy. I zanim zagalopujesz się na dobre, lepiej zastanów się, co powiedziałby na to Wolf, gdyby się dowiedział, że zamierzasz uczynić z siebie przynętę dla jakiegoś zwyrodnialca!

To było oczywiste, co by powiedział na to Wolf, ale wiedziała, że jest sposób, żeby ten problem ominąć.

- Po prostu nie dowie się o tym - powiedziała z determinacją.

- Nie ma mowy, żeby to przed nim ukryć. Wolf to zawodowiec, pewnie nie wiesz, że spędził dłuższy czas w wietnamskiej dżungli, służył w specjalnym oddziale

zwiadowczym. A nawet gdyby udało nam się zachować to w tajemnicy, nie chciałbym znaleźć się w pobliżu Wolfa, kiedy to wszystko wyszłoby w końcu na jaw.

Mary przeanalizowała szybko każdą z możliwych reakcji Wolfa i faktycznie musiała przyznać Clayowi rację. Wolf byłby wściekły, a z tego mogły wyniknąć najróżniejsze komplikacje. Z drugiej jednak strony nie mogła czekać z założonymi rękami, aż jakiś szaleniec zgwałci lub uśmierci kolejne swoje ofiary.

- Muszę zaryzykować. - W jej głosie brzmiało zdecydowanie.

- Nie licz, proszę, na moją pomoc w tej sprawie, to szaleństwo.

Mary uniosła do góry brodę i zezłoszczona jego tchórzostwem zakończyła:

- W takim razie zrobię to sama. - Na jej twarzy malował się ledwo widoczny uśmiezek satysfakcji.

Zaklął pod nosem.

- Świetnie. Wiesz co, powiem o tym Wolfowi i niech on sobie z tobą radzi.

Zmarszczyła brwi.

- Posłuchaj, Clay, jestem twoją jedyną szansą, byś wreszcie schwytał tego bandytę, zastawiając na niego pułapkę. Czy chcesz czekać, aż zaatakuje kolejną kobietę? I co? I znowu nic z tego nie wyniknie. Będzie tak gwałcił, a może i zabijał bezkarnie, a ty będziesz siedział beczynnym i się temu przyglądał? Kolejny raport o gwałcie lub morderstwie i nic? Żadnego działania? Tak chcesz to załatwić?

- Nie, chcę, żebyś była bardzo ostrożna i nigdzie nie ruszała się sama. Nikogo nie chcę narażać na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Zastanowiłaś się nad tym, że plany czasem nie wypalają? A co, jeśli pułapka okaże się mało skuteczna? Jeśli zdoła cię skrzywdzić i ucieknie w porę? Chcesz się na to narażać?

Przełknęła nerwowo ślinę i wytarła o spodnie spocone ręce.

- I tak to zrobię.

- A ja po raz ostatni mówię: nie. Ten facet jest nieobliczalny. Zaatakował Kathy na jej własnej posesji, ciebie dorwał niemal na głównej ulicy! Nic do ciebie nie dociera? To wariat!

Wszystko to nędzne wykręty, pomyślała Mary. Po prostu Clay nie był na tyle odważny, by postawić teraz na jedną kartę. W ogóle nie lubił ryzyka, widać to było w każdym jego geście i słowie. Potrzebowała kogoś innego, kogoś, kto potrafiłby podjąć wraz z nią to ryzyko. Wiedziała, że to jedyna skuteczna, choć może dość ryzykowna droga. Ale co w końcu miałyby się stać?

Prędko podpisała protokół z przesłuchania i pożegnała się z Clayem. Gdy wszedł do samochodu, wychylił się jeszcze przez otwarte okno i rzucił:

- Nie chcę już o tym więcej słyszeć, rozumiesz?

- W porządku - obiecała. Nie kłamała, nie mówił mu o tym to żaden problem, a zrobi i tak, co zechce. Musi wymyślić tylko naprawdę dobry plan działania, a na pewno uda jej się złapać tego zbrojeńca.

Wolf podjechał pod szkołę jakieś dziesięć minut przed końcem lekcji. Oparł się o ścianę budynku od strony, gdzie znajdowała się klasa Mary i przysłuchiwał się jej nadspodziewanie mocnemu głosowi. Właśnie tłumaczyła swoim uczniom, jak doszło do takiej, a nie innej sytuacji na Środkowym Wschodzie. Miała niezrównany dar łączenia wszystkich pojedynczych faktów i wiadomości w całość, co czyniło jej wykłady niezwykle interesującymi i łatwymi do zrozumienia.

Kiedy otworzyły się drzwi i uczniowie zaczęli wychodzić, Wolf wolnym krokiem wszedł do klasy. Na moment zapanowała kompletna cisza.

- Do pani usług - powiedział, nisko się kłaniając.

Dzieciaki spoglądały po sobie, a jedna z dziewcząt zaśmiała się nerwowo.

Wyprostował się i powoli odwrócił w ich stronę.

- Powiedz, czy te dziewczęta idą do domu parami, czy może chłopcy je odprowadza - - zwrócił się do Mary.

Mary, zaskoczona jego pytaniem, nie bardzo potrafiła zebrać myśli.

Spojrzał więc na wyrosniętych chłopców i tonem nie znoszącym sprzeciwu powiedział:

- Odprowadźcie wasze koleżanki do domów.

Uczniowie w milczeniu, nie przepychając się już i nie potrącając, opuścili salę.

- Świetnie to załatwiłeś - kiwnęła z podziwem głową.

- Widzisz, żadna z nich nawet nie zaprotestowała - spojrzał na nią z wyrzutem. - Czyżby miały więcej rozsądku niż ty?

- Wolf, daj spokój, co może mi się stać podczas jazdy? Nie będę się nigdzie zatrzymywać.

- A jeśli złapiesz gumę albo powtórzy się awaria z chłodnicą?

Stało się dla niej jasne, że nie ma takiej siły, żeby sprowokować napaść tego zbója, jeżeli jeden z Mackenziech będzie jej nieustannie pilnował. Wiedziała jednak, że odwodzenie Wolfa od eskortowania jej do domu pozbawione jest sensu. Na razie nie miało to żadnego znaczenia, bo plan i tak jeszcze nie był gotowy, ale jedno było pewne, że w przyszłości będzie musiała wymyślić również coś, żeby pozbyć się swoich opiekunów.

Wolf przerzucił sobie przez ramię jej sweter, wziął do ręki torebkę i klucze, po czym kładąc dłoń na jej plecach, popchnął ją delikatnie w stronę drzwi.

Całą tę scenę obserwowała Dottie. Wolf zauważył to jednak dopiero, kiedy zamykał pomieszczenie na klucz. Uchylił kapelusza.

- Pani Lancaster.

W tej samej chwili Dottie odwróciła się naprędce, udając, że mocuje się z drzwiami. Drżały jej ręce. Pierwszy raz zdarzyło się, że Wolf odezwał się do niej i jakiś niepojęty lęk spowodował, że jej dłonie stały się wilgotne. Ogarnęła ją panika. Na szczęście Wolf nie zwrócił na jej zachowanie baczniejszej uwagi. Objął Mary mocno w talii i poprowadził do samochodu.

Mary była szczęśliwa, czując jego silne ramię, które tak opiekuńczo przyciągało ją do siebie. Każdy jego dotyk, nawet ten niewinny, wywoływał w niej przyjemny dreszcz i powodował, że serce zaczynało jej szybciej bić. W jej oczach widoczne było pożądanie.. I Wolf je widział.

- Pojadę zaraz za tobą - powiedział.

Ślicznie prezentował się jej nastrojowy domek, skąpany w wiosennej, jasnej zieleni. Kotka wygrzewała się na schodach w promieniach coraz mocniej świecącego słońca.

Mary weszła do środka, bez słowa odstawiła torebkę na stół i ruszyła schodami w górę, do sypialni. Za sobą usłyszała lekkie kroki Wolfa.

Nie wiedziała, jak to się stało, ale już po chwili była zupełnie naga i czuła na sobie rozgrzane ciało mężczyzny, którego kochała.

Wolf uwielbiał przyglądać się jej, kiedy się kochali. Jej oczy stawały się takie nieobecne, policzki płonęły, a skóra lekko wilgotniała. I do tego ten słodkawy zapach, który doprowadzał go do szaleństwa. Pożądał jej całym sobą, lecz za nic nie chciał szybko zakończyć, poruszał się więc powoli, tak, by sprawić jej jak największą rozkosz, a jednocześnie jak najmniej pobudzać siebie. Mary, zupełnie oderwana od rzeczywistości, wiała się pod nim i raz po raz wydawała z siebie stłumiony jęk. W pewnym momencie objął ją mocno i obrócił się na plecy, a ona wiedziona instynktem zaczęła poruszać się rytmicznie, na początku z wolna, a potem coraz szybciej, doprowadzając go

do szaleństwa. Z piersi Wolfa wyrwał się przeciągły krzyk, jego ciało spięło się w nagłym spazmie rozkoszy, a potem ciężko opadł na poduszkę. Pochyliła się i pocałowała go w rozchylone usta.

Nagle zerwał się na równe nogi i wyskoczył z łóżka.

- Co się stało - - zapytała zaniepokojona.

- Mamy towarzystwo, ktoś zajechał przed dom samochodem. Która godzina?

- Dochodzi szósta. O rany, to pewnie Joe, czas na jego lekcje. Boże, gdzie jest moje ubranie - szeptała z przerażeniem Mary.

- Coś mi się wydaje, że przestajemy panować nad sytuacją - powiedział Wolf. - Nie pierwszy już raz straciliśmy rachubę czasu.

Mary czuła się zażenowana, głupio jej było spojrzeć w oczy Joego, gdy było jasne, że jeszcze przed chwilą kochała się z jego ojcem. Ciotka Ardith też by miała coś niecoś do powiedzenia na ten temat. Spojrzała na Wolfa, który właśnie zakładał buty, i nagle poczuła spokój. Kochała go i właśnie w tej chwili zrozumiała, że nic nie było bardziej moralne niż miłość. A miłości nie należy się wstydzić.

Kiedy weszli nieco zakłopotani do kuchni, Joe przygotowywał właśnie kawę. Jego książki leżały na stole.

- Cześć - powiedział, marszcząc przy tym groźnie czoło.

- Słuchaj, tato, sytuacja staje się naprawdę poważna, przeszkadzasz mi w lekcjach - dodał już z uśmiechem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Wolf podszedł do syna i zmierzwił mu włosy.

- Właśnie mówiłem Mary, że ostatnio nie zawsze mamy najlepsze wyczucie czasu.

Nauka nie trwała dziś zbyt długo, bo wszyscy troje umierali z głodu.

Pod koniec kolacji dał się słyszeć za oknem warkot silnika.

- Mój Boże, co się dzieje, zaczynam być popularna wyszeptana zakłopotana i wstała, żeby otworzyć drzwi.

Po chwili do kuchni wszedł Clay. Zdjął kapelusz i zaciągnął się głęboko cudownym zapachem kawy wypełniającym pomieszczenie.

- Świeża kawa?

- Zgadza się. - Wolf wstał, by przynieść dzbanek z kawą i kubek.

- Dzięki, miałem nadzieję, że was tu zastanę - westchnął.

- Jest coś nowego? - zapytał Wolf.

- Nie, nic poza paroma protestami.

- Jakimi znowu protestami? - uniosła się Mary.

- W związku z Wolfem...

- A co ja znowu takiego zrobiłem? To , że wszedłem do szkoły i trochę się rozejrzałem? Gdybyś był mądry, skorzystałbyś z mojej pomocy. Byłem najlepszym tropicielem spośród wszystkich...

- A gdybyś ty był mądry - wpadł mu w słowo Clay - to skorzystałbyś z mojej rady i zająłbyś się swoimi sprawami. Nie wiem, czy już wiesz o pomysle Mary? Chce być przynętą, żeby wyciągnąć tego zbrojeńca z ukrycia.

Wolf spojrzał na nią gniewnym wzrokiem, tak, że bała się nawet poruszyć.

- Po moim trupie — syknął.

- Też jej tak powiedziałem. Wiem, że ty i twój syn eskortujecie ją do szkoły i do domu, ale niedługo będą wakacje i co wtedy?

- Przestańcie rozmawiać tak, jakby mnie tu wcale nie było - odezwała się Mary - W końcu jesteście w moim domu i poza tym chciałam zauważyć, że jestem już dorosła i będę robić, co zechcę. Nie muszę nikogo pytać o zdanie.

- Zrobisz to, co powiem. - Wolf przeszył ją władcym wzrokiem.

- Na twoim miejscu - powiedział Clay - wziąłbym ją na wzgórze i miałbym ją cały czas na oku. Ten jej dom, tutaj, stoi całkiem na odludziu, a za kilka tygodni kończy się szkoła i nikt nie będzie wiedział, co tu się dzieje. Tak byłoby w każdym razie bezpieczniej dla niej, no i dla ciebie też.

Mary zerwała się z miejsca i wyjęła Clayowi z ręki kubek z kawą. Najpierw ostentacyjnie wylała ją do zlewozmywaka, a potem z hukiem wstawiła kubek do środka.

- Nie będziesz pił mojej kawy, ty, ty... zdrajco! — syknęła oburzona.

- Przecież ja tylko próbuję ustrzec cię przed tym szaleńcem - bronił się zaskoczony Clay.

- A ja chcę chronić jego, rozumiesz?! - krzyknęła z wściekłością. - A ty wchodzisz mi w paradę!

- Kogo? - zapytał Wolf.

- Ciebie!

- A niby dlaczego miałbym potrzebować twojej ochrony?

- Nie rozumiesz? To wszystko skierowane jest przeciwko tobie! Ktoś chce ciebie znowu zrobić, dokładnie tak, jak kiedyś, tylko że tym razem atakuje kobiety, które cię lubią i przez to są dla ciebie ważne.

Wolf zamarł na moment. Jego oczy stały się chłodne i puste.

- Ja to kupuję, to jedyne, co ma sens - powiedział Clay. - Komuś się nie podoba, że Mary zaprzyjaźniła się z tobą i z twoim synem, a do tego jeszcze ta rekomendacja do elitarnej szkoły... Wiesz, spora część mieszkańców Ruth zaczęła patrzeć na was inaczej i ktoś nie mógł tego ścierpieć.

- No właśnie i ponieważ to ja jestem przyczyną całego zamieszania, mogłabym...

- Nie! - ryknął Wolf. - Idź na górę i spakuj się. Pojedziesz z nami.

- Najwyższy czas - mruknął z zadowoleniem Joe i zaczął sprzątać ze stołu.

Mary nie powiedziała już ani słowa, tylko wydeła usta, jak czyni to małe dziecko, kiedy jest niezadowolone. Nie lubiła, kiedy ktoś krzyżował jej plany, lecz z drugiej strony wizja zamieszkania z Wolfem pod jednym dachem wydała jej się nadzwyczaj kusząca. Ale to z pewnością nie byłoby w porządku i ludzie w Ruth już wkrótce dadzą jej to odczuć. Jakim będzie przykładem dla swoich uczniów? Lecz przecież kochała go i to było najważniejsze, a nie jakieś tam formalności. Poza tym była absolutnie pewna, że jeśli nie przeniesie się na wzgórze, Wolf zostanie u niej, a to już kompletnie nie miało sensu.

Wolf, widząc jej wahanie, podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

- Idź już - szepnął.

Kiedy zniknęła -w drzwiach sypialni, Clay odwrócił się do Wolfa i dodał zniżonym głosem:

- A tak na marginesie, Mary jest przekonana, że ty i Joe jesteście w niebezpieczeństwie i muszę przyznać, że i w tej kwestii się z nią zgadzam. Ten drań może chcieć zakraść się na twoje wzgórze i próbować was zastrzelić.

- Niech no tylko spróbuje... - wyszeptał Wolf.

- Jestem przekonany, że spróbuje, zrobi to z całą pewnością. To chory człowiek... Może uderzyć w każdej chwili, nie sposób bezustannie wszystko i wszystkich mieć na oku.

- Będę go nadal szukał.

- Masz jakieś spostrzeżenia? - - zapytał Clay wbrew sobie.

- Eliminowałem parę osób z mojej czarnej listy.

- Niektórych nieźle wystraszyłeś.

Wolf wzruszył ramionami.

- Powoli muszą się przyzwyczaić, że tu mieszkam i że będą mnie częściej widywać.

- Słyszałem, że byłeś w szkole i poprosiłeś chłopców, żeby odprowadzili swoje koleżanki do domów. Wiem, że ich rodzice odetchnęli z ulgą.

- Sami powinni byli o tym pomyśleć.

- Weź pod uwagę, że to jest małe, spokojne miasteczko i ludzie nie są przyzwyczajeni do takich rzeczy jak napady, gwałty...

- I to ma być wytłumaczenie? To zwykła głupota i niedbalstwo. Człowiek musi umieć pewne rzeczy przewidzieć.

- Zgadza się, ale nawet ty nie jesteś szybszy od pocisku. Uważaj na siebie i na syna. Wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdyby udało ci się przekonać Mary, żeby na razie nie wracała do pracy. Powinniście pozostać we trójkę na wzgórzu, aż do czasu, kiedy złapiemy tego szaleńca.

Spojrzenie, którym Wolf go obrzucił, dało mu jasno do zrozumienia, że nie miał w zwyczaju przed nikim się ukrywać. Był prawdziwym tropicielem i to nie tylko dlatego, że został świetnie wyszkolony, ale przede wszystkim dlatego, że miał to we krwi. Taka już była jego indiańska natura.

- Bądź spokojny, zapewnię Mary bezpieczeństwo.

Joe stał oparty o szafkę i przysłuchiwał się rozmowie.

- W miasteczku zawrze, kiedy ludzie dowiedzą się, że Mary zamieszkała u nas - powiedział.

- To prawda - mruknął Clay.

- Niech sobie gadają - rzucił lekceważąco Wolf - kiedyś się przyzwyczają.

- Jeśli ktokolwiek zapyta mnie o Mary - dodał na zakończenie Clay, wkładając na głowę kapelusz - powiem, że załatwiłem jej bezpieczną kryjówkę, dopóki nie wyjaśni się ta historia. Zresztą, w niczym interesie nie leży, by zdradzić jej miejsce pobytu. Znając jednak Mary, należy przypuszczać, że zaraz polecą i ogłosi to całemu miastu. Tak, jak w sobotę...

- A co było w sobotę? O niczym nie wiem - burknął Wolf.

- Wpadła w sklepie na panią Lancaster i panią Karr i wyjaśniła, że jesteście razem... No, to na razie. - Na ustach Claya błąkał się lekki uśmiech. Odwrócił się i wyszedł.

- No, to może zrobić się całkiem interesująco - mruknął Wolf.

- A i owszem - zgodził się Joe.

- Uważaj, synu, bo jeśli Mary i Armstrong mają rację, będziemy mieli już wkrótce tego sukinsyna na karku. Nie ruszaj się nigdzie bez strzelby i bądź czujny, bardzo czujny.

Joe kiwnął głową, ale na jego twarzy malowała się niepewność. Nie obawiał się walki wręcz, bo ojciec nauczył go wszystkiego, co sam potrafił. A było tego niemało. Nawet gdyby ktoś zaatakował go nożem, dałby sobie radę. Ale strzelba, to całkiem inna historia.

Mary weszła do kuchni i postawiła na podłodze dwie walizki.

- Wzięłam ze sobą książki - oznajmiła. - Jest tylko problem z kotką i jej młodymi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dziwnie nieswojo czuła się w domu Wolfa. Samą ją to zaskoczyło. Zwykle przecież tęskniła za tym miejscem i nie mogła doczekać się, kiedy wreszcie znowu je odwiedzi. Ale teraz sprawy się nieco skomplikowały. Co innego móc tu wpaść na godzinę czy nawet na cały dzień, wiedząc, że w każdej chwili można wrócić do siebie, a całkiem co innego, kiedy z góry wiadomo, że to mus i nie ma od tego odwrotu. Nigdy jeszcze nie mieszkała z mężczyzną, a tym bardziej z dwoma i to do tego w tak niecodziennych okolicznościach. Cały dzień dręczyły ją najróżniejsze wątpliwości, nie dając jej choćby na chwilę spokoju. Wieczorem, kiedy leżała już w łóżku i próbowała zasnąć, także ją dopadły. Starła się jednak nie wiercić, bo obok niej spał Wolf i nie chciała mu przeszkadzać. W końcu jednak nie wytrzymała, odwróciła się do niego i szepnęła:

- Śpisz?

- No... - Po dłuższej chwili rozległo się przeciągłe mruknięcie. - Prawie.

Powoli otworzył oczy i wyciągnął do niej ramiona.

- Chodź...

Mary przytuliła się do niego.

- Nie możesz zasnąć? - zapytał i odgarnął jej z czoła włosy. - Nic dziwnego, tyle przeżyć, a do tego nie twoja sypialnia i nowe łóżko...

- No właśnie - podchwyciła - kiedy pomyślę, że spała w nim twoja żona, robi mi się jakoś nieswojo...

Jego uścisk stał się jeszcze silniejszy.

- Niepotrzebnie, bo nigdy w nim nie spała. Miała sypialnię w pokoju obok.

- Ach tak? Opowiedz mi, jak to było, kiedy mieszkaliście razem?

- Bardzo dużo czasu spędzałem wtedy poza domem. Można powiedzieć, że rzadko się widywaliśmy. Zmarła, kiedy Joe miał dwa lata. Wtedy też zrezygnowałem ze służby...

- Opowiesz mi coś o tamtych czasach? - Byłeś przecież bardzo młody...

- Powołali mnie, kiedy miałem osiemnaście lat, ale nigdy w życiu nie przypuszczałbym, że wyląduję w Wietnamie. Zresztą, prawdę mówiąc, było mi wszystko jedno, moi rodzice nie żyli, a jedyna bliska mi osoba - dziadek ze strony matki - nigdy mnie nie zaakceptował. Jego zdaniem nie byłem Indianinem. Za wszelką cenę chciałem się wydostać z rezerwatu. Nawet nie wiesz, co to znaczy żyć gdzieś, na skraju świata, bez najmniejszej nadziei na jakąkolwiek zmianę. Dni mijają, a ty nie masz kompletnie nic do roboty i żadnej szansy na cokolwiek. Wegetujesz jak roślina, bo nie brakuje ci pożywienia, ale poza tym nic się nie dzieje, zupełnie nic.

Moją żonę Billie znałem już od jakiegoś czasu. Lubiliśmy się. Wyszła za mnie tylko dlatego, ponieważ wiedziała, że nienawidzę rezerwatu, i że zrobię wszystko, by się stamtąd wyrwać. Wcale się jej nie dziwię, bo nikogo nie zachwyca wizja spędzenia całego życia w więzieniu, a poza tym kusily ją kolorowe światła wielkich miast. Pewnie sądziła, że spędzi ze mną ekscytujące życie, przenosząc się z bazy do bazy. Ale życie płała nam okrutne figle. Pobraliśmy się i już po miesiącu wylądowałem w Wietnamie, a Billie spodziewała się dziecka. Tak się złożyło, że mogłem być przy narodzinach Joego, bo akurat miałem urlop. Nawet nie wiesz, jaki byłem szczęśliwy, gdy trzymałem go, takiego maleńkiego, na rękach. To było coś niezwykłego, od pierwszej chwili pokochałem go ponad wszystko. Był dla mnie całym moim życiem. Z Billie nie układało nam się zbyt dobrze. Nie miałem widoków na pracę, więc doszedłem do wniosku, że najrozsądniej będzie, jeśli

zostanę jeszcze jakiś czas w wojsku. Dwa lata później Billie już nie żyła, a ja wróciłem do domu, żeby opiekować się Joem.

- I z czego żyliście?

- Robiłem, co było w mojej mocy, pracowałem jako najemnik na rancho, jeździłem na rodeo... Zresztą to było jedyne, co potrafiłem. Od dziecka miałem do czynienia z końmi, kochałem je i rozumiałem, więc włóczyliśmy się razem z Joem to tu, to tam, w poszukiwaniu jakiegoś zarobku. Aż wreszcie, gdy Joe już musiał iść do szkoły, akurat wylądowaliśmy właśnie w Ruth. A resztę historii już znasz, za zaoszczędzone pieniądze kupiliśmy to rancho na wzgórzu i od tej pory tutaj jest nasz dom.

- Wiele przeszedłeś - szepnęła, patrząc czule na Wolfa. To dlatego był tak twardy, tak nieugięty i zdeterminowany. Dobrze wiedział, ile jest warte życie wolnego człowieka i własny dom. Nikt nie miał prawa go skrzywdzić, nie jego, pomyślała gorączkowo. Musiał być jakiś sposób, by go uchronić przed złem.

Następnego poranka, gdy odwoził ją do pracy, znowu wzbudzili sensację w mieście. Tym razem nie było to jednak ani przerażenie, ani nienawiść, lecz raczej zdziwienie i ciekawość.

Dottie starała się unikać kontaktu z Mary, a przynajmniej Mary miała takie wrażenie. Zawsze, gdy pojawiała się gdzieś na horyzoncie, Dottie natychmiast znikwała.

- Ach, nie zwracaj na nią uwagi - westchnęła Sharon.

A więc i ona to zauważyła, pomyślała Mary. Nie wiedziała, jak dotrzeć do Dottie, ale postanowiła się tym nie przejmować.

Po południu zjawił się w szkole Joe, żeby zabrać Mary do domu.

- Cieszę się, że cię widzę - uśmiechnęła się Mary. Naprawdę lubiła tego chłopca - Chciałabym zatrzymać się na chwilę u Hearsta. Muszę kupić tam kilka drobiazków. Zaczekasz, czy wejdiesz ze mną?

- Wejść.

Joe nie odstępował jej ani na krok, niemal deptał jej po piętach, kiedy wchodziła do sklepu. Wszystkie oczy zwróciły się na nich. Musiała przyznać, że Joe doskonale poradził sobie z tą niecodzienną sytuacją. Najzwyczajniej w świecie, jakby nigdy nic, szeroko się uśmiechnął i skinął głową. Niektórzy odpowiedzieli mu uśmiechem, a parę osób odwróciło się z westchnieniem na ustach.

Ruszyli jednym z przejść między regałami. Joe zatrzymał się na chwilę, gdyż w głębi sklepu dostrzegł Pam Hearst. Nie odrywała od niego oczu i mogło się zdawać, że wrosła w ziemię. Lekko się skłonił i podążył za Mary. Lecz już po chwili poczuł delikatną dłoń na swoim ramieniu.

- Czy moglibyśmy porozmawiać? - zapytała cicho

Pamela, która stała teraz tuż obok niego. - Bardzo proszę, to ważne.

Mary oddaliła się nieco, stanęła jednak tak, by nie stracić ich z oczu.

- Tak, słuchami - zwrócił się do niej uprzejmie Joe. Pam wzięła głęboki oddech.

- Pomyślałam - zaczęła nieśmiało - że może zgodziłbyś się pójść ze mną w sobotę wieczór na tańce? - dokończyła pośpiesznie.

Joe pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Słucham?

- Zapytałam, czy nie poszedłbyś ze mną na potańcówkę.

- Chcesz wpakować się w kłopoty? - Joe westchnął ciężko.

- Przecież twój ojciec zamknie cię za to w piwnicy.

- Nie mamy piwnicy - uśmiechnęła się zaczepnie. - A poza tym jest mi wszystko jedno, co on powie, uważam, że bardzo się myli co do ciebie i twojego taty. Poprzednim razem czułam się naprawdę okropnie, no wiesz, wtedy, kiedy tak głupio się zachowałam. Bo widzisz, Joe, ja cię naprawdę bardzo lubię - wyznała - i chciałabym się z tobą umówić.

Wymusił na sobie cyniczny wyraz twarzy.

- Tak, sporo ludzi zaczęło mnie lubić po tym, jak dowiedzieli się, że będę zdawał do Akademii Wojskowej. To bardzo zabawne, jak szybko można zdobyć sympatię z tak błędnego powodu.

Pam zaczerwieniła się.

- Nie dlatego chcę się z tobą umówić...

- Jesteś tego pewna? Jakoś wcześniej nie wydawało ci się, że publiczne pokazywanie się ze mną jest dobrym pomysłem. Najwyraźniej nie pasowało ci, żeby ludzie mówili, że Pam Hearst umawia się z Indiancem. Ale trzeba przyznać, że kiedy mowa o kandydacie do Akademii Wojskowej, brzmi to już całkiem inaczej - dodał sarkastycznie. - Można nawet darować takiemu jego indiańskie pochodzenie.

- To nieprawda - powiedziała Pam na tyle głośno, że kilka osób odwróciło się i spojrzało w ich kierunku.

- Może i nieprawda - zniżył ton - ale tak to wygląda, kiedy patrzy się na to z mojego punktu widzenia.

- Nie masz racji, podobnie zresztą jak mój ojciec.

Pan Hearst, który usłyszał podniesiony głos Pameli, zmierzał właśnie w ich kierunku.

- Co tu się dzieje? Czy ten... - zawiesił na chwilę głos - czy ten chłopak cię niepokoi?

Na twarzy Pameli pojawił się jeszcze silniejszy rumieniec.

- Nie, wcale mnie nie niepokoi - zwróciła się do ojca. - Tylko zrobił mi przykrość - powiedziała jakby wbrew samej sobie i na przekór wszystkim ciekawskim- bo chciałam go zaprosić na sobotnią potańcówkę, a on mi odmówił - zakończyła z satysfakcją.

Twarz sklepikarza spurpurowiała. Widać było, że ze wszystkich sił powstrzymuje się, żeby nie wybuchnąć.

- Co powiedziałaś? - wycedził przez zęby. Wydawało mu się, że się przestyszał.

Pam jednak nie zamierzała się wycofać, mimo że jej ojciec wyglądał, jakby za chwilę miał dostać wylewu.

- Powiedziałam, że Joe nie chce się ze mną umówić .

- Idź natychmiast do domu - syknął. - Już ja sobie porozmawiam z tobą o tym później.

- Później? A dlaczego później? Porozmawiaj ze mną o tym teraz - rzuciła butnie.

- Powiedziałem, idź do domu! - ryknął Hearst.

- A ty trzymaj się od niej z daleka - zwrócił się rozwścieczony do Joego - ty... ty...

- Zostaw go! Przecież on się trzymał ode mnie z daleka! - krzyknęła Pam. - To nie jest tak, jak myślisz! To ja nie chcę trzymać się od niego z daleka. I to nie pierwszy raz próbuję się z nim umówić. Ty i wszyscy inni w tym miasteczku mylicie się co do Mackenziech i mam już tego dosyć! Tylko panna Potter jest inna, potrafi obstawać przy swoim i bronić tego, w co wierzy.

- No właśnie, to wszystko jej wina... - zaczął pan Hearst, jeszcze bardziej czerwieniejąc na twarzy. - Gdyby nie ona...

- Niech pan przestanie, panie Hearst, proszę się uspokoić.

- Joe po raz pierwszy zabrał głos w tej dyskusji. Był wprawdzie jeszcze młody, ale jego słowa zabrzmiały tak stanowczo, a jednocześnie spokojnie, że sklepikarz umilkł.

Pam zdawała się być jeszcze bardziej rozsierdzona niż jej ojciec i równie uparta.

- Zostaw pannę Potter w spokoju! - syknęła. - Jest najlepszą nauczycielką, jaka kiedykolwiek pojawiła się w Ruth i jeśli tylko spróbujesz pozbawić ją pracy, jeśli zrobisz choćby najmniejszy krok w tym kierunku, przysięgam, że rzucę szkołę. I nie myśl sobie, że to żart!

- Nie zrobisz tego!

- To się przekonasz! Kocham cię, tato, ale nie masz racji i nic ci na to nie poradzę. Rozmawialiśmy dzisiaj w szkole o tym, jak nauczyciele przez te wszystkie lata traktowali Joego i

jakie to było podłe. Przecież on jest z nas wszystkich najzdolniejszy, jak można było mu to zrobić? A Wolf Mackenzie - To on się zatroszczył o to, by każda z nas wróciła bezpiecznie do domu. Nikt inny o tym nie pomyślał, a może nikogo to nie obchodziło?

- Oczywiście, że obchodziło - odezwała się Mary.

- Pan Mackenzie tylko dzięki swojemu doświadczeniu, które zdobył na Wojnie w Wietnamie, wie, co należy zrobić w takiej sytuacji. Nie każdy ma takie doświadczenie. - Wzięła pana Hearsta pod ramię i szepnęła:

- Dlaczego nie zajmie się pan klientami? Oni już sobie sami poradzą, wie pan, jak to nastolatki...

Jakoś nikt nie zwrócił na to uwagi, że w tym momencie niepostrzeżenie wszedł do sklepu Wolf, ale szybko się wycofał.

Pan Hearst ze zdumieniem spojrział na Mary.

- Czy pani naprawdę nie rozumie, że nie chcę, żeby moja córka spotykała się z tym kolorowym mieszańcem?

- Z nim będzie o niebo bezpieczniejsza niż z kimkolwiek innym, panie Hearst. Na nim przynajmniej można polegać, nie pije, nie szaleje samochodem, a poza tym wkrótce wyjeżdża, więc nie musi się pan niczego obawiać.

- To już nie chodzi o to. Ja nie chcę, żeby moja córka umawiała się z Indianinem.

- Więc charakter nie ma dla pana żadnego znaczenia i wolałby pan ją widzieć z białym, choćby był łajdakiem czy oszustem?

Pan Hearst potarł ze zdenerwowaniem skroń.

- Nie, nie to miałem na myśli - wymamrotał.

- To jasne, że chce pan dla swojej córki jak najlepiej, ale my, dorośli, nie zawsze mamy rację. Niech pan porozmawia ze swoją żoną, przedyskutujcie państwo razem tę sprawę. Joe to bardzo porządny chłopak.

- Nie omieszka - westchnął i ruszył w stronę lady.

Po chwili przy ladzie pojawili się także Joe i Pam, która ze wszystkich sił starała się zachowywać normalnie, jakby nic się nie stało.

Mary zapłacała, Joe wziął torby z zakupami i wyszli na ulicę.

- I co powiesz? - zapytała, kiedy byli już sami.

- A co mam powiedzieć? - - wzruszył ramionami.

- Pójdiesz z Pam na tańce?

- Na to wygląda... Pam nie akceptuje odmowy, podobnie jak pewna pani nauczycielka, którą znam...

Mary spojrzała na Joe'go spod oka, ale nie odpowiedziała na jego zaczepkę.

Kiedy znaleźli się przy samochodzie, nagle poraziła ją pewna myśl, aż zakreśliła jej się w głowie.

- Joe, o Boże, zupełnie o tym zapomniałam! Przecież ten szaleniec atakuje wyłącznie kobiety, które są wam przychylnie...

Widziała, jak pobladł w jednej chwili, jak zacisnął usta.

- Cholera... - zaklął. Stał tak przez chwilę, kręcąc z niedowierzaniem głową i nie wiedząc, co powinien w tej sytuacji zrobić. - Powiem jej jutro, że jednak nie mogę z nią pójść.

- To nic nie da. Jutro już całe miasteczko będzie wiedziało o tym incydencie w sklepie jej ojca, i to niezależnie od tego, czy pójdziecie razem na sobotnie tańce, czy nie.

Nic nie odpowiedział, ale widać było, że nad czymś intensywnie myśli.

Musi uchronić Pam przed tym bandytą, myślał gorączkowo, ostrzeże ją i poprosi, by uważała na siebie. A może zastosuje pomysł Mary, z tym, że to on będzie przynętą...£?Przestępca, sfrustrowany, że nie udało mu się dopaść żadnej z kobiet, skupi może swoją wściekłość na nim?

Kiedy dotarli do domu, Wolfa jeszcze nie było. Mary rozpakowała torby, przebrała się i wyszła na podwórko.

Rozejrzała się dokoła, ale nigdzie go nie znalazła. Zajrzała do stajni, gdzie Joe zajął się szczotkowaniem koni, i zapytała:

- Nie było tu Wolfa?

Chłopak pokręcił głową.

- Nie ma jego konia - powiedział po chwili - pewnie pojechał sprawdzić ogrodzenie. - Albo może raczej zupełnie coś innego, pomyślał, ale to przemilczał. Nie chciał denerwować panny Potter.

Mary zaproponowała Joemu swoją pomoc i pracowała tak zapalczywie, że aż rozbolały ją ręce, a koń zarżał, jakby domagając się więcej delikatności.

- Jak pani widzi, to wcale nie taka lekka praca - uśmiechnął się Joe. - Zapału jednak ma pani aż nadto, ale z tym koniem proszę już skończyć, inaczej go pani całkiem rozpuści. Jest tak strasznie łasy na pieszczoty, że gotów byłby stać bez ruchu cały dzień, poddając się zabiegom pielęgnacyjnym. Zaprowadzę go do boksu.

- Idę do domu, może niedługo wróci Wolf.

Pokręciła się trochę po kuchni, gdy nagle do jej uszu dotarł rytmiczny tętent końskich kopyt. Podbiegła do okna i aż zaparło jej dech w piersiach. Cudownie wyglądał na tym swoim rumaku, koń i jeździec poruszali się w zgodnym rytmie i miało się wrażenie, że on i koń to jedno. Wolf pochodził z Komanczów, a ci przecież uważani byli za najlepszych jeźdźców.

Wyszła przed dom, a on podjechał bliżej i, widząc jej zaniepokojony wyraz twarzy, zapytał:

- Jakieś kłopoty?

Postanowiła, że nie powie mu nic o dzisiejszym zajściu w sklepie. To była sprawa Joego i on sam zdecyduje, czy będzie chciał opowiedzieć o tym ojcu, czy nie.

- Nie, wszystko w porządku.

- Chcesz się przejechać ze mną? Wiem, że nie jeździłaś konno, ale spróbuj wsiąść... Wsuń swoją lewą nogę w strzemię...

Spróbowała, ale koń był za wysoki. Nie mogła dosięgnąć.

Wolf roześmiał się, po czym nachylił się do niej i powiedział:

- Chodź, pomogę ci. - Uniósł ją z ziemi, jakby była piórkiem, i posadził przed sobą.

Złapała się kurczowo za uchwyt przy siodle i już po chwili ruszyli przed siebie.

- Boże, jak to wysoko - wymamrotała przez zaciśnięte zęby i natychmiast umilkła. Siedziała sztywno i boleśnie odczuwała każde opadnięcie na siodło.

Wolf czując jej strach, objął ją lewą ręką i mocniej przyciągnął do siebie.

- Spokojnie, koń czuje twoje przerażenie i to go denerwuje, spróbuj się rozluźnić i poruszać w jego rytmie.

Ciepło bijące od Wolfa i poczucie bezpieczeństwa pozwoliło jej się trochę rozluźnić i uderzenia o siodło stały się mniej bolesne.

Pierwsza przejażdżka nie trwała długo. Kiedy wrócili do stajni i kiedy już stała na ziemi, powiedziała z błogim uśmiechem:

- Podobało mi się, Wolf.

- To świetnie, od jutra zaczynamy naukę jazdy.

- A ja - odezwał się Joe, który pracował kilka boksów dalej - zacząłem już z panną Mary lekcje szcztokowania i oporządzania konia.

- Doskonale. Jeszcze trochę i będziesz tak kochała konie jak my i czuła się z nimi za pan brat - ucieszył się Wolf. Nachylił się i pocałował ją mocno.

Stała na czubkach palców, a nawet miała chwilami wrażenie, że lekko unosi się ponad powierzchnią ziemi.

Wypuścił ją w końcu z uścisku i przez chwilę patrzył w jej okrągłe niebieskie oczy. Jak ona na niego działała... Jak bardzo ciągle jej pragnął...

Kiedy Mary poszła do domu, Joe spojrzał poważnie na ojca i zapytał:

- Masz coś?

- To musi być ktoś z miasta - odparł Wolf, zdejmując z konia siodło. - Nie ma innego wytłumaczenia.

Joe zmarszczył brwi.

- Też tak myślę, ale jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Kto to mógłby być?

- Szukam śladów, rozumiesz? Wiem, jak facet chodzi, widziałem ślady jego butów. Stawia stopy trochę do środka i główny ciężar opiera na zewnętrznych krawędziach.

- I co, jeśli go znajdziesz? Sądzisz, że go aresztują, bo ma piegowate dłonie i chodzi w taki, a nie inny sposób?

Wolf uśmiechnął się, ale nie radośnie, tylko tak jakoś chłodno, bezwzględnie.

- Jeśli będzie mądry, przyzna się do winy, wtedy oddam go w ręce policji, a jeśli nie... Jedno jest pewne, jeżeli go odnajdę, nie ujdzie mu to na sucho.

Skończyli oporządzać konie, po czym Joe zajął się swoimi sprawami, a Wolf poszedł do domu.

Mary krzątała się przy kuchni i nie usłyszała, kiedy wszedł do środka. Zaszedł ją od tyłu i położył ręce na jej ramionach.

Z jej piersi wyrwał się okrzyk przerażenia, odwróciła się gwałtownie i przywarła do ściany. W rękę trzymała łyżkę jak nóż gotowy do ataku, a jej twarz była kredowobiała. Przez moment jeszcze patrzyła na niego ogromnymi, nieprzytomnymi z przerażenia oczami. Potem łyżka wysunęła się z jej dłoni i z brzękiem upadła na ziemię.

Wolf zaklął pod nosem, nie mogąc sobie wybaczyć, że tak bardzo ją przestraszył.

- Przepraszam - jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

Objął ją mocno i przygarnął do siebie.

- Myślałaś, że to znowu on? - zapytał szeptem, odgarniając jej włosy z twarzy.

Pokiwała głową i wtuliła się w jego szerokie ramiona, chcąc przepędzić strach, który pojawił się tak nagle, nie wiadomo skąd. Poczwała lodowaty chłód i dreszcze.

- Tu jesteś bezpieczna, nie musisz się bać - szeptął. Wiedział jednak, że upłynie jeszcze wiele czasu, nim dojdzie do siebie, nim niespodziewane dotknięcie nie będzie oznaczało dla niej nagłego zagrożenia.

Po chwili się pozbierała i uwolniła z jego uścisku. Nie protestował, dobrze wiedział, jak bardzo jest to ważne.

Podczas kolacji, a także podczas lekcji z Joem zachowywała się tak jak zwykle. Jedynie w jej oczach pojawiał się od czasu do czasu dziwny wyraz bezradności. Tak naprawdę nigdy nie powiedział jej, że ją kocha i nie miała żadnej pewności, czy to nie jest wyłącznie przejściowy związek. Obawiała się, że gdy minie pożądanie, Wolf zwyczajnie znudzi się nią i będą musieli się rozstać. Taki skandal na pewno jeszcze nigdy dotąd nie wybuchnął w Ruth. Romans nauczycielki z Indianinem! Wiedziała, że ryzykuje w ten sposób swoją karierę, ale dni i noce spędzane z Wolfem były tego warte. Miała już w końcu dwadzieścia dziewięć lat i nigdy dotąd nie czuła tego, co teraz; wiedziała, że drugi raz nie spotka takiej miłości. Są tacy ludzie, pomyślała, którzy kochają tylko raz w życiu i wyglądało na to, że ona do nich należy.

Kiedy Joe powiedział ojcu, że idzie z Pam na tańce, Wolf popatrzył na niego zaniepokojony.

- Jesteś pewien, że wiesz co robisz?

- Mam nadzieję... - odparł Joe.

- Miej, synu, oczy dookoła głowy, bądź zawsze czujny.

Joe pokiwał głową. Nie był pewien, czy nie popełnia wielkiego błędu, ale tak bardzo pragnął choć przez chwilę trzymać Pam w swoich ramionach, choćby tylko w tańcu.

Wiedział, że wyjeżdża, że nie ma sensu zawracać jej głowy, ale tak bardzo go pociągała. Nie potrafił tego wytłumaczyć ani temu przeciwdziałać.

Pam była bardzo podekscytowana i choć próbowała to ukryć, nie sposób było tego nie zauważyć. Mówiła za szybko i za dużo. Joe delikatnie położył palec na jej ustach palec.

- Wiem, co czujesz, sam też trochę się obawiam.

- Niepotrzebnie, wiele razy rozmawialiśmy o tobie. Zobaczysz, wszystko będzie w porządku.

- Więc dlaczego jesteś taka zdenerwowana? - zapytał.

- Bo... - Pam odwróciła wzrok - bo to pierwsza randka z tobą. Sama nie wiem... Jestem podenerwowana, podekscytowana, no... może nawet trochę przerażona...

- Wszystko inne rozumiem, ale dlaczego jesteś przerażona?

- Bo jesteś taki inny niż wszyscy... jakby starszy, dojrzały. Niby masz tyle samo lat, ale robisz o wiele poważniejsze wrażenie. Nasze losy są już jakby zaplanowane: skończymy szkołę, pobierzemy się i zostaniemy tu, gdzie się wychowaliśmy, gdzie są nasi rodzice. Co najwyżej przeniesiemy się do miasteczka obok. Ale ty, ty jesteś całkiem inny. Pójdiesz na studia i już nigdy tutaj nie wrócisz, przynajmniej nie na stałe.

Zadziwiły go te słowa, ale musiał przyznać jej rację. Zawsze czuł się jakby trochę starszy, kiedy przebywał z rówieśnikami z klasy, a poza tym faktycznie przeczuwał, że jego miejsce jest gdzie indziej, nie tu, nie na ranczo ojca.

Po drodze już więcej nie rozmawiali na ten temat.

Gdy dojechali na miejsce, gdzie miała odbyć się potańcówka, Joe zaparkował, wziął głęboki oddech i wyskoczył z samochodu, przygotowany na najgorsze. To jednak, co miało miejsce, kiedy weszli na salę, zaskoczyło go. Wprawdzie na moment zapanowała cisza, ale już po chwili wszyscy wrócili do swoich rozmów i nikt, dosłownie nikt, nie zwracał na nich

zbytniej uwagi. A Pam, nie zważając na nic, wsunęła swoją dłoń do jego dłoni i delikatnie ją uściśnięła. I zaraz potem, gdy zaczął grać zespół muzyczny, z błogim uśmiechem na twarzy powiodła go na środek parkietu.

Musiał przyznać, że ta jej odwaga zrobiła na nim wrażenie. Wziął ją w ramiona i zaczęli kołysać się w rytm muzyki. Nie rozmawiali ze sobą. Tak długo marzył o tym momencie, że chciał rozkoszować się nim jak najdłużej. Czuł, jak Pam kołysze biodrami, czuł jej delikatne piersi, zapach perfum, miękkość jej włosów i nic więcej nie było mu do szczęścia potrzebne.

Tę idyllę przerwał niespodziewanie jadowity szept, który usłyszał za sobą podczas tańca.

- Brudny dzikus.

Natychmiast zeszywniał, rozejrzał się, ale wokół nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Chciał poszukać tego śmiałka, ale Pam spojrzała mu w oczy i szepnęła:

- Proszę, nie odchodź.

Kiedy melodia się skończyła, jeden z chłopaków wskoczył na krzesło i krzyknął na całe gardło:

- Pam i Joe, chodźcie tutaj!

Widząc tę scenę, Joe nie mógł się nie uśmiechnąć.

Wszyscy koledzy i wszystkie koleżanki z ich szkoły stali w kręgu i zapraszająco do nich machali. Podszedł do nich z Pam i od tej pory zaczęła się naprawdę świetna zabawa. Zatańczył po kolei chyba z każdą dziewczyną, a chłopcy rozpytywali go na temat koni, tresury, rodeo, a do tego dbali o to, by żadna z obecnych dziewcząt nie poczuła się nawet na chwilę samotna.

Tak więc, koniec końców, wieczór ten okazał się być bardzo miły i udany. Wyszli trochę przed końcem, bo Joe nie chciał, by Pamela wracała zbyt późno do domu. Po drodze do samochodu potrząsał z niedowierzaniem głową.

- Nigdy nie sądziłem, że to możliwe. Wiedziałaś o tym, że oni wszyscy tu będą?

- Nie - odparła Pamela - ale oni wiedzieli, że przyjdę tu z tobą.

- O tym to wiedziało chyba całe miasteczko. Dobrze się bawiłaś?

- Tak, wspaniale.

- Zawdzięczamy to im, nie musiało tak być - dodał.

- Następnym razem będzie jeszcze lepiej.

- Będzie następny raz? - zapytał.

Pam poczuła zakłopotanie.

- Mam na myśli, że nawet jeżeli nie będziesz chciał przyjść tu ze mną, to przecież możesz chodzić na tańce... sam. Masz powodzenie u dziewcząt.

Joe roześmiał się głośno. Pomógł jej wsiąść do samochodu i sam wskoczył za kierownicę.

- Może i mam powodzenie, ale lubię być z tobą - szepnął.

Pamela położyła mu swoją dłoń na ramieniu.

- Czy chcesz... mam na myśli, czy moglibyśmy się gdzieś zatrzymać? - zapytała.

Wiedział, że powinien odrzucić tę propozycję, ale pokusa była zbyt wielka. Chwilę później zjechał z drogi, przejechał przez łąkę i zaparkował pod drzewami. Była cudowna majowa noc. Światło księżyca przedzierało się przez gęste liście. Joe przytulił do siebie Pam i pocałował ją, a już po chwili stracił kontrolę nad sytuacją. Nie widzieć kiedy znaleźli się na miękkim mchu, a on gładził i całował jej delikatne nagie piersi. Nagle jednak oprzytomniał, usiadł i potrząsnął głową.

- Nie możemy tego zrobić.

- Dlaczego? - dopytywała się Pam, lekko zdezorientowana.

- Bo to dla ciebie pierwszy raz...

- Ale ja... pragnę cię - wyznała Pam.

- Ja też cię pragnę, ale myślę, że powinno się to zrobić z kimś, kogo się kocha, a ty mnie przecież nie kochasz.

- Ale czuję, że mogłabym, naprawdę mogłabym... ciebie pokochać - szepnęła żarliwie.

- Wiesz przecież, że ja wkrótce wyjadę, po co więc... Dostałem od losu wielką szansę, to tak, jakbym wygrał na loterii fantowej główną nagrodę. Nie mogę jej zmarnować...

- I żadna dziewczyna nie zmieni twego postanowienia? - zapytała, z góry wiedząc, jaka padnie odpowiedź.

Musiał być z nią szczery, nie miał prawa jej oszukiwać, choć wiedział, że to co powie, nie spodoba się Pam.

- Nie, żadna dziewczyna tego nie zmieni i w ogóle nic na świecie. To moje największe marzenie, rozumiesz? Zawsze tego pragnąłem, ale wydawało mi się to niemożliwe.

Pam spieszyła się, okryła dłońmi swoje nagie piersi i spojrzała na niego niepewnie.

- Ale i tak możemy to zrobić, jeśli tylko chcesz, nikt się nie dowie...

- Może się nie dowie, ale kiedy zakochasz się w jakimś chłopcu, będziesz żałować, że to nie on był pierwszy, że zrobiłaś to wcześniej ze mną. Boże, Pam, nie patrz tak na mnie, uderz mnie w twarz albo nawymyślaj mi... - szepnął.

Był chyba szalony, nie chcąc skorzystać z takiej okazji. Każdy na jego miejscu zrobiłby to...

Pam oparła głowę na jego ramieniu i nagle jej ciałem wstrząsnął rozpaczliwy szloch. Objął ją mocno i przytulił do siebie.

- Zawsze będziesz dla mnie kimś wyjątkowym - powiedziała, łkając - czy ty musisz być taki cholernie porządny?

- Nie sądzę, żebyś chciała zająć w ciążę w szesnastym roku życia, to nie byłoby zabawne.

- Myślałam, że masz może... no wiesz, to, co mają często przy sobie chłopcy.

- Nawet gdybym miał, to i tak nie zrobiłbym tego. Nie chcę cię skrzywdzić, a to byłaby dla ciebie krzywda, choć może

teraz myślisz o tym inaczej. Bardzo mi się podobasz, ale nie mogę się teraz z nikim wiązać. Poza tym jesteś jeszcze za młoda na takie rzeczy...

- Mam tyle samo lat, co ty... Ale wiem, że ty jesteś poważny i odpowiedzialny. Dlatego mi imponujesz. Każdy inny chłopak, którego znam, gdyby był na twoim miejscu, nie mógłby się doczekać, żeby ściągnąć spodnie i zrobić to ze mną... Trochę się głupio teraz czuję, ale chciałabym cię o coś prosić...

- Tak

- Zawrzyjmy układ.

- Jaki układ?

- Ze zostaniemy przyjaciółmi.

- Wiesz, że tak...

- Pojedziesz do Kolorado na studia, a ja zostanę tutaj i zobaczę, co mi przyniesie los. Może wyjdę za mąż, może nie, kto to wie... Ale może wrócisz tu któregoś lata, kiedy oboje będziemy już dorośli, i wtedy może zechcesz być moim pierwszym mężczyzną...

- I tak nie będę chciał zostać w Ruth - powiedział szczerze.

- To nic... - szepnęła.

Wiedział, że z biegiem lat i tak wszystko się zmieni, że w przyszłości będą widzieć te sprawy zupełnie inaczej, ale jakie to miało teraz znaczenie?

- Zgoda - powiedział i mocno ją uściskał.

Mary nie położyła się spać. Zaniepokojona, czekała na Joego, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Kiedy wszedł, rzuciła tylko krótko:

- Wszystko w porządku?

- Tak - pokiwał głową - wszystko w porządku. -

Dostrzegł jednak w jej oczach strach, który próbowała przed nim ukryć.

- Nikt cię nie zaczepiał?
- Nie, nic szczególnego się nie wydarzyło.

Miał wrażenie, że Mary domyśliła się, że zdecydował się skupić na sobie uwagę tego bandziora. Nic jednak nie powiedział.

- Tata śpi

- Nie śpi - usłyszał nieco zachrypnięty głos ojca, który właśnie wchodził do kuchni. Miał na sobie tylko dżinsy. - Chciałem się upewnić, czy z tobą wszystko w porządku. Przyjęcie tego zaproszenia, to tak, jakbyś zgodził się wejść do klatki z rozjuszonymi lwami.

- Ale jak widzisz, nic mi się nie stało, a nawet mogę powiedzieć, że było naprawdę fajnie. Cała nasza klasa tam była...

Mary uśmiechnęła się szeroko. Wiedziała już, że Joe spędził bardzo miły wieczór. Wspaniałe dzieciaki, pomyślała.

- Cieszę się, synu - powiedział Wolf i ujął Mary za rękę.
- Pora iść spać, ty też się kładź.

Wyszli z kuchni. Mary była szczęśliwa, bo obaj mężczyźni, których kochała byli bezpieczni. To było piękne uczucie, teraz mogła już spać spokojnie, przynajmniej tej nocy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przyszło lato i zakończył się rok szkolny. Mary była bardzo dumna ze swoich uczniów, wszyscy zdali i wszyscy mieli dobre stopnie. Kilka osób z najstarszej klasy wybierało się do college'u, a to zawsze cieszy nauczyciela.

Dla Joego jednak nie był to okres odpoczynku. Mary doszła do wniosku, że przydałyby mu się korepetycje z wyższej matematyki. Tak długo więc szukała, aż znalazła nauczyciela z odpowiednim wykształceniem w miasteczku oddalonym o siedemdziesiąt mil. Trzy razy w tygodniu Joe jeździł tam na korepetycje. Poza tym, oczywiście, nie przzerwali swoich lekcji. Teraz już rzadko kiedy opuszczała wzgórze i rzadko kiedy widywała kogokolwiek poza Wolfem i Joem. Tu, na wzgórzu, czuła się bezpieczna nawet wtedy, kiedy żadnego z nich nie było w pobliżu. Od napadu minęły zaledwie niecałe trzy tygodnie, a jednak miała wrażenie, że było to dawno temu. Koncentrowała się zresztą na dniu codziennym, a jej terażniejszością był Wolf i to on zdominował jej myśli. Całkowicie. Uczył ją jeździć konno, opiekować się zwierzętami, a jego wskazówki były tak trafne, że Mary nie mogła się wprost nadziwić. To tak, jakby czuł, co kiedy należy powiedzieć, by rozwiązać czyjeś wątpliwości i zniwelować strach. Dotyczyło to chyba jeszcze bardziej koni niż ludzi. Dla

niej jednak był niezwykle czuły. Kochali się każdej nocy, czasem nawet dwa razy.

Lato w Wyoming, w porównaniu z Savannah, było suche i chłodne. W tym roku rozpoczęło się jednak falą niespotykanych tu dotąd upałów. Niektórzy nawet się śmiali, że to ona przywiozła ze sobą do Ruth tyle słońca.

Mary włożyła przewiewną spódnicę i bluzkę i poszła poszukać Wolfa. Znalazła go w stajni, stał przed młodą klaczą - jej klaczą - która miała spętane przednie kopyta, i czułe do niej przemawiał. W tym czasie jego ogier czynił próby, żeby ją pokryć. Trwało to jeszcze dobrych kilkanaście minut. Cały czas nie odzywała się, po prostu stała i patrzyła. Kiedy było już po wszystkim, Wolf wciąż jeszcze czule gładził klacz po pysku i szeptał jej coś do ucha.

- Związałeś ją! - powiedziała z wyrzutem w głosie.

- Nie związałem, tylko spętałem, a to różnica.

- Ale ona nie mogła się bronić, nie mogła uciec. - Mary nie dawała za wygraną.

- Nie martw się o nią, gdyby nie była gotowa, kopnęłyby go tylnymi kopytami tak, że odeszłyby mu na wszystko ochota. - Raz jeszcze klepnął klacz po szyi i podszedł do Mary. - A więc wygląda na to, że wszystko jest w porządku, zgadza się, dziewczyno? - Pocałował ją mocno i wrócił do klaczy. Rozpętał jej przednie nogi i zaprowadził do boksu. Nalał jej świeżej wody, dał trochę owsa i klepnął z czułością.

- Ale to wyglądało tak... - powiedziała zniżonym głosem - to wyglądało, jakby...

- Cicho... - podszedł do niej i objął ją czule. - Konie to nie ludzie. Przeraziło cię pewnie, że tak rzą, ale to oznaka, że są zadowolone. Wierz mi, że jeszcze więcej napędziłyby ci stracha, gdyby robiły to na wolności. Wtedy kopią się i gryzą.

- Tak, ale... - zawiesiła głos. Sama nie wiedziała o co jej tak naprawdę chodzi. Po prostu źle jej się to skojarzyło.

- Wiem - szepnął jej do ucha - wiem, co czujesz, wiem, z czym ci się to skojarzyło i wiem, że nie możesz o tym zapomnieć. - Objął ją i mocno do siebie przytulił. Czuł, jak jej ciało odpręży się w jego objęciach.

Uniosła do góry głowę.

- A teraz mnie pocałuj - powiedziała, chcąc przełamać swój dziwny nastrój. - Boże, ale ja stałam się bezwstydną, ciotka Ardith na pewno by się mnie wyrzekła.

- Zdaje się, że ta ciotka Ardith była...

- Była cudowna - nie pozwoliła mu dokończyć.

- Możliwe, ale bardzo staromodna. Na przykład wiemy już, że porządne dziewczęta nie noszą szortów. A ty, ty jesteś wyjątkową bezwstydnicą... - Nachylił się i pocałował ją. Poczul gorącą falę podniecenia, która przeszła go niczym strzałą. Wiedział jednak, że teraz musi nad sobą zapanować, bo miał coś o wiele ważniejszego do zrobienia, coś, co pozwoliłoby Mary zapomnieć na zawsze o tym panicznym, niekontrolowanym strachu. Ujął jej dłonie, unióś do góry i położył je na swoich policzkach.

- Czy chciałabyś spróbować zrobić coś, co pozwoliłoby ci na zawsze pokonać lęk?

- Co takiego? - zapytała ze strachem w oczach.

- W takich przypadkach należy powrócić do wydarzeń i jakby przeżyć je na nowo, rozumiesz? Moglibyśmy przeanalizować tamten dzień i odegrać jeszcze raz całą napaść.

Wpatrywała się w niego, nie kryjąc swego zaskoczenia. Trochę ją przeraził, ale w jego propozycji było coś intrygującego. Nienawidziła wspominać tamtego dnia, jednak nie chciała już dłużej się bać.

- A dokładniej, co masz na myśli? - zapytała.

- Będiesz mi uciekać, a ja spróbuję cię złapać...

- On mnie nie gonił, tylko zaszedł od tyłu i przycisnął mi ręką usta, tak, że nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

- Też to zrobię.

- Ale przecież będę wiedziała, że to ty.
- To nie szkodzi.
- A potem pchnął mnie i upadłam twarzą do ziemi, i czułam na sobie ciężar jego ciała, ocierał się o mnie... - dodała z obrzydzeniem.

Wolf zacisnął na chwilę zęby.

- Jeżeli będziesz chciała, i to zrobię.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Tak, zrób to, kochaj się tak ze mną - wyszeptwała z pożądaniem.

- A co będzie, jeśli się przerazisz?

Jej oczy zwęziły się, a wzrok stał się na chwilę lodowaty.

- Nie przestawaj - powiedziała z determinacją.

- Więc uciekaj! Teraz! - krzyknął, wiedząc, że jeśli postoją tak jeszcze chwilę, być może Mary się rozmyśli.

Ona jednak nie ruszyła się z miejsca. Wpatrywała się w niego i nawet nie drgnęła.

- Teraz? - zapytała zdziwiona.

- Tak, właśnie teraz. Musisz uciekać, bo jak inaczej mam cię gonić...

Miała tak po prostu zacząć przed nim uciekać? -Zrobiło się jej jakoś głupio, poczuła się jak przerośnięte dziecko, które ma bawić się w berka.

Zauważył, że dopadły ją wątpliwości.

- Pomyśl sobie, że jak cię złapię, to zedrę z ciebie ubranie i będę się z tobą kochał tak, jak jeszcze nigdy tego nie robiłaś. Myśl tylko o tym - szepnął namiętnie.

-A teraz biegnij... - Lekko popchnął ją do przodu, licząc na to, że będzie to dobry impuls, żeby rozpoczęła całą zabawę.

I faktycznie, trochę się jeszcze ociągała, ale po chwili ruszyła przed siebie. Biegła coraz prędezej, nie obierając żadnego określonego kierunku, po prostu byle prędezej i byle dalej. Słyszała jego okrzyki za sobą i jego kroki. Roześmiała się, ale również obleciał ją jakiś dziwny strach. Przyspieszyła jeszcze

bardziej, dając z siebie wszystko, mobilizując swoje siły. Postanowiła dużym łukiem zawrócić do domu, wiedziała jednak, że szanse na powodzenie tego planu są niewielkie. Był od niej dużo szybszy i do tego miał o wiele lepszą kondycję. Czowała, że słabnie, jego kroki słyszała już tuż za sobą.

- Zaraz cię będę miał! - krzyknął i w tym samym momencie poczuła jego silną dłoń na swoim ramieniu.

Schwycił ją mocno, najchętniej zdarłby z niej bluzkę i spódnicę i wziąłby ją natychmiast. Wiedział jednak, że musi zapanować nad sobą, że musi spróbować jej pomóc, jakoś wyleczyć ją z koszmarów, które wciąż jeszcze nie dawały jej w spokoju zasnąć.

Przelotnie spojrzeli na siebie, ciężko dysząc. Mary wiedziała, że jej nie skrzywdzi, a jednak jakiś zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Coś w tym było, coś, co przywiodło jej na myśl tamtego mężczyznę. Trzymał ją w mocnym uścisku, tak że nie mogła się poruszyć i ogarnęła ją jakaś bliżej nieokreślona panika.

- Starczy już - powiedziała - przerwijmy tę głupią zabawę, mam dosyć.

- Nic z tego, złapałem cię i należysz do mnie. - Podtrzymując ją, delikatnie pchnął ją przed siebie i po chwili leżała twarzą do ziemi, jak wtedy.

Nie miała żadnych szans, wiedziała o tym. Czowała na sobie jego znajomy oddech, ale nie widziała go i to czyniło całą zabawę zdecydowanie bardziej skomplikowaną, niż się spodziewała. Zaczęła się wyrwać, miotła się pod nim jak osaczone zwierzę, drapała go i kopała. Zaczęła krzyczeć.

- Uspokój się, kochanie - szepnął - uspokój się, przecież wiesz, kim jestem. Już dobrze, już cicho, to ja, spokojnie - szeptał bezustannie - to ja.

W końcu przestała się rzucać i ucichła. Ukryła twarz w trawie i zaczęła płakać. Całował ją czule i pieścił, gładził jej plecy i szyję.

- Już lepiej, kochanie, lepiej
- Przepraszam - szepnęła. - Tak się przeraziłam...
- Wiem, nie przepraszaj, to ja przepraszam, ale to nie koniec. Teraz uważaj...

Uniósł się i zadarł jej do góry spódnicę. Poczuela, jak zdziera z niej bieliznę.

- Nie! - krzyknęła. - Nie, Wolf, proszę... - Czuela się dokładnie tak, jak wtedy, całkowicie bezradna, bezsilna. Niby był to Wolf, ale przecież nie widziała go; znała ten głos, te ręce, te usta, ale nie widziała go.

Chciała mu się wyrwać, trzymał ją jednak mocno jedną ręką, a drugą odpinał spodnie. Słyszała szcęk paska, a potem rozsuwający się suwak.

- Coś ci to przypomina, prawda? - Ale wiesz dobrze, że to ja, Wolf, że nie zrobię ci krzywdy, bo cię kocham. Nie musisz się bać. - Jego głos stał się ochryply, czuela, że jest silnie podniecony.

- Nie chcę! - Szarpnęła się mocno. - Nie podoba mi się ta zabawa, skończ to!

- Jeszcze chwila, zaraz skończę. Zaraz i tobie się spodoba. Zobaczysz, będzie ci dobrze, jeszcze chwila cierpliwości.

- Nie chcę - jęknęła - nie chcę się tutaj z tobą kochać.

- Dobrze, nie zrobię niczego, czego nie będziesz chciała, ale daj sobie tę szansę, rozluźnij się, pozwól mi działać.

Przerażenie nieco ustąpiło, wiedziała, że nigdy nie zrobiłby jej nic złego. To był Wolf, mężczyzna, którego kochała i wiedziała, że w jego ramionach jest bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej.

Zaczął delikatnie całować jej kark i ramiona, lekko pocierać biodrami o jej nagie pośladki.

- Dobrze ci? - zapytał po chwili.

W odpowiedzi usłyszał cichy pomruk.

- Więc dobrze...

Mocniej przywarł biodrami do jej ciała, a jego ręce już nie trzymały jej w uścisku, lecz pieściły ją coraz intensywniej, aż zaczęła rytmicznie poruszać całym ciałem i ciężko oddychać.

- Zrób to - wyszeptała - zrób to teraz...

Obudziło ich silnie prażące słońce. Otworzyła oczy. Niebo było cudownie błękitne, bez najmniejszej chmurki. Wokół unosił się świeży zapach młodej trawy. Leżała na rozgrzanej ziemi, obok tego cudownego mężczyzny, który sprawił, że przerażające wspomnienia zostały zastąpione przez cudowne i podniecające. Tak się jeszcze nigdy nie kochali, z taką furią i z tak bezgranicznym oddaniem. A może nosi już w sobie jego dziecko, pomyślała nagle, przecież nigdy nie myśleli o tych sprawach, nigdy nie kiwnęli nawet palcem, żeby się zabezpieczyć. Ale nie miało to przecież żadnego znaczenia, nawet gdyby ich związek nie przetrwał, pragnęła mieć z nim dziecko. Poczuła, że dopiero wtedy byłaby w pełni szczęśliwa. Odwróciła się do Wolfa i szepnęła:

- Strasznie praży słońce, chyba nie chcesz, żebyśmy dostali porażenia?

- Ależ skąd.

Zapiął spodnie, wsunął jej majtki do kieszeni i wziął ją na ręce.

- Pójdę sama - zaprotestowała, ale już po chwili zaplotła ręce na jego szyi.

- Pozwól mi się zanieść... Nie ma nic bardziej romantycznego na świecie niż... wejść do domu z kobietą na rękach, zanieść ją do sypialni i tam kochać ją do utraty zmysłów.

- Przecież przed chwilą się kochaliśmy!

- I co, myślisz, że dam ci spokój? - Jego oczy płonęły, a głos drżał. - Jesteś teraz zdana na moją łaskę i niełaskę - szepnął.

Wolf wszedł do sklepu, czując na sobie czyjeś lodowate spojrzenie. Wiedział, że jest obserwowany, jednak nie zatrzymał się ani nawet nie spojrzał w tamtą stronę. Szybkim krokiem minął kilka regałów i przywarł do ściany. Czuł skok adrenaliny, czuł, jak krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach. Oczy wszystkich obecnych skierowały się na niego. Zupełnie to zignorował. Automatycznie dotknął ręką miejsca, gdzie jeszcze kilka lat temu wisiał na jego szyi nóż. Dopiero gdy pod ręką poczuł jedynie koszulę, zdał sobie sprawę, że tamte czasy minęły bezpowrotnie. Dobrze jednak wiedział, czuł zagrożenie przez skórę, że gdzieś w pobliżu jest ten szaleniak i nienawistnie śledzi każdy jego ruch.

Bez zastanowienia zdjął kapelusz i buty, musiał stać się niemal niewidzialny, poruszać się całkowicie bezszelestnie. Minął bez słowa grupkę zdziwionych ludzi, którzy przyglądali mu się z ciekawością.

Dotarł do niego tylko jeden głos, który zapytał:

- Co się dzieje?

Nie odpowiedział. Wydostał się na zewnątrz tylnym wyjściem i bezszelestnie, z kocią gracją, przemykał się między budynkami w poszukiwaniu swego przeciwnika. Był przy tylnej ścianie apteki, gdy posłyszał nagle czyjeś ciężkie kroki i głośny oddech. Obiegł dokoła budynku i widząc na piasku świeżo pozostawione odciski, przykląkł na chwilę. Krew zawrzała w jego żyłach. To był ten sam odcisk, te same buty, ten sam człowiek! Ruszył pędem w pościg, nie bacząc już na to, by być niezauważonym. Rozejrzał się po chwili na wszystkie strony, ale ulica była pusta, po nikim ani śladu. Przystanął i zaczął nasłuchiwać, ale do jego uszu dochodziły tylko ptasie trele, żadnego przyspieszonego oddechu, żadnego odgłosu kroków, nic.

Wolf spojrzał na pustą ulicę, której pobocza obsadzone były drzewami i zaklął pod nosem. Mógł zniknąć w każdym z tych domów, pomyślał. Jedno było pewne: napastnik był amatorem,

widać to było po wszystkich szczegółach, a do tego był nieporadny i nie miał kondycji, no i oczywiście, zgodnie z tym, co przypuszczali, mieszkał w Ruth. Właśnie, oba napady miały miejsce w samym środku miasta, a zatem przypuszczalnie i napastnik musiał gdzieś tu mieszkać. Kto ma z tych ludzi piegowate dłonie... Czas jakiś zastanawiał się nad tym, lecz po chwili poddał się, nikt taki nie przychodził mu na myśl. Był jednak głęboko przekonany, że go dopadnie, choćby miał eliminować jednego po drugim.

W jednym z domów poruszyła się firanka i przy oknie stanął mężczyzna. Ciężki oddech wciąż utrudniał mu koncentrację, ale przez niewielki prześwit dojrzał potężnego Indianina, który stał pośrodku ulicy i lustrował dom po domu. Kiedy spojrzenie ciemnych jak noc oczu przesunęło się po jego oknie, cofnął się automatycznie w głąb pokoju. Przerazał go własny lęk i tylko on wiedział, jak bardzo nie chciał bać się tego Indianina, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Cholerny brudas - szepnął pod nosem. - Cholerny brudas i paskudny morderca.

Ludzie mówili, że taki to zna więcej sposobów na zabijanie niż zwykły człowiek mógł sobie wyobrazić. A poza tym wiadomo, jak te brudasy potrafią zabijać bezszelestnie i bez pozostawiania jakichkolwiek śladów. Najwyższa pora, żeby zlikwidować taką kanalię, pomyślał, i tego jego chłopaka. Ale strach go paraliżował i w obawie przed własną śmiercią bał się choćby do nich zbliżyć. Najprościej byłoby go odstrzelić jak wściekłego psa. Na taki właśnie los zasłużył, ale skąd tu wziąć karabin? Głupio by było teraz właśnie kupować broń. Tak, tak, to byłoby wielce nierozsądne. Przynajmniej trochę się na nim zemścił, przez te durne kobiety... Jak mogły nie brzydzić się jego plugawą, indiańską krwią! On i przystojny... A niech to szlag, psia krew... Zeszmaciły się. Ta nauczycielka jeszcze bardziej niż Kathy. Jakim cudem przekonała ludzi, że ten mały

bękart jest jakiś wyjątkowy? Na studia mu się zachciało, śmieciowi jednemu. Z nią nie poszło mu tak gładko. Gdyby nie ten glina, zrobiłby jej to samo, co tamtej. Dopiero miałaby za swoje. Z podniecenia zaczęły trząść mu się ręce, jeszcze lepiej by jej dogodził, uśmiechnął się pod nosem i oblizał usta. Tak by jej dał popalić, że nigdy więcej nie zadawałaby się z brudasami. Jeszcze da jej lekcję, jeszcze im wszystkim pokaże. Podobno odstawili ją gdzieś, w jakieś bezpieczne miejsce, ale jeszcze ją dorwie. Niech tylko zacznie się nowy rok szkolny, to zobaczą. I ta głupia Pam też, jej też należy się nauczka. Podobno poszła z tym małym brudasem na tańce... On już dobrze wiedział, co to znaczy. Jego śmierzące ręce obmacywały ją w tańcu, a kto wie, co było potem. Może się z nim nawet puściła, gówniara jedna. Co za dziwka, zasługiwała na taką samą lekcję, jak tamte.

Jeszcze raz zerknął przez okno. Indianina już nie było, poczuł się więc znowu bezpieczny i natychmiast przystąpił do układania szczegółowego planu działania.

Kiedy Wolf wrócił do sklepu, ci sami ludzie, co przedtem, wciąż tam jeszcze stali i gestykulując, rozmawiali ze sobą.

- Nie podoba nam się, że śledzisz ludzi jak kryminalistów - powiedział jeden z mężczyzn.

Wolf nie odpowiedział. Wzruszył ramionami i usiadł pod ścianą, żeby włożyć buty. Nie zwracał uwagi, czy patrzą na niego, czy nie.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Słyszałem.

- I co?

- I nic.

- Patrz na mnie, jak ze mną rozmawiasz.

- Nasze kobiety się niepokoją - odezwał się inny męski głos.

- I słusznie, uważajcie na nie dobrze, nim przytrafi im się coś złego.

- To nie był nikt z Ruth, to był jakiś śmieć, który przyjechał tu, zrobił swoje i zniknął. I nikt go nigdy nie znajdzie.

- To prawda, to jest śmieć i, niestety, tu mieszka. Znalazłem jego ślady.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Eli Baugh odchrząknął nerwowo.

- Mamy uwierzyć, że... że zrobił to ten sam mężczyzna?

- To jest ten sam mężczyzna, czy się to komuś podoba, czy nie, i do tego mieszka w jednym z tych domów nieopodal apteki.

- Trudno w to uwierzyć. Mieszkamy tu wszyscy od tylu lat, niektórzy od urodzenia, i dlaczego ten ktoś miałby nagle atakować nasze kobiety?

- To nie jest jeszcze do końca jasne, ale pewne jest, że zamierzam go złapać - powiedział, skinął głową i wyszedł ze sklepu.

W Ruth już nieco osłabła atmosfera paniki. Mijały tygodnie, a w miasteczku panował spokój; nic złego nie przytrafiło się żadnej kobiecie.

Zbliżał się termin kolejnej potańcówki, na którą Pam ponownie zamierzała zaprosić Joego. Postanowiła kupić sobie na tę okazję nową sukienkę. I choć wiedziała, że Joe już wkrótce wyjedzie z Ruth, to jednak nie mogła sobie tego odmówić; było w nim coś takiego, że nawet na wspomnienie o nim zaczynało szybciej bić jej serce. Nie chciała się zakochać, o nie, nikt potem nie byłby w stanie go zastąpić. Ale na razie jeszcze tu był i postanowiła każdą wolną chwilę spędzić z nim. Obiecała jednak Joemu, że nie będzie sama wychodzić z domu. Czekala więc cierpliwie, aż wróci mama i postanowiła, że poprosi ją, by pojechała z nią do sklepu i pomogła jej kupić

nową sukienkę. Oczywiście nie w Ruth, ale w jakimś większym mieście.

Pam wzięła książkę i wyszła na taras. Rozejrzała się dokoła. Wszędzie panował spokój. Zresztą po obu stronach mieszkali ich dobrzy znajomi, nie czuła więc najmniejszego lęku. Położyła się na huśtawce ogrodowej i zagłębiła w lekturze. Nawet nie spostrzegła, kiedy zamknęły jej się oczy i zasnęła.

Obudziło ją ostre szarpnięcie. Przestraszona otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą zamaskowaną twarz, z której wyzierały jedynie przepełnione nienawiścią oczy. Krzyknęła z przerażenia. Napastnik zamierzył się, żeby ją uderzyć w głowę, ale w ostatniej chwili zdołała się uchylić przed ciosem i pięść trafiła ją w ramię. Wrzasnęła z całych sił i próbowała go kopnąć, ale chwycił ją za nogę i oboje przewrócili się na ziemię. Przez chwilę szamotali się ze sobą i w pewnej chwili udało jej się "kopnąć go z takim impetem w żołądek, że zawył jak pies, a ona w tym momencie zdołała się uwolnić z jego rąk. Tak przerażona nie była jeszcze nigdy w życiu. Zamiast uciekać, stała na środku tarasu i nie przestawała krzyczeć, darła się po prostu na całe gardło, nie rozumiejąc, dlaczego nikt nie przychodzi jej z pomocą. Napastnik szybko się pozbierał i jednym susem ją dopadł, brutalnie przewracając na ziemię. I znów zaczęła się gwałtowna szamotanina. Usłyszała, jak któryś z sąsiadów woła coś do niej. Natychmiast jeszcze głośniejsze zaczęła wzywać pomocy. Wtedy napastnik puścił jej nadgarstki i rzucił ochryplym szeptem:

- Ty brudna indiańska dziwko, jeszcze mnie popamiętasz!

Poderwał się z ziemi i uciekł. Pam zdążyła tylko zauważyć, jak spod jego kominiarki spływa na szyję krew. Widocznie podczas walki musiała trafić go w usta lub w nos.

Czas jakiś leżała na werandzie, głośno łkając. W końcu zebrała w sobie siły, by raz jeszcze zawołać na całe gardło:

- Pomocy!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tym razem Wolf nie był zaskoczony, gdy zobaczył Claya parkującego przed domem. Od wczoraj nieustannie prześladowało go przeczucie, że coś wkrótce się wydarzy, coś, co być może wyjaśni całą sprawę. Clay wyglądał na bardzo zmęczonego, tak więc Mary automatycznie sięgnęła do szafki po kubek. Szeryf przecież nigdy nie odmawiał kawy.

Wszedł do środka i ciężko westchnął. Od razu było jasne, o co chodzi.

- Kto tym razem? - zapytał cicho Wolf.

- Hearst, Pamela Hearst - wyrzucił z siebie ciężko i opadł na krzesło. Wyglądał tak, jakby uszło z niego powietrze.

Joe aż podskoczył, kiedy usłyszał tę straszną wiadomość. Zerwał się na równe nogi.

- Możesz być spokojny, na szczęście nic jej się nie stało - zwrócił się do Joego. - Broniła się jak lwica, jest trochę podrapana i posiniaczona, ale nic jej nie zrobił. Długo nie

mogła się uspokoić, była skrajnie wyczerpana i bardzo przerażona. Wiesz, coś w rodzaju szoku.

- Miała nie wychodzić sama z domu - westchnął ciężko Joe.

- Nie wyszła. Napastnik zaskoczył ją na tarasie jej domu. Położyła się na ogrodowej huśtawce z książką i zasnęła.

Twarz Joego zrobiła się blada jak kreda.

- Rany boskie, wyobrażacie to sobie! To musiało być straszne... - jęknęła Mary.

- Pani Winston, sąsiadka Hearstów, usłyszała jej krzyk i podniosła alarm, a wtedy ten bandzior przestraszył się i uciekł - kontynuował Clay. - Pam powiedziała, że musiała kopnąć go w twarz, bo jego kominiarka przesiąknięta była krwią. Widziała też krew na jego szyi.

- Jestem pewien, że ten drań jest stąd, ostatnio znowu znalazłem odcisk jego butów.

- Może, ale to niewiele, trudno byłoby na tej podstawie coś udowodnić. Poza tym tylu ludzi przechodzi ulicami miasteczka dzień w dzień, zdeptuje ślady... - Clay był wyraźnie sfrustrowany. - Sam nie wiem...

- Schronił się w jednym z domów na Bay Road, ale być może tam nie mieszka.

- Bay Road? - Clay zmarszczył brwi i zamyślił się. - Kto też tam mieszka? - zastanawiał się na głos.

- Wielu ludzi, ale może tym razem uda się go złapać. Każdy facet ze spuchniętą wargą lub z rozkwaszonym nosem będzie musiał mieć mocne alibi, bo jeśli nie, to...

- Dzień czy dwa może posiedzieć w domu i opuchlizna zejdzie. A może zostały jakieś ślady krwi na werandzie? - spytał Wolf.

- Nie, nic z tych rzeczy. - Clay przygładził dłonią włosy. - Chcę pogadać z moim przełożonym, żeby wydał zgodę na przeczesanie całego terenu, dom po domu. Może to przyniesie

jakieś rezultaty, chociaż nie mam pojęcia, kto to mógł być... i kogo szukać.

Nagle Joe wstał i bez słowa wyszedł z domu. Wolf odprowadził go wzrokiem. Dobrze wiedział, co czuł teraz jego syn i rozumiał, że chciałby jak najprędzej znaleźć się blisko Pam. Lecz nie było to takie proste, nie mógł sobie na to pozwolić, niektóre bariery pozostały bowiem jeszcze nietknięte. Joe nadal nie miał wstępu do jej domu.

Clay poczekał, aż drzwi za Joem się zamknęły, po czym krótko omiół wzrokiem twarz Mary i szepnął:

- Ten sukinsyn nazwał Pam brudną indiańską dziwką. Miałaś rację - pokiwał smętnie głową - to o to chodziło cały czas.

Mary nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

- Z pewnością wokół domu Hearstów kręciło się teraz tyle osób, że wszystkie ślady zostały zdeptane - wymamrotał Wolf.

- Też tak sądzę, całe miasteczko dzisiaj tamtędy przemaszerowało - potwierdził Clay.

- Myślisz, że twój szef da zgodę na przeszukanie terenu?

- Sam nie wiem, to zależy... Na pewno nie wszystkim będzie się to podobało, a w tym roku są wybory...

Nie musiał kontynuować, wszyscy troje wiedzieli, co to oznacza. Mary nadal milczała, zastanawiając się, kto następny padnie ofiarą tego łotra. Czy będzie miał na tyle odwagi, by zaatakować Wolfa albo Joego i z pewnością nie podejmie walki wręcz, więc co, będzie do nich strzelać? Tego by nie przeżyła. I choć na samą myśl, że ten maniak miałby ją jeszcze raz dotknąć, robiło się jej niedobrze, to jednak nie widziała innej możliwości wypłoszenia go z kryjówki. Musi go zwabić, i w tym celu zacznie jeździć do miasta sama. Nie może siedzieć tu na wzgórzu jak ostatni tchórz, podczas gdy tamten pewnie czyści już karabin. Jediną przeszkodą był Wolf, który nigdy w życiu nie zgodzi się na jej plan. Wiedziała, że stać go

na wiele, że mógłby posunąć się nawet do tego, że uszkodzi jej samochód lub zamknie ją w łazience. Za wszelką cenę zechce ją powstrzymać. Zdarzało się jednak od czasu do czasu, że zostawała sama i wtedy nic nie stało na przeszkodzie, żeby się wymknąć. W tym była jedyna nadzieja, choć wiedziała, że to niezbyt rozsądne.

Wyszła na dwór, by odnaleźć Joego. Stał na werandzie z rękami wciśniętymi w kieszenie, zapatrzony w dal. Nie poruszył się nawet wtedy, kiedy podeszła bliżej.

- To nie twoja wina - szepnęła - wiedziałam, że tak będzie, ale przecież nie możesz czuć się odpowiedzialny za cudzą nienawiść.

- Ale mogę być odpowiedzialny za siebie, po tym wszystkim było jasne, że będzie następna w kolejce. Powiniennem był trzymać się od niej z daleka.

Mary westchnęła ciężko. Dobrze wiedziała, co teraz czuje Joe.

- Przypomnij sobie jednak, że to nie była twoja decyzja, to Pam zdecydowała o biegu wydarzeń. Pamiętasz? Przecież wszystko zaczęło się od tej sceny w sklepie. Nie miałeś na to wpływu...

- Ale wszystko, czego Pam chciała, to pójść ze mną na tańce. Tylko tyle.

- No i to w zupełności wystarczyło. Rozumiesz, o co tu chodzi? To czysta forma nienawiści i trudno coś na to poradzić. Trzeba by było zmienić sposób myślenia tego typu ludzi, ale wierz mi, to nie takie proste. Ich mentalność jest chora, powinno się ich leczyć. Zresztą oni sami jako pierwsi padli ofiarą swoich poglądów. Są na pewno bardzo nieszczęśliwi. Nienawiść zawsze unieszczęśliwia.

Joe uśmiechnął się pod nosem. Pomyślał, że miejsce Mary jest w Kongresie. Zamiast tego, dziwnym trafem wylądowała w Ruth, w stanie Wyoming, i zrozumiał, że odkąd Mary Potter

postawiła na tej ziemi swoją stopę, w jego życiu już nic nie będzie takie samo jak przedtem, kiedy nie było tu Mary.

- Być może, że za bardzo się obwiniam, ale wiem, że to nie było z mojej strony najmądrzejsze, że zgodziłem się na to wspólne wyjście. Gdybym wtedy odmówił, na pewno to wszystko by się nie wydarzyło. I w tym sensie jest to moja wina, ale... ale tak bardzo chciałem choć raz się z nią umówić. Właśnie, raz, bo ja przecież wyjadę i kto wie, kiedy i czy w ogóle wrócę. Pam powinna spotykać się z kimś innym.

- Przecież Pam dobrze o tym wszystkim wie, chciała wyjść właśnie z tobą, podjęła to ryzyko. Pozwól jej zdecydować o własnym życiu. A poza tym, czyżbyś miał zamiar unikać dziewcząt do końca swoich dni?

- Nie wybiegałem myślami aż tak daleko, ale nie zamierzam się z nikim wiązać.

Mówił jak jego własny ojciec.

- Może i nie zamierzasz, ale weź pod uwagę, że interesowałeś się Pam, jeszcze zanim zaczęła się z nią spotykać.

Westchnął ciężko.

- To prawda, ale nie kocham jej.

- To oczywiście, jesteś jeszcze bardzo młody.

- Lubię ją, naprawdę, i martwię się o nią, ale nie aż tak bardzo, żebym miał się wyrzec swoich planów. - Spojrzał w niebo i oczami wyobraźni widział, jak leci, jak z łoskotem przecina błękit nieba i pozostawia za sobą białą smugę, jak przelatuje ponad chmurami, ponad bezkresną wodą... - Nie, nie potrafiłbym z tego zrezygnować - dodał na głos.

- I Pam wie o tym?

- Tak, oczywiście.

- A więc to jej świadoma decyzja, nie zadręczaj się tym dłużej. Widocznie tak bardzo chciała pójść tam z tobą, jak ty z nią. Oboje chcieliście tego samego, zdając sobie sprawę z realiów, i niech tak zostanie... -Umilkła.

Stali tak jeszcze jakiś czas, zapatrzeni w niebo, w lśniące na nim gwiazdy. A były ich tysiące...

Widzieli, jak Clay wsiadł do samochodu i odjechał. Po chwili na werandzie pojawił się Wolf. Podszedł do Mary i mocno ją przytulił, a syna poklepał przyjacielsko po ramieniu.

- Złapiemy tego drania, zobaczysz, synu - powiedział, a w jego oczach widoczna była niepokromiona wściekłość.

Joe już widywał u ojca to spojrzenie. Nie życzyłby nikomu, a przede wszystkim wrogowi, żeby w takim momencie wpadł w ręce Wolfa.

- Wejdźmy do środka - zaproponowała Mary.

Wolf ujął ją za rękę i lekko pociągnął za sobą.

Wiedział, że Joe powinien teraz zostać sam, by uporać się ze swoimi myślami.

Następnego poranka, przy śniadaniu, Wolf ustalał z Joem plan dnia. Nie musieli od nikogo odebrać koni i postanowili, że całe przedpołudnie poświęcą własnemu stadu. Mary nie wiedziała do końca, co to oznaczało, ale wyglądało na to, że zajmie im to sporo czasu.

Spostrzegła, że ta ostatnia noc zmieniła Joego, jakby jeszcze bardziej wydorósł. Był bardzo poważny i skupiony w sobie. Niezbyt skory do żartów. Wiedziała, że już od dziecka musiał borykać się z problemami, które go przerastały. Przerosłyby i niejednego dorosłego człowieka, a co dopiero młodego chłopaka. Teraz trudny problem dotknął również dwie młode dziewczyny - Kathy i Pam. Obie były tylko nastolatkami. Ona dobiegała już trzydziestki, a przecież ten okropny napad pozostawił w jej psychice ślady, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. Za wszelką cenę należało więc powstrzymać tego szaleńca, by nie uczynił jeszcze większego zła.

Odczekała, aż Wolf i Joe zniknęli za horyzontem, bo nie chciała przecież, żeby usłyszeli, jak odjeżdża samochodem. Właściwie nie miała żadnego konkretnego planu, zamierzała pokręcić się trochę po Ruth, stać się widoczna dla

mieszkańców. Miała nadzieję, że w ten sposób uda jej się ściągnąć na siebie uwagę napastnika i być może sprowokować go do kolejnego ataku. I co wtedy? Tego jeszcze nie wiedziała; wiedziała tylko, że musi być jakoś przygotowana, że nie może iść tak po prostu na żywioł. Ktoś musi z nią współdziałać, najlepiej by było, gdyby ten ktoś obserwował całe zajście i w razie potrzeby uderzył. Na jej szczęście ten draft był bardzo nieostrożny, atakował w biały dzień, na otwartej przestrzeni, jakby wiedziony nagłym impulsem. I w tym była jej cała nadzieja, że znowu da się ponieść emocjom i w swojej głupocie popełni błąd.

Zauważyła, że jej dłonie, które spoczywały teraz na kierownicy, drżą. Po raz pierwszy od czasu napadu poczuła się znowu naga, jakby ktoś bezpardonowo zerwał z niej ubranie. Wiedziała, że nie wolno jej działać w pojedynkę, że musi znaleźć kogoś, kto będzie ją ubezpieczał; kogoś, komu ufa. Sharon? Nie, nie nadawała się, za delikatna. Beecham? Gdyby była tylko młodsza... Cicely Karr była zbyt nerwowa, zbyt histeryczna. Z jakiegoś nieznanego sobie względu mężczyzn w ogóle nie brała pod uwagę. Nagle pomyślała o Pam. Ona z pewnością świetnie nadawałaby się do tego zadania. Była młoda i odważna. Skoro stać ją było na to, by publicznie sprzeciwić się ojcu i wziąć w obronę Wolfa i Joego, to z pewnością sprostałaby i tej sytuacji. Tym bardziej że przecież i ją zaatakował, więc powinna chcieć go złapać. No dobrze, ale w jakim jest teraz stanie? Czy szok minął?

Kiedy Mary weszła do sklepu, wszystkie oczy skierowały się na nią i umilkły wszystkie rozmowy. Trochę już do tego przywykła, zignorowała więc tę nieprzyjemną ciszę i podeszła do lady, za którą stał pan Hearst.

- Czy Pam jest w domu? - zapytała cicho. Nie chciała, żeby natychmiast rozeszła się po mieście plotka, że prywatnie spotyka się z córką sklepikarza. Patrzyła mu prosto w oczy i

miała wrażenie, że od tamtej pory, kiedy go ostatni raz widziała, postarzał się o dziesięć lat.

Kiwnął głową. Pomyślał, że skoro pannie Potter przytrafiło się coś takiego jak Pam, to może będzie w stanie pomóc jego małej córeczce. Fakt, że nie zawsze się z nią zgadzał, ale przecież zawsze ją szanował, i wiedział, że Pam ją wręcz ubóstwia.

- Byłabym zobowiązana, gdybym mogła z nią porozmawiać - dodała.

Hearst raz jeszcze kiwnął głową i szepnął:

- Dziękuję. - Jego twarz przypominała kredowobiałą maskę.

Mary właśnie się odwróciła i ruszyła w stronę drzwi, kiedy wpadła wprost na Dottie.

- Dzień dobry - bąknęła Dottie.

Mary zauważyła, że i ona dziwnym trafem zdawała się postarzeć, jakby i jej dotyczyła cała ta sprawa. Twarz miała wymiętą i bladą.

- Dzień dobry - odpowiedziała. Już miała iść dalej, kiedy Dottie zapytała:

- Jak się masz? Nie wyczuła tym razem tej niechęci w jej głosie, która zawsze ją tak drażniła. Czyżby całe miasto zmieniło swoje nastawienie do niej i do tej sprawy? Może ten koszmar uświadomił im, że to nie kolor skóry decyduje o wartości ludzi.

- Dziękuję, u mnie wszystko w porządku. W końcu mamy wakacje. A jak się miewa twój syn? - W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć jego imienia, a to nie było w jej stylu. Zwykle nigdy nie zapominała imion. Ku jej zaskoczeniu Dottie stała się w jednej chwili biała jak kreda.

- A... a dlaczego o niego pytasz? - wyjąkała.

- Gdy go widziałam ostatni raz, wyglądał na zdenerwowanego - odparła Mary.

- W zasadzie ma się dobrze, ale rzadko kiedy wychodzi z domu. Jakoś nie lubi... - urwała nagle, rozejrzała się nerwowo dokoła i rzuciła szybko: - Przepraszam, ale muszę już iść. - I wyszła ze sklepu, zanim Mary zdążyła zapytać ją o cokolwiek innego.

Mary spojrzała na pana Hearsta i zrobiła zdziwioną minę. On też miał mocno zdziwioną minę, lecz tylko wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

- Pójdę już do Pam - szepnęła, wyszła ze sklepu i ruszyła ulicą w dół.

Na wspomnienie tego, co się wydarzyło, gdy ostatni raz szła przez miasto, wstrząsnął nią lodowaty dreszcz. Nim wsiadła do samochodu, sprawdziła, czy ktoś nie czai się na tylnym siedzeniu. Wtedy spostrzegła Dottie, która szła ze zwieszoną głową, wciśniętą między skulone ramiona. Wygląda jak zbity pies, pomyślała Mary i włączyła silnik. Nagle przebiegła j ej przez głowę zaskakująca myśl. Dlaczego Dottie przechadza się samotnie ulicami miasta, podczas gdy wszystkie inne kobiety nie wyściubiają nosa za drzwi w obawie przed napastnikiem?

Wiedziona nagłym impulsem, zupełnie instynktownie, wolno ruszyła w ślad za Dottie. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, gdy Dottie skręciła na prawo, w ulicę, przy której stała tabliczka z nazwą: Bay Road, i nagle zniknęła jej z oczu. A więc tu gdzieś mieszka? Przecież to tu Wolf stracił z oczu gwałciciela...

W jednej chwili wszystko wydało się Mary jakiejś mocno podejrzanym i niejasnym. A na domiar złego Dottie zachowywała się tak dziwnie... Gdy zapytała ją o syna, skurczyła się jakoś i zmalęła, a potem zaraz wyszła ze sklepu, jakby uciekała. Przed kim? Czyżby.. A Mój Boże! Jakżeż miał na imię jej syn? Ach tak, Bobby, wreszcie przypomniała sobie, właśnie Bobby. Był dziwnym chłopakiem o nieskoordynowanych ruchach... Nagle na myśl o jego wyglądzie oblał ją zimny pot. Zatrzymała samochód. Widziała go tylko jeden jedyny raz. Był duży, miał

włosy koloru piasku i jasną, tak, bardzo jasną karnacją i... mnóstwo piegów. Boże, jęknęła przerażona, czyżby to Bobby napadał na kobiety? Bobby, jedyny chłopak, którego chyba nikt w miasteczku by o to nie podejrzewał.

Nie, na razie nic nie powie o tym Wolfowi, w końcu to tylko jej podejrzenia. Może całkiem niesłuszne, może wcale nie ma racji, może to tylko zwykły zbieg okoliczności?

Stała tak jeszcze kilka minut, gdy nagle drzwi jednego z domków przy Bay Road otworzyły się i pojawił się w nich Bobby. Wyszedł przed dom i patrzył w jej stronę. Dzielilo ich jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Za dużo, żeby dojrzeć jego wyraz twarzy, ale zbyt mało, żeby czuła się bezpiecznie. Nagle ogarnęło ją przerażenie. Gwałtownie przycisnęła pedał gazu i ruszyła z piskiem opon.

Na szczęście dom Hearstów był niedaleko. Wskoczyła z samochodu jak oparzona, jakby była przekonana, że ktoś ją goni, i zaczęła dobijać się do drzwi wejściowych. Boże, muszę zadzwonić do Claya, pomyślała, w końcu to jego praca, niech on się tym zajmie, na pewno lepiej sobie z tym wszystkim poradzi niż ja.

Pani Hearst uchyliła drzwi. Kiedy zobaczyła w nich pannę Potter, natychmiast otworzyła je i widząc jej przerażone spojrzenie, wpuściła ją do środka.

- Panno Potter, czy coś się stało -zapytała zaniepokojona.

Wtedy dopiero Mary zdała sobie sprawę, że musi wyglądać co najmniej dziwnie.

- Czy mogłabym skorzystać z telefonu. To nagły wypadek...

- Oczywiście, proszę.

- O, panna Potter! - W korytarzu pojawiła się Pam.

- Proszę za mną - powiedziała pani Hearst - telefon jest w kuchni.

- Jaki jest numer na posterunek policji?

Pam chwyciła drżącymi rękami książkę telefoniczną i szybko przebiegała wzrokiem kolejne pozycje. Była jednak zbyt zdenerwowana, by skoncentrować się na tej czynności.

- Pokaż - zwróciła się do niej Mary. Pam podeszła i razem wyszukały potrzebny numer.

- Biuro szeryfa, słucham?

- Chciałabym rozmawiać z Clayem Armstrongiem.

- Chwileczkę - usłyszała w słuchawce.

Pani Hearst i Pam stały, nie rozumiejąc, co się dzieje.

- Biuro szeryfa.

- Clay?

- Nie, nie ma go w tej chwili.

- A nie wie pan, gdzie mogę go znaleźć? To ważna sprawa.

- Niestety nie, ale jeśli mi pani powie, o co chodzi, to być może będę mógł... Hej, Armstrong - usłyszała nagle - szuka cię jakaś pani. Chwileczkę, właśnie wszedł - zwrócił się znów do Mary.

Kilka sekund później usłyszała w słuchawce znany sobie głos.

- Słucham, Armstrong.

- Tu Mary, dzień dobry. Jestem w mieście i...

- Czego tam szukasz, do jasnej cholery! Przecież wyraźnie mówiłem...

- Clay, posłuchaj - nie dała mu skończyć - to Bobby, Bobby Lancaster, widziałam go...

Za plecami usłyszała nagle kobiecy krzyk i męski znizony głos:

- Odłóż słuchawkę. Natychmiast!

Przerażona, aż podskoczyła z wrażenia, a słuchawka wypadła jej z dłoni. Oparła się o ścianę. Tuż przed nią stał Bobby z olbrzymim nożem w ręku. Na jego twarzy malowała się nienawiść pomieszana ze strachem.

- Powiedziałas mu - wycodził przez zęby - powiedziałaś. Wszystko słyszałem.

Jego głos brzmiał jak głos zezłoszczonego, rozkapryszonego dzieciaka. Nerwowo przestępował z nogi na nogę, jakby nie wiedział, co ma zrobić. Na jego dolnej wardze widoczna była spora opuchlizna.

Przerażona pani Hearst stała oparta o kuchenne szafki, trzymając rękę na szyi, a Pam znieruchomiała na środku kuchni, blada jak kreda, bojąc się zrobić choćby jeden krok.

Mary starała się za wszelką cenę zapanować nad nerwami, więc szybko zrobiła kilka głębokich wdechów i wydechów.

- To prawda - wzięła jeszcze jeden głęboki wdech i miała wrażenie, że jej oddech powraca do normy - powiedziałam mu. Zaraz tu przyjedzie, więc lepiej uciekaj, ile sił w nogach.

- Za wszelką cenę chciała wyciągnąć go z domu państwa Hearstów, zanim zrobi coś strasznego.

- To wszystko twoja wina! - krzyknął. - Odkąd się tu pojawiłaś, wszystko się pozmieniało... Mama powiedziała mi, że jesteś kochanką tego indiańskiego brudasa! To twoja wina!

- Bobby, szeryf będzie tu za kilka minut. Lepiej stąd wyjdź.

Ale on zacisnął dłoń na nożu i chwycił ją niespodziewanie za ramię. Mary krzyknęła z bólu, kiedy wykręcił jej rękę.

- Będiesz moją zakładniczką, jak na filmie. - Trzymając ją mocno, wypchnął przez tylne drzwi.

Pani Hearst nadal stała jak sparaliżowana, za to Pam chwyciła słuchawkę i wykręciła numer Mackenziech. Nikt nie podchodził do telefonu. Zakłęła siarczyście, wprawiając w osłupienie swoją matkę i już miała odłożyć słuchawkę, gdy nagle usłyszała czyjś głos, bardzo ostry i nieprzyjemny.

- Mary? To ty?

- Nie, nie! Tu Pam - wykrztusiła. - Bobby ma Mary, Bobby Lancaster, to on... Wyciągnął ją z naszego domu. Grozi jej nożem!

- Już jadę - powiedział i rzucił słuchawkę na widełki.

Pani Hearst obserwowała przez okno, jak Bobby ciągnie za sobą Mary. Nagle Mary potknęła się o niewidoczny wśród wysokiej trawy kamień i upadła.

- Wstawaj - syknął.

- Nie mogę, skrzyłam kostkę. - Uciekła się do tego kłamstwa, licząc na to, że może choć trochę zyska na czasie.

Nie zważał jednak na jej słowa, włókł ją dalej, przez łąkę za domem Hearstów, potem przez strumień, aż do najwyższego w okolicy wzniesienia. Nie najlepsze miejsce, ale przecież nie miał żadnego planu, zawsze dotąd działał pod wpływem impulsu.

- Dlaczego powiedziałas mu o tym? - - ryknął.

- Zgwałciłeś Kathy...

- Bo zasługiwała na to - warknął. - Lubiała to indiańskie, diabelskie nasienie - dodał z wyrzutem.

Mary zastanawiała się, za ile minut może dotrzeć tu Clay. Dwadzieścia minut wydało jej się całkiem realne. Ale ile strasznych rzeczy mogło wydarzyć się w tym czasie?

Wolf pokonał odległość dzielącą jego wzgórze od miasta w rekordowym czasie. Obaj z Joem mieli ze sobą strzelby. Ta należąca do Wolfa, to snajperski remington, z którego nie pudrował nawet z tysiąca metrów.

Przed domem Hearstów kłębił się spory tłum. Musieli przedzierać się do przodu.

- Niech nikt się nie rusza z miejsca! - zakomenderował Wolf. - Proszę nie zacierać śladów pozostawionych przez napastnika.

Wszyscy zastygli w bezruchu, tylko Pam pobiegła w ich kierunku. Po jej policzkach spływały łzy.

- Tam ją zaciągnął, na to wzniesienie, w kierunku tych drzew - wskazała palcem.

Rozległo się wycie syren policyjnych, które oznajmiło przybycie Claya. Ale Wolf nie czekał na niego, ruszył przez łąkę w kierunku wskazanym przez Pam. Joe był tuż za nim.

Dottie Lancaster drżała z przerażenia. Wiedziała, że Bobby był winny, ale przecież to jej syn i niezależnie od tego, co zrobił, kochała go ponad życie. Niemal umarła, gdy zdała sobie sprawę, że to właśnie jej syn zaatakował Kathy i pannę Potter, ale sama myśl, że miałyby wydać go w ręce policji i stracić może na zawsze, przerażała ją jeszcze bardziej. Dziś, gdy spostrzegła, że wymknął się z domu, oblała się zimnym potem. Miał ze sobą nóż, wiedziała o tym i wiedziała także, że jeśli nie będzie innego wyjścia, zastrzela go jak psa. Ci Indianie byli już na jego tropie...

Schwyciła Claya za ramię i krzyknęła z rozpaczą:

- Zatrzymaj ich! - I wybuchnęła płaczem. - Nie pozwól im zabić mojego chłopca - błagała - nie pozwól...

Clay jednak nawet na nią nie spojrział, odepchnął jej rękę z obrzydzeniem, jakby strząsał z siebie robaka, i ruszył w ślad za Wolfem. Przyłączyło się do nich także kilku mężczyzn uzbrojonych w karabiny. Zawsze im było żal Bobby'ego, wielu mu współczuło. Ale wyrządził krzywdę ich kobietom i nie było na to usprawiedliwienia, tego nie mogli mu przebaczyć.

Wolf uspokoił oddech. Był już blisko. Nie umknął jego uwagi najmniejszy szczegół, każda złamana trawka, gałązka, każde poślizgnięcie Mary - czytał z tych znaków niczym z mapy. Wyobrażał sobie, jak bardzo jest przerażona, ale wiedział też, że potrafi się bronić, że potrafi być wyjątkowo twarda. Ludzie mówili, że Bobby ma ze sobą wielki nóż. Boże, jeśli zrobi jej krzywdę, to... Wolał o tym teraz nie myśleć. Musiał być całkowicie skoncentrowany i nie mógł pozwolić sobie na żaden błąd. A jednak... nieopatrznie wychylił się zza linii drzew i Bobby Lancaster zauważył ich.

- Zatrzymajcie się, stójcie! - ryknął rozpaczliwie - bo ją zabiję!

Trzymał Mary przed sobą i Wolf dostrzegł, że na szczęście nie była ranna. Złożył się do strzału, ale jeszcze nie po to, by wpakować draniowi kulę w łeb, lecz po to, by ocenić, czy w tych warunkach w ogóle jest to możliwe.

- Bobby! Bobby, syneczku! - usłyszał za sobą głos Dottie.
- Mama?
- Bobby, proszę cię, pozwól jej odejść!
- Nie mogę, ona im powiedziała!

Mężczyźni stanęli półkolem. Niektórzy z nich złożyli się do oddania strzału, choć wiedzieli, że z tej odległości było to zbyt niebezpieczne dla Mary.

Clay spojrział pytająco na Wolfa.

- Jesteś w stanie go dostać?

Wolf odpowiedział tylko ledwie widocznym uśmiechem, a po plecach Claya przeszedł zimny dreszcz.

- Bobby! -krzyknęła Dottie. -Bobby, błagam, puść ją! Zaklinam cię, puść!

- Nie mogę, to jego dziwka, dziwka tego brudnego Indianca, który zabił mojego tatę!

- Bobby, nie! - Ukryła na moment twarz w dłoniach. - To nie on, Bobby, to nie on!

- Jak to nie on, sama powiedziałaś, że to Indianin! - ryknął na całe gardło i zaczął posuwać się dalej, ciągnąc za sobą Mary.

- Teraz - powiedział spokojnie Clay.

Wolf przyłożył karabin i wycelował.

- Poczekaj - usłyszał głos Dottie - błagam, nie zabijaj go! Jest wszystkim, co mam.

- Spróbuję - odparł cicho i złożył się do strzału.

Dzieliło ich jakieś trzysta jardów. Powietrze dosłownie stało w miejscu. Najprościej było celować w głowę, ale ta kobieta... matka... zrobiło mu się jej żal. Strzał musiał być bardzo precyzyjny. Wziął głęboki oddech i lekko pociągnął za spust. W tej samej chwili rozległ się potężny huk, a na ramieniu

Bobby'ego pojawiła się krwista plama. Nóż wypadł mu z ręki, chwycił się za ramię i opadł na kolana. Mieszkańcy Ruth, sami mężczyźni, jak na komendę ruszyli pod górę, a Dottie, płacząc spazmatycznie, ukryła twarz w dłoniach.

Mary natychmiast odskoczyła na bok i poczęła biec w dół. W połowie wzniesienia, zziębnięta, wpadła w ramiona Wolfa. Mocno ją przytulił i nie obchodziło go, co powiedzą na to zebrani wokół ludzie. Była jego, na zawsze, i nie miało znaczenia, co sądzą na ten temat mieszkańcy tego miasteczka.

Teraz, kiedy miała już wszystko za sobą, Mary rozplakała się głośno. Wolf wziął ją na ręce i ruszył w dół.

Wszyscy ukradkiem zerkali na nich, ale nikt nie odezwał się ani słowem. Od dziś, po tym wszystkim, na pewno będą inaczej patrzeć na Wolfa Mackenzie. A może i na innych Indian?

Mary miała przynajmniej taką nadzieję. Zawsze miała nadzieję, że ludzie w Ruth wcale nie są tacy źli...

Kiedy Wolf wsadził ją do swojej furgonetki, nie mruknęła ani słowem, że przyjechała tu własnym samochodem. To było teraz mało ważne.

Ruszyli w stronę wzgórza, ale Wolf odezwał się dopiero, gdy dojeżdżali już do domu. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie. Pewnie dlatego dotąd milczał.

- Co robiłaś w Ruth?

Wiedziała, że ściągnie na siebie całą jego złość, ale musiała powiedzieć mu prawdę.

- Doszłam do wniosku, że to jedyne wyjście, żeby go wywabić z kryjówki.

- No to ci się świetnie udało. A swoją drogą, ciekawe, jak to zrobiłaś? - Paradowałaś po ulicach, czekając, aż się zezłości i będzie chciał cię zgwałcić?

Wybaczyła mu te słowa, wiedziała, że jest bardzo zdenerwowany.

- Jakoś szczęśliwie do tego nie doszło. Chciałam pojechać do Pam i porozmawiać z nią, ale najpierw zatrzymałam się w sklepie, żeby się dowiedzieć, czy Pam jest w domu. Wtedy wpadłam na Dottie. Wyglądała na strasznie zgnębioną i zachowywała się jakoś przedziwnie, niemal wybiegła ze sklepu pana Hearsta. Kiedy ruszyłam z miejsca, znowu ją zobaczyłam, skręcała w jedną z uliczek i coś mnie skłoniło do tego, by pojechać za nią. Potem dostrzegłam tabliczkę z nazwą ulicy i gdy okazało się, że to Bay Road, przeraziłam się na dobre. Przypomniałam sobie o Bobbym, jak wygląda... i w ogóle... i ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie. W tym momencie Bobby wyszedł przed dom. Zauważył mnie i od razu wiedziałam, że to on.

- I co ? - Chciałaś go zatrzymać? - spytał Wolf sarkastycznie.

To ją rozwścieczyło.

- Nie, wyobraź sobie, że nie jestem na tyle głupia, choć może cię to nieco zdziwi. I dobrze by było, żebyś uważał na to, co mówisz, bo jakby nie było, nie czuję się zbyt na siłach klócić się z tobą. Zrobiłam, co uważałam za słuszne. Jeżeli ci się to nie podoba, to trudno, nic na to nie poradzę. Nie chciałam czekać, aż nas wszystkich pozabija.

- Więc co zrobiłaś?

- Ruszyłam jak szalona w stronę domu Hearstów i zadzwoniłam do Claya. Bynajmniej nie miałam ochoty stawać oko w oko z Bobbym, ale nie udało się. Wdarł się do środka, do ich domu, i usłyszał moją rozmowę telefoniczną z szeryfem. Mówiłam do Claya, że to Bobby jest tym facetem w kominiarce. Dopadł mnie, trzymając nóż, wykręcił mi rękę i wywlókł mnie na zewnątrz. Żadna z nas nie mogła nic zrobić, bo miał w ręku ten przeklęty nóż. Ciąg dalszy już znasz, więc... - urwała.

- A wiesz, co się mogło wydarzyć, gdyby nie to, że wróciłem wcześniej i zauważyłem, że nie ma twojego

samochodu? - Tylko przez przypadek byłem w domu akurat wtedy, kiedy z tą straszną wiadomością zadzwoniła Pam.

- Tak, wiem - odparła spokojnie.

- I nie obawiałaś się, że może poderżnąć ci gardło?

- Z tym się nie liczyłam, ale kto igra z ogniem, może się oparzyć.

Wolf zahamował gwałtownie. Tego było już za wiele, miał ochotę przełożyć ją przez kolano i sprać, ale zdał sobie sprawę, że ona wcale się go nie boi. Więc tylko spojrzął na nią z wyrzutem, a ona w odpowiedzi mocno się do niego przytuliła, jakby chciała powiedzieć: „cieszę się, że wam nic się nie stało”. Dopiero wtedy poczuł, jak bardzo jest rozedrgana, jak wiele ją to musiało kosztować. Objął ją ramieniem i pocałował w czubek głowy.

- Na całe szczęście ten koszmar już się skończył - szepnął i odetchnął z ulgą.

Kolejne kilka dni upłynęło im pod znakiem wydarzeń, które rozegrały się w Ruth. Przesłuchania na policji, wywiady dla prasy i lokalnej telewizji, od których Wolf bezskutecznie starał się trzymać jak najdalej. Obwołano go niemal bohaterem, a w dodatku głośno rozprawiano o jego osiągnięciach w czasie służby wojskowej w Wietnamie. Uhonorowano go lokalnym orderem zasługi i raz jeszcze rehabilitowano za niesłuszne osądzenie o przestępstwo.

W tym czasie Bobby dochodził do siebie w szpitalu. Miał dużo szczęścia, że celował do niego tak wytrawny strzelec, jakim był bez wątpienia Wolf. Wprawdzie kula uszkodziła mu prawe płuco, ale był na najlepszej drodze, żeby się z tego wylizać. Całkowicie przerażony tym, co działo się wokół niego, jedyne, czego pragnął, to wrócić już wreszcie do domu. Jego matka, Dottie, zrezygnowała z pracy w szkole. Bez reszty załamały ją te wydarzenia i z pewnością do końca swoich dni będzie próbowała uporać się z myślą, że jej nienawiść do

Indian, którą zaszczepiła swojemu synowi, doprowadziła do takich tragicznych wydarzeń. Wiedziała, że gdy tylko Bobby wróci do sił, zabiorą go jej, i to na bardzo długo, i że nawet jeśli wyjdzie kiedyś na wolność, już nie będą mogli nadal mieszkać w Ruth.

Wszyscy w miasteczku powrócili do normalnego życia, a więc i Mary mogła wrócić do swego domu. Gwałciciela zamknięto w więzieniu, Wolf został bohaterem i nie było już mowy o jakiegokolwiek niechęci wobec Mackenziech czy prześladowaniach Indian. Osiągnęła zamierzony cel, nawet jeśli tym razem nie było to łatwe i z tego była naprawdę dumna.

Jedyny problem, który spędzał jej teraz sen z powiek to Wolf, który ani słowem nie nakłaniał jej, ani nawet nie zachęcał, by została na zawsze na jego wzgórzu. Mijały dni, a on ani razu nie powiedział, że będzie za nią tęsknił czy że ją kocha. Wyglądało więc na to, że romantyczna przygoda dobiegła swego końca i pora wracać do dawnego życia. I choć jedyne, czego w życiu pragnęła, to spędzić resztę swoich dni właśnie z nim, nie napomknęła o tym ani słowem. Była zbyt dumna, by zacząć rozmowę na ten temat. Walcząc ze sobą, żeby się nie rozplakać, powoli pakowała swoje rzeczy. Nie chciała żadnych scen. Zniosła walizki do samochodu i czekała na Wolfa. Głupio by było wyjechać bez słowa pożegnania.

Wrócił do domu późnym popołudniem, spocony i brudny. Poturbował go byk, którego starał się obłaskawić. Nie był w zbyt dobrym nastroju.

- Doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zniknę ci z horyzontu. Spakowałam się już i czekałam tylko na ciebie, żeby podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś... no i pożegnać się.

Zdawało się przez moment, że woda, którą pił, utknęła mu w gardle. Joe, który stał w drzwiach, zamarł w bezruchu. Nie

mógł uwierzyć, że ojciec pozwoli pannie Mary tak po prostu odejść.

Jakby w zwolnionym tempie Wolf odwrócił się w jej stronę i uchwyciła jego spojrzenie. Było w nim coś dziwnego, nie wiedziała, co ma o tym sądzić.

- W takim razie do zobaczenia - wymamrotał.

- Joe - zwróciła się do chłopca - nie zapominaj o naszych lekcjach. Do widzenia.

Jej policzki płonęły, a oczy piekły. Wiedziała, że musi czym prędzej dotrzeć do samochodu, bo za chwilę wybuchnie niepohamowanym płaczem. Nie zdążyła jednak. Nagle ręka Wolfa dotknęła jej ramienia i usłyszała za sobą jego szorstki głos:

- Niech cię diabli, jak opuścisz to miejsce!

- Ale nie mogę przecież tu zostać na zawsze... Nie powinniśmy dawać ludziom powodów do plotek... A ja, jako nauczycielka, nie mogę dawać złego przykładu moim uczennicom...

- Cicho! Nie mów nic. Proszę, nie mów. To nie ma sensu. Dziś jest już za późno, ale jutro pozbieramy do kupy wszystkie potrzebne papiery i weźmiemy ślub, z czego jasno wynika, że zostajesz tu na zawsze. A teraz wracaj już do domu, a ja przeniosę twoje walizki.

Jej wzrok sparaliżowałby niejednego mężczyznę, ale nie Wolfa.

- Nie zamierzam podporządkować się twoim rozkazom i nie myśl sobie, że wyjdę za faceta, który mnie nie kocha.

- Słucham? - ryknął na całe gardło, aż zadrżała.

- Co powiedziałaś? Nie Kocham cię? A kto drży na myśl o tym, że mogło ci się przytrafić coś złego? O czym ty mówisz? A poza tym, powiedz mi, kto okręcił sobie wokół najmniejszego palca niejakiego Wolfa Mackenziego?

Może nie było to zbyt romantyczne wyznanie miłości, ale za to jakże wyraziste. Uśmiechnęła się do niego, wspięła się na palce i zaplótłszy ręce na jego szyi, szepnęła:

- I ja cię kocham.

Była piękna i cudowna. Nigdy nie znał bardziej uroczego stworzenia.

- Boże, kocham cię - szepnął. - Kocham cię, Mary.

- Nie sądził, że kiedykolwiek jeszcze wypowie te słowa, a już na pewno nie do białej kobiety. Ale ta niewielka istota zmieniła całe jego życie, nie potrafił bez niej się obejść.

- W takim razie chcę mieć z tobą dzieci.

Uśmiechnął się szeroko i pocałował ją mocno. - Ja też. Ja też!

Objął ją i ruszyli w stronę domu na wzgórzu spełnionych nadziei.

EPILOG

- Akademia Wojskowa, Kolorado Springs, Joe Mackenzie
- przeczytał na głos adres i otworzył kopertę.

Był to list od Mary. Twarz Joego promieniała i wraz z każdym przeczytanym słowem pojawiał się na niej coraz szerszy uśmiech.

Kumpel Joego z pokoju patrzył na niego z rosnącym zainteresowaniem.

- Dobre wiadomości z domu?

- Tak - odparł Joe, nie odrywając się od listu. - Mary jest w ciąży.

- Jak to w ciąży, myślałem, że dopiero niedawno urodziła?

- Zgadza się, jakieś niecałe dwa lata temu, a to jest ich trzecie dziecko - powiedział Joe spokojnie.

Bill Stolsky przyglądał mu się jakoś dziwnie.

- Trzecie? - Nie mógł zrozumieć, skąd ten chłopak czerpał taki stoicki spokój i dystans do wszystkiego, co go otaczało. Zawsze go szczerze za to podziwiał. Było w nim coś takiego, coś nieuchwytnego, co trudno ubrać w słowa. Nawet studenci ze starszych roczników czuli wobec niego respekt. Od samego początku był najlepszy na roku, nikt nie mógł się z nim równać. Wszyscy darzyli go sympatią, począwszy od instruktorów lotnictwa, poprzez wykładowców, a skończywszy na kolegach i koleżankach z roku. Mimo swojego młodego wieku, bo miał przecież zaledwie dwadzieścia jeden lat i tym samym był młodszy od wszystkich na roku, już wkrótce będzie miał dyplom w ręku.

- Ile ona ma lat? - zapytał Stolsky z czystej ciekawości.

Joe wzruszył ramionami i wyjął z szafki zdjęcie, na którym widniała Mary wraz z Wolfem, Joem, i małym.

- Spójrz sam, jest wystarczająco młoda. Zresztą mój ojciec też. Kiedy się urodziłem, miał mniej lat niż ja teraz.

Stolsky wziął zdjęcie do ręki i zaczął mu się przyglądać. Emanowało ciepłem. Na pierwszy rzut oka było widać, jak bardzo wszyscy się kochali. Aż dziw, pomyślał, że ta niewielka, delikatna kobieta była w stanie udźwignąć ciężar tak licznej rodziny.

- To zdjęcie sprzed kilku lat - wyjaśnił Joe. - Jest na nim Michael, najstarszy z moich braci. Ma teraz cztery latka. Jest jeszcze Joshua, który ma niecałe dwa.

Czytając o kolejnej ciąży Mary, Joe odczuwał niepokój. Obaj jego bracia urodzili się przez cesarskie cięcie i Wolf zapewnił, że nie będą mieli więcej dzieci, bo to zbyt niebezpieczne. Ale Mary wygrała i tę bitwę, jak zwykle zresztą.

- Ona... ona nie jest Indianką. - Bill wydawał się być zaskoczony. - Lubisz ją?

- Czy ją lubię? Kocham ją - odparł bez namysłu. - Gdyby nie ona, nie znalazłbym się tutaj. - Wstał i podszedł do okna. Sześć lat ciężkiej pracy i był u progu tego, co kochał ponad wszystko, czego pragnął od dzieciństwa, odkąd tylko sięgał pamięcią. To ona nauczyła go wierzyć w marzenia i dążyć do ich realizacji. Jej to zawdzięczał.

Znalazł się w grupie nielicznych, którym zaproponowano dalsze szkolenie na pilota myśliwców. To kolejne lata wytężonej pracy, ale czekał na nie z radością. Młodzi kadeci myśleli już nawet o pseudonimach, których będą kiedyś używać.

Wolf niespodziewanie zaszedł Mary od tyłu, objął ją ramionami i pocałował. Jego duża, mocna dłoń delikatnie pogładziła jej podbrzusze, w poszukiwaniu pierwszych oznak życia ich najmłodszego dziecka. Wiedziała, że się o nią martwi, ale czuła się naprawdę wspaniale i nie było żadnego powodu do obaw.

- Uśmiechnij się, nigdy nie czułam się lepiej - powiedziała. - Sam wiesz, że w ciąży mi bardzo do twarzy. Nie chciałbyś mieć dziewczynki?

Musiał przyznać, że promieniała, ale mimo to wiedział, że to trochę niebezpieczna gra. Lekarz przecież wyraźnie powiedział, że...

- Tak bardzo chciałabym mieć córeczkę... W razie czego będziemy próbować aż do skutku - dodała z determinacją.

- O nie, na pewno nie. Zawrzyjmy umowę, jeśli to będzie dziewczynka, to koniec, a jeżeli chłopiec...

- Spróbujemy jeszcze raz.
 - Jeśli lekarz się zgodzi. Dobrze? Zawsze mówiłaś o czwórce dzieci...
 - W porządku -zgodziła się niezbyt chętnie.
 - A może jednak... - dodała po chwili.
- Położył palec na jej ustach.
- Nie ma mowy, ani jednego więcej. Czwórka i już. Koniec.
- Kropka.

Rozczulił ją. Roześmiała się rozkosznie i wtuliła się w jego mocny tors. Reakcja była natychmiastowa, nawet po pięciu latach małżeństwa. Porwał ją na ręce i już po chwili wylądowali w łóżku.

Potem, kiedy już spał, Mary uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Nigdy by wcześniej nie przypuszczała, że jej życie tak się właśnie potoczy. Jak dziwnie czasem kieruje nami los, pomyślała z zadumą, dobrze, że się nigdy nie poddałam. Teraz wiedziała już na pewno, że tak długo, jak żyjemy, zawsze jest nadzieja na to, że nagle wszystko się odmieni i nad naszymi głowami zaświeci słońce. Ukochane wzgórze Mackenziech, to wzgórze spełnionych nadziei. Nie tylko jej nadziei. Także Wolfa i Joego, a może też ich dzieci?